



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

1(63) 2023

Rok XVII

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



fol. Wiesław Krajewski



Typowy krajobraz Namibii..



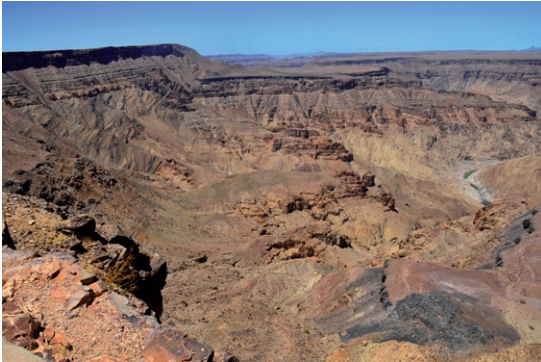
...kamienie.



Drogi...



...i bezdroża Namibii.



Kanion Fish River.



Zebry w parku narodowym Etosha.



Największy na świecie meteoryt Hoba.



Pomnik meteorytu Gibeon w Windhuk.

Namibia

Do tego kraju w południowo-zachodniej Afryce trafia niewielu turystów z Polski. Choć to ta sama strefa czasowa, to jednak przeciwna półkula. Żyje tam tyle ludności, co u nas w Warszawie i Poznaniu razem. Gęstość zaludnienia to zaledwie 3 osoby na kilometr kwadratowy. I to rzuca się w oczy. Namibia jest dwa i pół raza większa od naszego kraju, ale jest tam chyba 250 razy więcej piasku i kamieni. To też rzuca się w oczy. „Namib” w języku nama oznacza „miejsce, gdzie nic nie ma”. 80% dróg jest tam szutrowych, a jedynie 20% pokrywa asfalt. Przez kraj przebiega Zwrotnik Koziorożca – w grudniu słońce świeci tam w zenicie. Klimat zwrotnikowy z pełnymi tego konsekwencjami. Choć językiem urzędowym jest angielski, to całkiem łatwo można się tam porozumieć po niemiecku, bo to dawna germańska kolonia. Stąd wiele miejscowości ma tam niemiecko brzmiące nazwy, w kioskach można kupić „Allgemeine Zeitung”, a i ulice mają niemieckich patronów.

Czy rzeczywiście nic tam nie ma? Jest! Jest tam wspaniała pustynia Namib, choć to nadal miejsce, gdzie poza piaskiem nic nie ma. Najstarsza na świecie, ze wspaniałymi (też najwyższymi na świecie – do 300 metrów) wydymami. Są parki narodowe, w tym Etosha z wieloma tamtejszymi zwierzętami. Jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc jest kanion Fish River o głębokości ponad 500 metrów. Namibia słynie z diamentów, które znajduje się tam dosłownie na plaży, jak u nas bursztyn. W związku z tym, część wybrzeża jest po prostu zamknięta, nie ma tam wstępu.

Ciekawostką jest największy na świecie meteoryt – 50-tonowa bryła żelaza spadła z kosmosu ok. 80 tysięcy lat temu. Leży cały czas w tym samym miejscu. Oprócz tego pojedynczego okazu, w Namibii spadł deszcz meteorytów w okolicach miasta Gibeon. Zostały one uznane za dobro narodowe. Dziś jego okazy stanowią nietypowy pomnik w stolicy Windhuk.

W północno-zachodniej części kraju żyje plemię Himba. Kobiety Himba nakładają na swoje ciało, aż po końcówki włosów mieszaninę masła i ochry. Stanowią one kanon tamtejszego piękna. Himba prowadzą koczowniczy tryb życia, zajmują się hodowlą kóz i bydła, ale dziś to chyba przechodzi już do historii. Widziałem u nich telefony komórkowe na szyi, a po mleko udają się do marketu. Może gdzieś w buszu są jeszcze prawdziwi Himba.

List na zakończenie ćwierćwiecza pracy zawodowej Andrzeja Davida Misiury w Centrum Kultury w Siennicy Różanej:

Jeżeli ziarno pszenicy, wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity. (J 12, 23)

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze,

Ze ściśniętym sercem, jako współautor wraz moją córką Agnieszką kilku artykułów w siennickim „Ziarnie” – jedynym takim w Polsce gminnym czasopiśmie społeczno-kulturalnym stworzonym i redagowanym przez Pana kilkanaście lat, wysłuchałem Pana wystąpienia na sesji Rady Gminy Siennica Różana 23 czerwca 2022 roku. W tym smutnym momencie chcieliśmy Panu podziękować w imieniu swoim i myślę dziesiątków autorów za tę naszą obecność na łamach „Ziarna”. Podziękować za zaszczerpiecie w nas potrzeby utrwalania wszystkiego, co było najważniejsze w tej naszej Małej Ojczyźnie, a co odchodzi w zapomnienie, tj. miłość, patriotyzm i pamięć o Niej. Wierzymy, że to wielkie dzieło będzie docenione przez mieszkańców ziemi siennickiej, gdyż nie tylko Pana „Ziarno”, ale też i wszelkie inne olbrzymie dokonania – te udokumentowane i te nie, podczas wielu lat kierowania Centrum Kultury w Siennicy Różanej były Ogromnym Dobrem dla tego środowiska. Bowiem poświęcił Pan dla Siennicy Różanej część swego życia i czasu, aby w trudzie i czasem przeciwnościach budować to Dobro. A ponieważ Pana „Ziarno” siennickie podlega takim samym prawom, jak to ziarno ewangeliczne zacytowane wcześniej, pozostanie na „wsze czasy” trwałe. Bo kto poświęca dla sprawy wszystko, co ma najcenniejsze (a nawet życie) to osiąga cel. Myślę, że obierając tytuł tego czasopisma i podejmując pracę w Siennicy Różanej, kierował się Pan tym przedwiecznym zapisem Janowym, który był też dla Pana drogowskazem podążania do celu. Wierzę też, że to Ziarno padło na dobrą glebę.

Ad multos annos! Sto lat, Panie Dyrektorze!

Edward i Agnieszka

*dr Agnieszka Wierzchoś-Hilczer
prof. dr hab. Edward Wierzchoś
Kraków Balice*

Panie Wójcie,
Wysoka Rado,
Szanowni zebrani!

Chciałbym złożyć na państwa ręce serdeczne podziękowania za współpracę w ciągu ponad dwóch dziesięcioleci mojej działalności w dziedzinie upowszechniania kultury na terenie ziemi siennickiej. To za Waszym pośrednictwem zwracam się dzisiaj do wszystkich, których miałem zaszczyt spotkać i współdziałać, początkowo w latach osiemdziesiątych i obecnie. Niektórzy z tych animatorów i twórców kultury, samorządowców oraz pracowników znalazło miejsce na kartach wspomnień, a większość pozostaje w domowym zaciszu, więc forum Rady Gminy będzie najważniejszym miejscem, gdzie mogę wyrazić i przekazać wszystkim swoją wdzięczność.

Po raz pierwszy na ziemię siennicką trafiłem przypadkiem i to na całą dekadę. Na kolejną dekadę Opatrzność sprowadziła mnie pod koniec mojej pracy zawodowej. Otrzymałem możliwość zrealizowania niedokończonych przedsięwzięć. Powstała obszerna dokumentacja lokalnej twórczości plastycznej, literackiej, teatralnej i muzycznej. Zapisane zostały przy tym i upamiętnione dzieje zespołów artystycznych oraz ich twórców. Najbardziej wartościowe materiały opublikowane zostały w 49 wydaniach Czasopisma społeczno-kulturalnego „Ziarno” oraz na kartach 32 książek. Łącznie ukazało się 81 wydawnictw, które statystycznie ukazywały się raz na kwartał. Nie wliczam do tego pierwszych tomów kroniki GOK-u, 10 scenariuszy teatralnych i wielu opracowań (jak np. szczegółowa lista poległych, plakaty i foldery wystaw) oraz wydarzeń (jak spotkania, imprezy, koncerty, spektakle, konkursy). Książki ukazywały się m.in. w rozpoznawalnej przez środowiska literackie, siennickiej serii Biblioteka „Ziarna”. Wernisaże i wystawy regularnie prezentowała Galeria Twórczości Plastycznej „Maestro” (dawniej Galeria „Spirala”).

Tytułem uzupełnienia warto dodać, że rozpoczęte zostały prace nad przygotowaniem kolejnych książek: antologii piosenki i satyry ziemi siennickiej oraz kilku tomów wierszy zebranych autorstwa m.in. Krystyny Winiarczyk i ks. Edwarda Wolskiego.

Gmina Siennica Różana jest kolebką twórczości artystycznej. Obok chórów, teatru, zespołów tańca, kapeli ludowej, z sentymentem wspominam podczas mojej kadencji np. odrodzenie Chóru Męskiego „ECHO” pod dyrekcją Edwarda Kaznowskiego, powstanie Kapeli Obejściowej „Czarny Salceson”, Teatru Pokoleń, grup literackich, plastycznych, rękodzielniczych i innych. Do imprez, które doczekały się wielu edycji należą konkursy walentynkowe, literackie, w tym 12 edycji Konkursu Poetyckiego „Ziarno”, kiermasze świąteczne, Festiwal Siennickich Smaków, Wakacyjna Akademia Kultury i inne.

Szanowni Państwo, praca zawsze sprawiała mi wiele przyjemności, ponieważ od początku była pasją mojego życia. Nawet, jeżeli zakłócały ją cudze ambicje, to jednak stanowiły one tylko margines wielu dobrych relacji, zdarzeń i przedsięwzięć. Starłem się obiektywnie oceniać sytuację i zachować własne zdanie, traktując wszystkich z należnym szacunkiem dla dobra wykonywanej pracy. Dlatego dzisiaj mogę każdemu ze spokojem spojrzeć w oczy.

Ponadto dziękuję serdecznie za współpracę Kołom Gospodyń Wiejskich, jednostkom OSP, sołtysom, radnym, kombatanom, Stowarzyszeniu Miłośników Ziemi Siennickiej, Uniwersytetowi Trzeciego Wieku, Przedszkolu i Szkole Podstawowej im. Synów Pułku w Siennicy Różanej, Zespołowi Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego za aktywną współpracę oraz wszystkim instytucjom, które wspierały działalność Centrum Kultury. Dziękuję członkom wszystkich zespołów artystycznych i twórcom szeroko pojętej kultury. Wdzięczny jestem dawnym i aktualnym pracownikom gminnych placówek kultury i Urzędowi Gminy, których spotkałem na przestrzeni całej mojej pracy zawodowej i z którymi dzieliłem rozmaite trudy. Dziękuję przyjaciółom wspierającym mnie w prowadzeniu teatru, publikacji czasopisma „Ziarno”, książek i szeregu innych działań. Nie zapominam o Tomaszu Siennickim, prof. Edwardzie Wierzchosiu, Wiesławie Domańskim, Jacku Poletyło i innych pasjonatach historii, lokalnych dziejów i kultury rozrzuconych po wielu miastach kraju.

Dziękuję Państwu!

Andrzej David Misiura

Spis treści

Namibia	1
<i>Wiesław Krajewski</i>	
List na zakończenie ćwierćwiecza pracy zawodowej Andrzeja Davida Misiury w Centrum Kultury w Siennicy Różanej	1
Przez trzy kordony	4
<i>Waldemar Seroka</i>	
Jedna taka ulica	10
<i>Elżbieta Kmieć</i>	
Doktor Sulewski	12
<i>Waldemar Seroka</i>	
Chrościechowsky	15
<i>Józef Adam Dąbek</i>	
Krótki poczet organistów łopiennickich	24
<i>Arkadiusz Kostecki</i>	
Polski geolog – badacz zasobów naturalnych Syberii	28
<i>Lucjan Cimek</i>	
Poezja - Lucjan Cimek	30
Tajemnice archeologii. Część IV	31
<i>Jacek Kiszczak</i>	
O Mikołaju Sienickim w 450 rocznicę krasnostawskiego kaptura – cz. 4	35
<i>Monika Nagowska</i>	
Mikołaja Sienickiego oblicz obliczanie	39
<i>Tomasz Sienicki</i>	
Bracia polscy – arianie	40
<i>Elżbieta Petruk</i>	
Był taki czas. O szkołach podstawowych w Siennicy Różanej i Zagrodzie	41
<i>Agnieszka Wierchoś-Hilczner, Edward Wierchoś</i>	
Wycieczka na Wybrzeże	45
<i>Jacenty Jarocki</i>	
Ważne miejsca – „Biała Szkoła” Z cyklu: „Mój Jaślików”	48
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	

Spis treści

Ważne miejsca – „Szkoła Czerwona” Z cyklu: „Mój Jaślików”	50
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
Ważne miejsca – Sklep GS Z cyklu: „Mój Jaślików”	53
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
„Zdolny do lotów” Z cyklu: Dęblińskie przypadki	55
<i>Marian Rybczyński</i>	
Anegdotycznie o powstaniu styczniowym	59
Krasnostawskie inspiracje	60
<i>Mirosław Leszek Iwańczyk</i>	
„Poeci nie zjawiają się przypadkiem”	65
<i>Aneta Sliwińska</i>	
Uroczystości upamiętniające 80. rocznicę męczeńskiej śmierci bł. ks. Zygmunta Pisarskiego	67
<i>Irena Kulik</i>	
Książka o patronie miasta Krasnystaw „Błogosławiony ksiądz Zygmunt Pisarski”	68
<i>Elżbieta Patyk</i>	
Spowiedź ze snów	70
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Najdawniejsze instrumenty astronomiczne	70
<i>Elżbieta Patyk</i>	
XVI Konkurs Twórczości Miłosnej	72
Anegdoty z wojskiem w tle	76
<i>Elżbieta Kmieć</i>	
Gdy wyobraźnia strzela focha	77
<i>Zbigniew Cimek</i>	
Sztuczna inteligencja, czyli „Czym jest czas?” raz jeszcze	78
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Odeszli	82
<i>Tadeusz Andrzej Kiciński</i>	
Książki nadesłane	83

Składamy serdeczne podziękowania za wsparcie finansowe „Nestora” w minionym kwartale dla Państwa: Wincentego Jarockiego (Lublin), Elżbiety Kmieć (Izbaica), Andrzeja Kwiecińskiego (Warszawa), Janusza Lipińskiego (Warszawa), Barbary Rusinek-Zdun (Ciechanów) oraz anonimowego darczyńcy (Krasnystaw). Łącznie otrzymaliśmy 2250 złotych. Za te pieniądze mogliśmy pokryć część kosztów wydawniczych i mamy nadzieję, że dzięki tym wspaniałym gestom zdołamy przetrwać jak najdłużej.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.



NR 1 (63) 2023 – ROK XVII NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Ofcyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura
Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Piłat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i lamowanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Sztyka-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Waldemar Seroka



P przez trzy kordony

Skwarny, lipcowy dzień miał się już ku końcowi, gdy przed prowizoryczną przeprawą na Nysie zatrzymała się wojskowa ciężarówka. Był to amerykański sztudebaker z białą gwiazdą na drzwiach szoferki, ruską rejestracją i grupą polskich żołnierzy na pace, drących gardła o „Anielci, co listów nie pisała”. Wyglądali jak regularny pododdział WP, lecz baczny uzbrojenie bez trudu dostrzegali ich nietypowe aksamit i leśny fason umundurowania. Wprawdzie większość miała na sobie berlingowskie dreluchy i przewieszone przez szyje pepesze, ale reszta zadawała sztyku nieźle skrojonymi bryczesami, wysokimi butami i zdobycznymi schmeisserami. W oczy rzucał się też maschinengewehr (MG-34) – w gwarze partyzanckiej „suka” nazywany. Lecz prawdziwą osobliwością ich rynsztunku były dwa zrzutowe steny i uderzeniowe gammony przy skórzanych pasach.

Przyjezdnych spod grzybka taksował wzrokiem młody pogranicznik¹. – *A wy, co za jedni?* – zdawał się pytać swym zuchwałym spojrzeniem. Lecz gdy zaczął niebezpiecznie przeciągać „odprawę”, zza kierownicy sztudra wyskoczył zjeżony podporucznik i tak go obsobaczył po rusku, że ten, aż zaniemógł i tylko skinieniem głowy zezwolił na dalszą jazdę.

*Anielciu, napisz mi długi, długi list,
do niego włóż – swą miłość i listeczki róż...*

Chwilę później rozptłynęli się w martwocie lewobrzeżnego Görlitz. Tak rozpoczął się drugi etap niezwyklej eskapady poakowskiego oddziału porucznika „Podkowy” z dalekiej Zamojszczyzny².

Jechali starym traktem królewskim, kierując się na Drezno, ale pod wieczór zbczyli do miasteczka Schluckenau, w którym „Pilot”, jeszcze jako żołnierz II Armii WP, poznał pracujących tam przymusowo Polaków. Teraz nazywało się Šluknov, ale nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że Sudektenland jest znowu w granicach Czechosłowacji. Tutaj zatrzymali się na nocleg i tutaj opuściło ich szczęście.

20 lipca 1945 roku major Bedřich Reicin złożył podpis pod tajnym protokołem w sprawie śmierci oficera czeskiego wywiadu – porucznika Josefa Šindelařa i jego kierowcy Vlastimila Maliny. Kopie tego dokumentu, w trybie pilnym przesłano do premiera rządu oraz ministrów: obrony, spraw zagranicznych, wewnętrznych, a także do krajowych delegatur organów bezpieczeństwa państwa. Z jego treści wynikało, że dwa tygodnie wcześniej – 6 lipca, około godziny 18.00, wyżej wymienieni funkcjonariusze zostali zastrzeleni w lesie Botzenberg koło Šluknova przez członków polskiej, nielegalnej organizacji

stanowił jechać na „Zachód” – do Amerykanów. Skład oddziału: 1. por. Tadeusz Kuncewicz – „Podkowa”, 2. ppor. Tadeusz Jankowski – „Żbik” z Równego, zastępca „Podkowy” i kierowca studebakera, 3. por. Wiesław Rudzoński – „Szary”, dezertor z garnizonowej żandarmerii w Zamościu, 4. sierż. Tadeusz Juściński – „Lew” z Tamogóry, dezertor ze Szkoły Oficerów Politycznych w Lublinie, 5. podchorąży (pchor.) Marian Mijałski – „Mał” ze Zwierzyńca, 6. pchor. Stanisław Bizior – „Śmigło” ze Szczepieszyna, dezertor z Wojskowej Szkoły Lotniczej w Zamościu, 7. pchor. Zbigniew Hryckiewicz – „Szczerbata” z Lidy (oddział AK por. „Krysi”), dezertor z Armii Czerwonej i Wojskowej Szkoły Lotniczej w Zamościu, 8. pchor. Władysław Olechnowicz – „Żuraw” z Wileńszczyzny (3. Brygada AK por. „Szczerbca”), dezertor z Wojskowej Szkoły Lotniczej, 9. Marian Wodyk – „Szabelka” ze Skierbieszowa, 10. Zdzisław Szynclarz – „Pilot” z Wysokiego, dezertor z II Armii WP, zapasowy kierowca, 11. Władysław Węgliński – „Ryś” z Izbicy, 12. Henryk Marczewski – „Jurand” z Brodów Dużych, 13. Seweryn Błaszczak – „Szczygieł” z Siłańca, 14. Tadeusz Wiatrowski – „Piorunek” („Nevada”) ze Szczepieszyna, 15. Zygmunt Kuncewicz – „Podkówka” z Kowia, brat „Podkowy”, 16. Tadeusz Hołowiński – „Żwirko” z Kosobud, 17. Henryk Jóźwiakowski – „Żmijka” ze Szczepieszyna, 18. Augustyn Poździk – „Korsarz” ze Szczepieszyna, 19. Waclaw Mączka – „Wierny” ze Szczepieszyna, 20. Jan Chwiejczak – „Wrzask” z Brodów Dużych, 21. Witold Lew – „Azja” z Bortatycz, 22. Piotr Radziszewski – „Gwiazda” z Brodów Dużych, 23. Stanisław Olczyk ze Szczepieszyna.

¹ W tym czasie zachodniej granicy strzegły wojska liniowe (na Nysie Ł. – 7 DP z II AWP). Od listopada 1945 – WOP.

² Oddział „Podkowy” wyruszył 21 czerwca 1945 r. ze Szperówki pod Szczepieszynem sowieckim studebakerem, zdobyty 28 IV 1945 r. w Janowie Lubelskim. Celem wyprawy miały być Katowice, ale po dwutygodniowym pobycie na Śląsku „Podkowa” po-

wojskowej. Wiadomość o tym incydencie podana przez czeskie radio, mocno podgrzała antypolskie nastroje zdominowane dotąd konfliktem granicznym o ziemię kłodzką i raciborską.

Z ustaleń śledczych wynikało, że wczesnym popołudniem feralnego dnia, Šindelař wyjechał z Děčína do Šluknova służbowym BMW. Towarzyszyła mu Margit Maschke – młoda Niemka, świeżo zwerbowana agentka wywiadu. Zatrzymali się u jej siostry Elisabeth Mateaskowej, gdzie czeskiego wywiadowcę zaskoczył widok obozujących w cieniście sadzie polskich żołnierzy. Zażądał od dowódcy, aby udali się z nim do komendantury miasteczka Sebnitz w celu identyfikacji oddziału.

Po kilku kilometrach „Żbik” zatrzymał auto, pozorując awarię. Podstęp się udał, lecz niesubordynacja jednego z naszych doprowadziła do śmierci czeskich funkcjonariuszy, co mocno pogorszyło i tak fatalną sytuację. Są dwie wersje ich śmierci, lecz która prawdziwa, to już pozostanie tajemnicą lasu Botzenberg. Margit przesadzono na sztudebakera, prowadzonego teraz przez „Pilota”, a „Żbik” zasiadł za kierownicą BMW. Jednak w dalszą drogę ruszyli dopiero późną nocą, po odczekaniu kilku nerwowych godzin w leśnym ustroniu.

Teraz auto czeskiego wywiadu „eskortowało” Polaków, więc most na Łabie w Děčinie przejechali bez przeszkód. Przez Teplice i Kadaň dojechali do Kłašterca nad Ochrzą. Tutaj zwolniono Margit, a BMW zepchnięto do rzeki. Niemka od razu udała się na posterunek czetników (żandarmów) z informacją o zaistniałym zdarzeniu. Cała miejscowa policja została postawiona w stan alarmowy, a na skrzyżowaniach dróg pojawiły się wojskowe patrole.

Wkrótce czetnicy ze Šluknova odnaleźli w lesie zwłoki zabitych, a wywiad dostał wiadomość o uzbrojonej grupie Polaków, która poddała się amerykańskiej jednostce stacjonującej tuż za Karlovými Varami³. Jeszcze tego samego dnia,

8 lipca, cały oddział Amerykanie uwięzili *na místnym hrade* – w miejscowej twierdzy – na zamku Elbogen (obecnie Loket).



Hrad Elbogen – zamek królewski w Loket. Pierwsze więzienie „Podkowiaków”.

Amerykański dowódca, kpt. Oelsen podjął taką decyzję po stwierdzeniu, że Polacy przybyli tu bez delegacji przywództwa ruchu podziemnego i wydał ich w ręce *Státni Bezpečnosti* – czeskiej bezpieki. Już podczas pierwszego przesłuchania zostali brutalnie pobici, mimo to podjęli próbę ucieczki. Przed Czeską Kamienicą udało im się rozbroić dwóch konwojentów i gdy zaczęli wyskakiwać z pędzącej taty, „Lew” puścił serię ze zdobycznego automatu w stronę szoferki. Samochód się zatrzymał i do uciekinierów otworzyli ogień konwojenci z szoferki, kładąc trupem dziewięciu. Kolejnych dziewięciu ujęto, a pięciu zbiegło⁴.



Marian Węgliński „Rys” z Izbicy (z lewej). Poległ w Czechosłowacji, i Tadeusz Juściński „Lew” z Tarnogóry.

³ Jednostka ze składu amerykańskiej 3. Armii gen. Georga Pattona.

⁴ Byli to: „Jurand”, „Wierny”, „Wrzask”, „Śmigło” i „Pilot”.

Wśród ujętych był „Podkowa” i jego zastępca „Żbik”. Oprócz Polaków, aresztowano też troje Niemców: zamieszkałego w Ślukuwie Augusta Eisele – członka NSDAP i Wehrwolu oraz Margit i jej starszą siostrę Elisabeth Matheasková.



Tadeusz Kuncewicz ps. „Podkowa” – zdjęcie sygnalizacyjne WUBP Lublin z 1947 r. (z archiwum IPN Lublin).



Tadeusz Jankowski ps. „Żbik” – zdjęcie sygnalizacyjne WUBP Lublin z 1947 r. (z archiwum IPN Lublin).

W dalszej części swego raportu mjr Reicin przedstawia, oczywiście po swojemu, ideowe oblicze oraz główne cele i zadania reprezentowanej przez zatrzymanych Armii Krajowej. Pisze, że wszyscy byli aktywnymi członkami tej nielegalnej organizacji podległej rządowi londyńskiemu, mającej za cel walkę z Armią Czerwoną, Armią Polską podległą rządowi lubelskiemu oraz prowadzenie sabotażu i szpiegostwa przeciwko ZSRR. Jej członkowie rekrutowali się spośród polskiej szlachty i bogatych warstw społeczeństwa polskiego. AK i jej grupy bojowe były nieustannie instruowane drogą radiową, a rozkazy dostawały prosto od premiera Arciszewskiego. Wydawały też nielegalną prasę i uprawiały szeptankę, szczując lud przeciw władzy lubelskiej.

Sami zatrzymani przyznali, pisze mjr Reicin, że czuli się niepewnie na ziemi polskiej. Organy władzy sowieckiej i rządu lubelskiego węszyły ciągle za nimi, a za ujęcie Tadeusza Kuncewicza wyznaczyły nagrodę w wysokości 50 tysięcy złotych. Dlatego postanowili przedostać się na tereny zajęte przez wojska amerykańskie pod pozorem wypełniania ważnej misji⁵. Przekroczenie granicy

z Czechosłowacją stało się początkiem fatalnych następstw, które pokrzyżowały misternie ułożony plan.

Poważnym zagrożeniem dla niedobitków NSDAP i Wehrwolu na terenie powiatu Děčín była wywiadowcza działalność por. Šindelařa i jego agenturalnej siatki ze wspomnianymi siostrami Maschke. Ich rodzice i dwie pozostałe siostry zostali wysiedleni do Niemiec jeszcze w maju 1945 roku, do czego przyłożył rękę sam Šindelař. Cóż więc takiego się wydarzyło, że Margit stała się wkrótce jego powiernicą, kochanką i... podwójną agentką?

Według jej słów, to ona wspólnie z Augustem Eiselem zaplanowała sposób pozbycia się Šindelařa, wykorzystując przypadkową obecność polskiego oddziału, który w obawie przed dekonspiracją nie cofnie się przed „rąbniciem” czeskiego wywiadowcy. Z protokołu majora Reicina wynika jasno, że to byli oficerowie SA (Sturmabteilung – oddziały szturmowe NSDAP) „podstawili” ją Šindelařowi, gdy ten został oficerem wywiadu.

W wyniku tak zawiązanej intrygi, Czesi chcieli wymusić na Polakach przyznanie się do współpracy z Wehrwolfem. A gdy im się to nie udało, przenieśli ich z aresztu śledczego do więzienia – najpierw na Hradczanach, później na Pankracu. W grudniu zostali przeniesieni do więzienia w Českiej Lipie, gdzie dwóch zmarło z głodu. Dopiero jesienią 1946 roku o ich losie dowiedziały się rodziny w kraju⁶. Wychodzący z więzienia Czech

⁶ Wiadomość o tym dotarła też do wywiadu AK Obwodu Zamość. Petronela Niechaj – „Zorza”, z siatki wywiadowczej „Asa” (Stanisław Sobieraj) tak raportowała 21 lipca 1945 r.: *Wrócił Marczewski, który brał udział w wyprawie „Podkowy” do Anglików, która zakończyła się bardzo tragicznie. Początkowo sprzyjało im szczęście, jechali przeważnie nocą. Pod Pragą zostali zatrzymani na punkcie kontrolnym, z którego czeski komisarz kazał im jechać razem z nim do Pragi dla sprawdzenia prawdziwości ich tłumaczeń. Komendant, Sowiet, jechał specjalnym autem, którego nie miał prawa nikt zatrzymać. Z nim jechała jego kochanka, prawdopodobnie Niemka. Chłopcy postanowili pozbyć się towarzystwa. Zatrzymali swoje auto i dwóch naszych położyło trupem wychodzącego z auta komisarza. Później zabrali auto razem z Niemką i wyruszyli w kierunku obozu amerykańskiego. W drodze naradzali się, co mają zrobić z Niemką. W końcu postanowili puścić ją wolno. Amerykanie przyjęli ich bardzo serdecznie (...). Tymczasem Niemka zrobiła w Pradze alarm. Władze sowieckie zażę-*

⁵ Wg. dokumentów „Żbika” – b. funkcjonariusza SOK – celem wyprawy miało być odzyskanie, zagarnięte przez Niemców, taboru PKP.

o nazwisku Mauder, dał cynk, gdzie trzeba i dopiero wtedy zaczęły nadchodzić pierwsze listy, a nawet paczki. Przez cały rok nie mogli wysłać zwykłego listu, bo nie mieli paru halerzy na kopertę i papier. Ta cyniczna bezduszność Czechów wynikała z ich przekonania, że wszyscy przyzwoici Polacy wygnęli, a przeżyli sami kolaboranci.

Wiosną 1947 roku zanosilo się, że będą sądzeni w Czeskiej Lipie, ale niespodziewanie doszło do spotkania z polskim konsulem i sprawa przybrała obrót dość nieoczekiwany. Wszyscy wyrazili chęć powrotu do kraju, choć ich uprzedzono, że staną przed polskim sądem. 12 lipca 1947 roku na przejściu granicznym w Chałupkach zostali przekazani stronie polskiej. „Nevada” do końca twierdził, że od śmierci głodowej w czeskim więzieniu uratowały ich koneksje starego Jankowskiego (ojca „Żbika”) z jakimś ministrem⁷.

Z Chałupek przewieziono ich do X Oddziału Wojsk Ochrony Pogranicza w Gliwicach. Po prze-

sluchaniu na okoliczność nielegalnego przekroczenia granicy, trafili do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach. Tu urzędował mjr Bolesław Kaźmierak vel Kowalski – słynny „Cień” z AL, organizator antyżydowskich pogromów i skrytobójczych mordów akowców w Lubelskiem, który na widok „Podkowy” nie mógł się powstrzymać przed „niedyskretnym” pytaniem: – *To ty, ku... jeszcze żyjesz?*

Z polecenia szefa III Departamentu MSW – płk Czaplckiego, zostali przekazani III Wydziałowi WUBP w Lublinie. Po miesięcznym pobycie w areszcie przy ulicy Krótkiej, znaleźli się w więzieniu śledczym na Zamku. 15 grudnia 1947 roku, na mocy „amnestii lutowej”, uchylono areszt wobec „Żbika”, „Nevady”, „Szczygła” i „Żmijki”. Z wyrokami po pięć lat więzienia i pozbawienia praw publicznych i honorowych, opuścili więzienie.

22 stycznia 1948 roku rozpoczęła się rozprawa jawna przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Lublinie przeciwko „Podkowie” obciążonemu 25 zarzutami. Wraz z nim na ławie oskarżonych zasiedli „Lew” i „Szczerbaty” – oskarżeni głównie o dezercję, za co dostali po 5 lat więzienia i 3 pozbawienia praw. Objęci wspomnianą amnestią, wyszli wkrótce na wolność.

Wraz z rozpoczęciem procesu, rozpoczęła się batalia o ratowanie „Podkowy”. Szczególną rolę odegrał dr Klukowski, prestiżowy świadek Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w procesie norymberskim. Przygotował on kalendarium akcji bojowych oddziału „Podkowy” od chwili jego powstania, aż do złożenia broni w lipcu 1944 roku. Bolesław Polakowski – „Wiarus” dawał liczne przykłady współpracy swego dowódcy z partyzantką sowiecką. W sposób szczególnie eksponował fakt wręczenia mu przez pułkownika Werszyhorę pepsy z dedykacją.

Argumenty te musiały mieć swoją wagę, skoro prokurator – major Iwan Amons nie był w stanie wymóc na składzie orzekającym najwyższego wymiaru kary. Wszyscy świadkowie podkreślali życzliwy stosunek oskarżonego do ukrywających się Żydów i udzielanie im pomocy. Nawet świadkowie oskarżenia w żaden sposób nie obciążali „Podkowy”.

Wyrok jaki otrzymał – 10 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw – odsiedział co do jednego

dały ich wydania (...). Pod eskortą samochodu pancernego zostali odesłani do więzienia. Zostali pobici, najbardziej „Podkowa”. Podczas przewożenia udało się chłopcom zabić obsługę i rozproszyć się. Każdy ratował się na własną rękę. Kto ocalał, Marczewski nie wie – sam, nie znając terenu, błagał się dłuższy czas. Znajomość niemieckiego ułatwiła mu podróż. Od granicy przyjechał pociągiem bezpłatnie, po uzyskaniu tymczasowego dowodu. Podał się za powracającego z robót w Niemczech. Oprócz Marczewskiego nikt jeszcze nie powrócił. Było ich wszystkich 23. Był w sobotę, w przejeździe do domu, u państwa Wróblów. Opowiadał Mietcio Wróbel. [Meldunek „Zorzy” – AP Lublin, sygn. 104, t. III, zespół AK – Win].

⁷ Był nim Jan Zachariasz Rabanowski – od listopada 1944 r. kierownik Resortu Komunikacji, Poczty i Telegrafów w PKWN, a od 1945 do 1951 r. minister komunikacji w kilku kolejnych rządach. To dzięki niemu, jak twierdzi sam „Żbik”, zamiast do wojska, otrzymał przydział do Służby Ochrony Kolei. Jako kierowca wojewódzkiego komendanta SOK, zjawił się w Katowicach na początku lutego 1945 r. Tutaj przypadkowo spotkał swoich byłych przełożonych z partyzantki; por. Adama Piotrowskiego – „Dolinę” i por. Jana Brochowskiego – „Dana”. Obydwaj, swego czasu byli zastępcami „Podkowy” – teraz, na „lewych papierach”, byli szeregowymi żołnierzami LWP – kierowcami 1. Pułku Samochodowego, którego jeden z batalionów oddelegowano dla transportowego wsparcia śląskiej aglomeracji. Podczas kolejnego spotkania wpadli na pomysł ściągnięcia na Śląsk oddziału „Podkowy”. Z taką „misją” przybył do Szperówki „Żbik” (maj 1945) i przedstawił całą sprawę „Podkowie”.

dnia. Nie objęła go żadna amnestia, a 2 lata czeskiego więzienia zaliczono mu dopiero w styczniu 1955 roku. Praga, Czeska Lipa, Zamek Lubelski, Wronki, Zamość, Chełm i obóz pracy w Knurowie znaczą szlak jego więziennej golgoty. W dziesiątą rocznicę dotarcia do Amerykanów wyszedł z więzienia. Nie zdążył już zobaczyć ojca, który zmarł parę dni wcześniej. W wieku bez mała czterdziestu lat przyszło mu życie zaczynać od nowa. Zamieszkał u brata w Lublinie i tu wrócił do pracy na kolei, z którą pozostał związany do końca życia.

W 1957 roku przeniósł się do Białej Podlaskiej, gdzie otrzymał mieszkanie, a żona pracę stomatologa w kolejowej przychodni. Od 1966 pracował na stanowisku inspektora BHP w Centralnej Dyrekcji Kolei Państwowych w Warszawie. Tutaj, 10 lat później, przeszedł na emeryturę. Przez 35 lat był stałym gościem i ozdobą wszystkich koleżeńskich spotkań i kombatanckich uroczystości na Zamojszczyźnie. Każdy jego przyjazd do Zwierzynca, Szczebrzeszyna, Radechnicy czy Osuch, był wielkim wydarzeniem. Toteż przyjmowany był jak bohater. A on... zawsze cichy, skromny – zakłopotany wręcz taką admiracją – odpowiadał z lekko kresowym zaśpiewem:

–Ta, panie, ja miałem więcej szczęścia niż rozumu...

Gdy po październikowej odwilży 1956 roku zjawił się w Szczebrzeszynie na zebraniu „odrodzonego” ZBoWiD-u, zgotowano mu niebywałą owację: – *Gdzie jest „Podkowa”, my chcemy „Podkowę” – skandowali zebrani. Wyszedł z tłumu kombatantów i mieszczan, wyraźnie spieszony*⁸. I choć na prezesa wybrano go przez aklamację, to na uprawnienia kombatanckie przyszło mu czekać... 29 lat⁹.

Jego przełożony, mjr „Adam” – dowódca 9. pułku AK – charakteryzuje go takimi słowami: *Brunet, przystojny, wzrost wysoki, chód elastyczny. Z urody i zachowania typ buńczuczny. Umysł jas-*

*ny, ale mało ścisły. Ryzykant i szczęściarz. Ma bardzo dużą ambicję, która jest motorem wielu czynów. Jako dowódca wykazuje wszystkie zdolności w najwyższym stopniu. Posiada za sobą szereg czynów bojowych i osiągnięć organizacyjnych. Obliczać nie lubi, ale na każdą ryzykowną robotę jedzie bez zastrzeżeń i z humorem. Jest bardzo lubiany przez żołnierzy. Wytworzyła się wokół niego legenda, która mu towarzyszy od pewnego czasu. W 9. pułku ma swoje miejsce, sławę i miłość – jest lubiany przez wszystkich: karny i przywiązany do przełożonych. Fizycznie wytrzymały. Jednostka bardzo ideowa i pełna poświęceń*¹⁰.

Tadeusz Gumiński – „Gajewski”, szef BIP Obwodu Biłgoraj AK, mimo pewnych nieścisłości, najcelniej dopełnił jego „portret”: *Swą działalnością jako dowódca oddziału partyzanckiego, zapisał niezapomnianą kartę w dziejach Zamojszczyzny, otaczała go aureola żołnierskiej sławy. Jako mężczyzna miał wszelkie walory podobania się kobietom – na jego widok miętkły najbardziej odporne serca. Podbijał kobiety, niewolił serca żołnierzy swoją bojową, junacką postawą. Po lipcowym przełomie 1944 roku nie poszedł na żaden kompromis z nowymi ciemniejszymi Ojczyzną*¹¹.

Tadeusz Kuncewicz, syn Stanisława i Anny, urodził się 26 listopada 1916 roku w Fastowie koło Kijowa. Zmarł 8 lutego 1991 roku w Warszawie. Przez wiele lat przyszło mu żyć z piętnem „bandyty i zaplutego karta reakcji”. Dopiero w roku 1992 wyrok byłego Wojskowego Sądu Rejonowego unieważnił Sąd Wojewódzki w Lublinie. W jego nocie biograficznej opracowanej przez Ireneusza Cabana można przeczytać: *Nigdy nie zweryfikowano stopni wojskowych nadanych mu w partyzantce. W książeczce wojskowej pozostał w randze kaprała*¹².

W roku 1998 wpadły w moje ręce wnioski awansowe oficerów zamojskiego inspektoratu AK¹³. Pod numerem ósmym figurował „Podkowa”. Wszyscy wymienieni tu oficerowie zostali awan-

⁸ Relacja Ferdynanda Orzechowskiego „Orlicza” z 1994 r. Kopia w posiadaniu autora.

⁹ Warunkiem przyznania uprawnień kombatanckich była niekaralność. W roku 1968 jego prośba do Rady Państwa o zatarcie skazania została odrzucona. Dopiero pod presją terenowych kół z Zamojszczyzny, Zarząd Główny ZBoWiD przyznał mu w roku 1985 należne uprawnienia.

¹⁰ J. Grygiel, *Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Obwodzie Zamojskim*, Warszawa 1985, s. 235.

¹¹ J. Skowroński, *Szpital leśny „665”*, 2017, s. 157.

¹² I. Caban, *Ludzie Lubelskiego Okręgu Armii Krajowej*, Lublin 1995, s. 100.

¹³ Kopie wniosków z 15.05.1945. L.dz.7/Pers/45. Zbiory AP w Lublinie, zespół AK – WiN 103, t. II, str. 112.



Tadeusz Kuncewicz i autor podczas uroczystości 43 rocznicy bitwy pod Osuchami, 27 czerwca 1987 roku.

sowani przez Delegata Sił Zbrojnych na Kraj do stopnia kapitana z dniem 1 czerwca 1945 roku. Dokumenty te przesłałem niezwłocznie pani Marii Kuncewicz – córce „Podkowy”. Na tej podstawie został mianowany na stopień majora WP (pośmiertnie). Ostatni rozdział jego wojennej biografii został zamknięty... A ja cieszę się, że mogłem go poznać, i że dopuścił mnie do swojej przyjaźni.



Jan Chwiejczak „Wrzask” (w środku). II Korpus gen. Andersa. Włochy 1945.

Do celu tej niezwyklej wyprawy dotarł jedynie Jan Chwiejczak – „Wrzask”, który przedostał się do Niemiec, a stąd do 2. Korpusu Polskiego generała Władysława Andersa w środkowych Włoszech. Wcielony do 11. kompanii samochodowej uczestniczył w dziesiątym (ostatnim) kursie szkolenia kierowców sztudebakerów w Arezzo koło Florencji, w listopadzie 1945 roku.

Po utworzeniu Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, zaczęto przenosić polskie oddziały z Włoch do Wielkiej Brytanii. Tutaj zadeklarował swój wyjazd do USA. Zmarł w grud-

niu 1991 roku, w stanie Michigan. Przed śmiercią zdążył jeszcze zaprosić do siebie „Podkową”¹⁴. Był listopad 1989 roku, gdy (po 44 latach), znów wyruszyła do Amerykanów.

Waldemar Seroka

¹⁴ „Wrzask” już w 1957 r. starał się zdobyć adres „Podkowy”: *W dniu 5.VI.1957 r. do Wydziału III Służby Bezpieczeństwa w Lublinie zgłosił się kapitan z IV Brygady WOP w Gliwicach i poinformował, że w r. 1945 zbiegł za granicę do USA Chwiejczak (...) poprzednio zamieszkały w Szczepreszynie były członek AK i WiN (...) pisze on listy do swej rodziny prosi o adres Tadeusza Kuncewicza.* (Fragment notatki służbowej SB z 8.06.1957 r.).

Elżbieta Kmieć




W Izbicy prawie wszystkie nazwy ulic mają charakter topograficzny, np. Gminna, Fabryczna, Kolejowa, Szkolna, czy Skarpa. Jednej tylko ulicy w miasteczku patronuje zasłużona postać. Jest nią Maksymilian Kronland, pracujący w Izbicy lekarz i społecznik. W tym roku, a dokładnie 8 listopada, przypada setna rocznica jego śmierci. W numerze 3/9/2009 „Nestora” ukazał się szkic napisany przez Edwarda Cimka, przedstawiający go, jednak po latach warto przypomnieć osobę doktora, a także jego bliskich. Ulica dr. Maksymiliana Kronlanda opasuje gęstą zabudowę miasteczka od strony południowo-zachodniej, przylegając do rozległych, nadrzecznych łąk. W II połowie XIX wieku hrabia Stanisław Czyżewski sprzedawał w tej okolicy działki na tak zwane placówki, na których szybko zaczęły powstawać domy. Na jednej z nich, w domku z ogródkiem, zamieszkał młody doktor, który pomógł hrabiemu dojść do zdrowia po urazie kręgosłupa. Szybko dał się poznać jako dobry lekarz, czym zaskarbiał sobie szacunek i wdzięczność pacjentów. Przyjmując we własnym domu chore dzieci, zapłacił, jako ojciec, najwyższą cenę. Ratując życie chorego dziecka, stracił swoją sześciomiesięczną córeczkę Małgosię, która zaraziła się i zmarła w lutym 1888 roku. Jej nagrobek do dziś stoi niedaleko bramy wejściowej na tarnogórskim cmentarzu. Kronland w środowisku lokalnym został zapamiętany jako społecznik i organizator, nie mniej niż jako lekarz. W 1900 roku¹ był inicjatorem i głównym założycielem Izbicko-Tarnogórskiej Ochotniczej Straży Pożarnej. W skład pierwszego zarządu weszli razem z nim: Herman Benesz – kierownik młyna w Tarnogórze, ksiądz Walenty Goliński, hrabia Stanisław Czyżewski i Jan Śliwiński. W roku 1905 zaczęły docierać na teren gminy wiadomości o rewolucji w Rosji i strajkach w Królestwie. Wtedy uaktywniły się radykalne postawy lokalnych działaczy. Zorganizowano przed

budynkiem gminnym w Izbicy zebranie, na którym żądano przywrócenia języka polskiego w urzędzie. Protest odbył się też w szkole w Tarnogórze. W tej walce o język polski kierowniczą rolę pełnił m.in. doktor Kronland. Dodatkowo zniszczono wtedy na terenie gminy Izbica wszystkie tablice i drogowskie w języku rosyjskim. Kiedy jednak niektórzy aktywiści PPS-u zaczęli podsycać emocje i terrorem wymuszać przystąpienie do strajku i określonych zachowań, to właśnie doktor Kronland podejmował skuteczne działania i swoim autorytetem zapobiegł groźnej w skutkach eskalacji zachowań².

Po 1905 roku władze carskie pozwoliły na zrzeszanie się i zakładanie stowarzyszeń. Powstawały liczne organizacje i wydawano prasę w języku polskim. Na tej fali powstało w Lublinie w 1906 roku Towarzystwo Szerzenia Oświaty „Światło”. Wśród jego założycieli i organizatorów znaleźli się, oprócz Stefana Żeromskiego, zasłużeni lubelscy lekarze, m.in. Mieczysław Biernacki, Witold Chodźko czy Kazimierz Jaczewski. Aktywnie włączył się także Maksymilian Kronland. Jedne z pierwszych kół powstały w Izbicy i Tarnogórze. Ich działalność służyła krzewieniu oświaty oraz propagowaniu zdrowia i higieny, a pośrednio wzrostowi patriotyzmu. W Tarnogórze, głównie staraniem doktora, została urządzona biblioteka licząca 600 tomów i czytelnia. Odbywały się w niej spotkania i odczyty. Kilkakrotnie wygłaszał je popularny prelegent z Lublina, Eugeniusz Sokołowski. I oczywiście doktor, skupiając się na zagadnieniach zdrowia i higieny, ale także historii oraz kultury. Na skutki nie trzeba było długo czekać. O doktorze mówiono, że dla miejscowych stał się duszą ruchu wiejskiego. Działalność kół „Światła” w terenie zaczęła słabnąć po 1910 roku, kiedy wzmożyły się szykany ze strony władz. Tymczasem zbliżała się wielka wojna, która zburzyła dotychczasowy świat. Także życie doktora i jego rodziny. Wróćmy jednak do początku.

Maksymilian Janusz Kronland urodził się 15 lutego 1855 roku. Rodzina jego pochodziła z Kurlandii. Rodzice, Aleksander i Paulina z Lewińskich, osiedlili się w Zamościu w połowie XIX wieku. Ojciec był cenionym bibliotekarzem u ordynata

¹ Niektóre źródła wskazują na rok 1903, a nawet 1908.

² Pisząc ten tekst, korzystałam z książki Franciszka Żurka „Powiat krasnostawski w walce o wolność”, Norbertinum 2009.

Tomasza Zamoyskiego³. Doktor ożenił się z Anną Czerkaską i zamieszkali w Izbicy, na początku ulicy, która teraz nosi jego imię. Mieli trzy córki: zmarłą w niemowlęctwie Małgonię oraz Marię i Paulinę. W związku z budową kolei przez okupacyjne władze austriackie, stracili swój domek z ogródkiem⁴. Pozostawszy bez dachu nad głową, wyjechali na wschód, w pobliże Donieckiego Zagłębia Węglowego. Tam córka Maria wyszła za mąż za Francuza Gastona Baudeleta. Druga, urodzona w 1892 roku Paulina, została w 1916 roku żoną Władysława Zaleskiego. Jego ojciec Piotr Zaleski herbu Lubicz, był lekarzem, a wcześniej powstańcem styczniowym i zesłańcem. Zięć doktora Kronlanda urodził się w Saratowie nad Wołgą w 1889 roku. Po ukończeniu w 1911 roku szkoły morskiej w Chersoniu, otrzymał dyplom porucznika żeglugi wielkiej. Podczas rewolucji bolszewickiej załoga statku, na którym pływał, zabrała swoje rodziny na pokład i zesłała na ląd w Konstantynopolu. Do Polski rodzina dotarła drogą okrężną przez Francję. Wszystko wskazuje na to, że Kronland do kraju powrócił razem z córką i zięciem. Był już wtedy rok 1922. Doktor z żoną zatrzymali się w Surhowie u zaprzyjaźnionych krewnych, Janiny i Zygmunta Skolimowskich. Rok później, w wieku 68 lat Maksymilian Kronland zmarł. Niewykluczone, że przyczyniły się do tego trudy minionych lat. Jego grób, wymagający odnowienia, stoi na szczycie cmentarnego wzgórza w Surhowie.

W tym samym, 1923 roku, córka doktora wraz z mężem, przybyli na Wybrzeże, do Gdyni. Władysław Zaleski przez 10 lat był kapitanem portu w Gdyni. Na początku lat 30. Zalescy zamieszkali we własnym domu w Gdyni Orłowie, a wraz z nimi wdowa po doktorze, Anna Kronland. Tymczasem przyszedł rok 1939 i cała rodzina została wyrzucona nie tylko z własnego domu, ale i z miasta, z nakazem osiedlenia się w Generalnej Guberni. Wnuk doktora – Stanisław – miał wtedy 12 lat. Znowu znaleźli schronienie w Surhowie u Skolimowskich.

³ Informacje o życiu prywatnym pochodzą głównie z korespondencji wnuka Maksymiliana Kronlanda, Stanisława Zaleskiego z moim tatą, prowadzonej w 2003 roku.

⁴ Ponad sto lat później historia się powtarza. Przez działkę i dom, w którym mieszkam, ma być budowana kolej dużych prędkości, a mój dom zburzony.



Anna Kronland z córką i wnukiem, przebywała tam w latach 1940-1942. W czerwcu 1942 roku zmarła i została pochowana obok męża. Jej córka i wnuk przenieśli się do Lublina, gdzie doczekali końca wojny. W 1945 roku cała rodzina powróciła do Gdyni. Władysław Zaleski pracował na różnych stanowiskach. Niestety, ich willa „Lubicz” miała już nowych lokatorów i została zamieniona na dom wielorodzinny⁵. W 1952 roku władze komunistyczne nakazały mu opuścić Wybrzeże w ciągu tygodnia. Rodzina przeniosła się do Warszawy i znów zaczynała wszystko od nowa. Władysław zmarł w 1966 roku, a jego żona dwa lata później.

Wnuk doktora Kronlanda urodził się w 1927 roku w Warszawie. Choć miał dwóch dziadków lekarzy, to odziedziczył po swoim ojcu zdolności plastyczne⁶. W 1952 roku ukończył Wydział Architektury na Politechnice Gdańskiej. Amatorsko zajmował się malarstwem. W 1954 roku ożenił się z Haliną Zakrzewską, znaną graficzką i ilustratorką, która żyła w latach 1925-2012. W latach 1977-1992 pracowała na stanowisku kierownika artystycznego tygodnika „Świerszczyk”. Tworzyła ilustracje do wielu czasopism i książek dla dzieci i młodzieży. Z pewnością w niejednej dziecięcej biblioteczce jeszcze znajdują się jej prace. Wnuk doktora zmarł 20 stycznia 2020 roku w Warszawie, w wieku 92 lat.

Mam nadzieję, że niniejszy szkic, powstały z dostępnych mi źródeł, pozwoli nie tylko przypomnieć w setną rocznicę śmierci postać Maksymiliana Kronlanda i jego bliskich, ale może przyczyni się do podjęcia prac przy odnowieniu jego grobu, bo niedługo może być już za późno.

Elżbieta Kmieć

Fot. autorka.

Waldemar Seroka

Doktor Sulewski



Dobiegał końca rok 1921. Jak żurawie z dalekich stron, powracali w rodzinne okolice uczestnicy niedawno skończonej wojny. Wśród nich był Józef Bartoń z Izbicy, syn Michała i Agnieszki, rocznik 1898. W tym samym mniej więcej czasie zjawił się też w Izbicy nowy lekarz – Marian Bolesław Sulewski. Co mogło łączyć znanego lekarza z synem ubożego chłopca? Jak spłoty się ich losy? O tym w dalszej części tego elaboratu.

Tymczasem dr Sulewski, wraz z dr. Jakubem Lindem i aptekarzem Goldhammerem oraz felczerem Michałem Niziołem z Tarnogóry, tworzyli fundamenty służby zdrowia na terenie dwóch gmin. Wszyscy od dawna byli wrośnięci w miejscową społeczność, tylko Sulewski był rodem z Lublina. Jego ojciec Jan Alojzy – powstaniec styczniowy – odumarał go, gdy miał zaledwie 2 lata. Wychowywała go matka Józefa z Matysów, dzięki której ukończył szkołę średnią i rozpoczął studia w Kijowie.

Zanim osiadł w Izbicy, kilka wcześniejszych lat zajęła mu wojaczka. Jako absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Imperatorskiego św. Włodzimierza, został wcielony do armii rosyjskiej. Od roku 1914 uczestniczył w I wojnie światowej jako lekarz pułkowy. Po ranach odniesionych jesienią 1915 roku w walkach nad Styrem, został przeniesiony do kliniki wojskowej w Kijowie, gdzie pełnił służbę do końca 1917 roku.

W następnym wstąpił do tworzącego się Wojska Polskiego. Zweryfikowany w stopniu porucznika, otrzymał przydział do 1. pułku ułanów Beliny jako lekarz naczelny pułku (1. Pułk Ułanów Legionów Polskich). Z niego wyłonił się 1. pułk szwoleżerów, który swój szlak bojowy rozpoczął w styczniu 1919 roku walkami z Ukraińcami, a od kwietnia do września uczestniczył w „wyprawie wileńskiej”. W grudniu 1919 roku 1. pułk szwoleżerów został przemianowany na 1. Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego – najslawniejszy pułk kawalerii II RP.

⁵ Rodzina odzyskała swą własność dopiero w latach 90., czego Władysław Zaleski nie doczekał.

⁶ Władysław Zaleski, z powodu trudnej sytuacji finansowej po śmierci rodziców, nie mógł studiować na Akademii Sztuk Pięknych.

*W kawalerii wyższa sfera
Nosi barwy szwoleżera.
Szwoleżery kręcą głową
Chcą być Gwardią Narodową*

Złośliwcy ujmowali tę sprawę trochę inaczej:

*Kręcą dupą, kręcą głową
Chcą być Gwardią Narodową.
Chcą gwardyjskie mieć maniery
Be Be Ery [od BBWR], szwoleżery...*

25.04.1920 roku rozpoczęła się „wyprawa kijowska”. Pułk kapitana Sulewskiego bierze w niej udział i już 7 maja patrol szwoleżerów dociera do centrum Kijowa (tramwajem!). Dwa dni później dowódca 3 Armii Polskiej generał Edward Rydz-Śmigły przyjął tu defiladę naszych oddziałów. Po załamaniu się ofensywy wschodniej, w czasie odwrotu, pułk uwikłany był w nieustające pasmo walk z konnicą Budionnego. Za udział w operacji kijowskiej kpt. Sulewski otrzymał odznakę „Przyczótek Kijów”, a za wcześniejszą – wileńską – odznakę (krzyż) „Wilno”.

Podczas sierpniowych walk z bolszewikami na przedpolach Warszawy, kiedy to z pogardą patrzył śmierci w twarz, ratując rannych w pierwszej linii frontu – otrzymał Krzyż Walecznych. Zwieńczeniem jego wojennych zasług jest Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari. Uzasadniając swój wniosek, mjr Głogowski (dowódca pułku) zakończył go słowami: *Niezwykle odważny i świetnie w polu spełniający swe obowiązki lekarskie. Kapitan Sulewski zasłużył wielokrotnie na krzyż Virtuti Militari V klasy.*

Po zwycięskim zakończeniu wojny dr Sulewski jeszcze przez pewien czas pozostawał w służbie. W roku 1922 ukazał się spis oficerów rezerwy sporządzony przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, dotyczący oficerów już zdemobilizowanych, demobilizowanych aktualnie i zakwalifikowanych do rezerwy. W której grupie znalazł się doktor i kiedy przybył do Izbicy – nie sposób dociec. Sam twierdzi, że wyszedł z wojska pod koniec 1921 roku i osiadł w Izbicy, nie podając jednak dokładnej daty. Jego oddziałem macierzystym (przydziałem mobilizacyjnym) była 2. Zapasowa Kompania Sanitarna, przemianowana wkrótce w 2. Batalion Sanitarny w Lublinie.



Kpt. rez. dr Marian Bolesław Sulewski (1891-1941), Izbica, 1933, Centralne Archiwum Wojskowe.

Co sprawiło, że tak wybitny lekarz, mogący być oczkiem w głowie wielkomiejskiego szpitala, wybrał pracę wolno praktykującego lekarza na wsi? Wydaje się, że kluczem do rozwiązania tej zagadki może być pewien epizod wojenny opowiadany przy nocnych rozmowach Polaków, jeszcze za „systemu”. Rzecz dzieła się w czasie walk odwrotowych spod Kijowa. Sytuacja na froncie była dynamiczna i zmieniała się jak w kalejdoskopie. Po zaskakującym ataku bolszewickiej konnicy, nasi musieli salwować się bezładną ucieczką. Doktor, „zwijając” plac opatrunkowy, nawet się nie spostrzegł, jak odjechały tabory. Bez konia nie miał szans, ale wziął nogi za pas. Już po chwili miał na plecach Kozaków. I pewnie byłby „usieczon”, gdyby nie szwoleżer, który niczym dobry duch zjawił się przy doktorze: – Łap za popręg!, Łap za popręg! – darł się wniebogłosy i tak uczepionego strzemienia, odholował w bezpieczne miejsce.

Tu okazało się, że ten dzielny szwoleżer to wspomniany na wstępie Józef Bartoń z Izbicy. Od jesieni 1919 roku pełnił służbę w 1. pułku szwoleżerów, a więc miał wystarczająco dużo czasu, by poznać doktora, bo pytany: – Czymże ja ci się odwdzięczę? – miał powiedzieć: – Chciałbym, żeby taki doktor przyjmował w Izbicy. – I tak słowo ciałem się stało.

Pierwszy, pisany ślad jego bytności w Izbicy pochodzi z 1923 roku: „Głos Lubelski” donosił: *4 września 1923 roku Prezydent Stanisław Wojciechowski wizytował województwo lubelskie i powiat Krasnystaw. Jechał od strony Chełma przez Krupę, Siennicę Nadolną, Krasnystaw. W osadzie*



Szwolęz Józef Bartoń z żoną Agnieszką, Izbica 1921
(ze zbiorów rodziny Bartoniów z Izbicy).

Izbica: a) brama triumfalna znajdować się będzie w środku osady, b) przy bramie tworzyć będą szpaler straż ogniowa, harcerze i działwa szkolna, c) w środku szpaleru zajmą miejsca: rada gminna, Zarząd Spółdzielni „Łączność”, Zarząd Wyznaniowy Gminy Żydowskiej i Weterani, d) przemawiać będą: w imieniu gminy wójt Badio i w imieniu Stowarzyszenia Spółdzielczego „Łączność” doktor Sulewski.

Od tej pory – od początku lat dwudziestych ubiegłego stulecia – zaczyna się jego nadzwyczajna aktywność społeczna. Patronował straży pożarnej, organizacji „Strzelec”, LOPP (Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej) i piłsudczykom z BBWR-u. Był członkiem, a od roku 1926 przewodniczącym gminnego dozoru szkolnego. Tempa swego aktywnego żywota nie zwalniał przez cały okres międzywojnia: Na zakończenie misji parafialnych, 3 maja przybył do Tarnogóry Jego Ekscelencja Ksiądz Biskup Marian Leon Fulman, witany serdecznie przez księdza proboszcza Pawelca i przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. W imieniu ziemiaństwa witał Najdostojniejszego Gościa p. Stefan Lipiński, w imieniu wszystkich organizacji społecznych – p. Dr. Marian Sulewski, a w imieniu parafian p. Wójt Władysław Paradowski.

W październiku 1937 roku, wraz z dr. Władysławem Kozłowskim z Zamościa i dr. Zygmunt Klukowskim ze Szczepieszyna, reprezentował zamojski obwód Związku Lekarzy Państwa Polskiego podczas jego Nadzwyczajnego Walnego Zebrania w Poznaniu. Wszyscy trzej – jako jedyni – nie poparli wprowadzenia do statutu związku tzw. paragrafu aryjskiego mówiącego, że jego członkiem może być lekarz, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, chrześcijanin z urodzenia – a więc nie poparli zapisu wykluczającego *de facto* Żydów z przynależności do tego związku.

24.02.1926 roku zmarła jego pierwsza żona Janina ze Starzewskich, *primo voto* Kaczorkiewiczowa (ur. w 1892 r. we Lwowie). Z tego małżeństwa pochodzi córka Barbara. Po dwóch latach wdowieństwa poślubił Helenę Jadwigę Pankowską – nauczycielkę z Lublina. W roku 1930 przyszedł na świat ich syn Wojciech – doktor nauk humanistycznych, historyk, autor licznych publikacji o lewicowym nurcie polskiej konspiracji.

Tę nadzwyczajną aktywność dr. Sulewskiego przerwała sierpniowa mobilizacja 1939 roku. Powołany do wojska w służbie sanitarnej, tylko cudem uniknął sowieckiej niewoli i po zakończeniu wrześniowych walk wrócił do domu. Należał do ścisłego grona tworzącego zręb konspiracji (ZWZ) na terenie Izbicy. Jego aktywność nie uszła uwadze cichego i spokojnego dotąd zegarmistrza – teraz „burmistrza” Izbicy – Jana Szulca. To on umieścił go na pierwszym miejscu listy proskrypcyjnej.

Rozpoczętej w czerwcu 1940 roku nadzwyczajnej akcji pacyfikacyjnej (AB) towarzyszył jeden główny cel: eksterminacja czołowych przedstawicieli polskich elit. Zapoczątkowały ją masowe aresztowania przeprowadzone niemal jednocześnie na terenie całego dystryktu lubelskiego: *Otrzymałem wiadomość [3.02.1941 – W.S.], że w Izbicy został aresztowany kol. Marian Sulewski. W czerwcu [1940] ukrył się na dłuższy czas i tym sposobem uniknął obozu. Dużo osób aresztowano w Krasnymstawie. Na naszym terenie i w Zamościu na razie były tylko sporadyczne aresztowania, lecz nastrój jest stale trwożny. W Szczepieszynie lada dzień spodziewane są aresztowania. Gestapowcy w magistracie przeglądali księgi ludności.*

Wkrótce aresztowania objęły szerokie kręgi znaczniejszych obywateli Izbicy i Tarnogóry. Z ponad trzydziestu aresztowanych, nie przeżył nikt. Ginęli mordowani w Oświęcimiu, Sachsenhausen, na Zamku w Lublinie, w Kumowej Dolinie koło Chełma i zamojskiej Rotundzie. *Doszła do mnie zupełnie pewna wiadomość [27.05.1941], że w więzieniu w Lublinie umarł na tyfus płamisty dr Marian Sulewski z Izbicy.* Z akt stanu cywilnego parafii katedralnej św. Jana w Lublinie dowiadujemy się dokładnej daty jego śmierci: (...) *ósmego maja 1941 r. o godzinie jedenastej stawili się (...) dezynfektorzy z Lublina i oświadczyli, że szóstego bieżącego miesiąca o godzinie dwudziestej umarł w Lublinie Marian Sulewski, lekarz lat czterdzieści dziewięć mający, urodzony w Lublinie, zamieszkały w Izbicy, syn Jana i Józefy z Matysów, zostawiając po sobie żonę Helenę z Pankowskich.*

Wojna się skończyła, ale w Izbicy – tak jak w całym kraju – było nadal niespokojnie. 24 sierpnia 1946 roku doszło do wielkiej obławy na członków drugiej konspiracji – Zrzeszenia WiN. Z rąk UB zginął dowódca izbickiej placówki Stanisław Dyk „Orsza”, a ciężkie rany odniósł Stanisław Bartoń, syn bohaterskiego szwoleżera z bolszewickiej wojny. Ojciec rannego do końca życia nie mógł się pogodzić z kalectwem swego syna: *Gdyby żył Sulewski...*

Dzisiaj, oprócz pani Królikowskiej, chyba już nikt w Izbicy go nie pamięta i zapewne mało kto coś o nim wie. Doktor z Izbicy spoczywa w zbiorowej mogile lubelskiego cmentarza przy ulicy Unickiej. O jego śmierci przypomina – jak wyrzut sumienia:

– *tablica w kruchcie ku pamięci...*
Czyż już nie pora nam – potomnym
wyrwać go z mroków niepamięci?

*

Izbica ma już ulicę zacnego doktora – Maksymiliana Kronlanda. Szkole podstawowej patroluje Maria Konopnicka, stadionowi – Adam Szesek. Miejmy nadzieję, że radzie i władzom gminy nie zabraknie inwencji.

Waldemar Seroka

Józef Adam Dąbek

Chrościechowsky



W ubiegłym roku, w 86 nr. „Dominika Turobińskiego”, ukazał się mój artykuł pt. „Szkoła „staruszka”, opisujący historię Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie. Budowa tej szkoły trwała dwa lata i została ukończona w 1913 roku, tuż przed wybuchem I wojny światowej. Po zamknięciu szkoły w 2006 roku, jeszcze przez dwa lata funkcjonowała tam filia gminnej biblioteki, a potem obiekt przeszedł w ręce prywatne. Mimo swojego wieku budynek nadal prezentuje się okazale. Stoi tuż przy ostrym zakręcie drogi łączącej Żółkiewkę z moim rodzinnym Chłaniowem. Ilekroć ja albo mój brat przejeżdżaliśmy tamtędy samochodem razem z naszą mamą, zawsze mówiła do nas „moja szkoła staruszka”. W różnych opisach zabytków architektonicznych naszego regionu, budynek ten jest błędnie przedstawiany jako dawna posiadłość dworska. Swoim wyglądem może rzeczywiście przypominać klasyczny ziemiański dworek. Jednak bezspornym faktem jest to, że od samego początku budowy, przeznaczeniem tej inwestycji był szczytny cel rozwoju wiejskiej oświaty. Świadczą o tym zapisy w przechowywanej do dziś kronice szkolnej.

Pisanie kroniki zainicjował w 1957 roku ówczesny kierownik szkoły Władysław Wytrzeszczewski. Jego też zasługą było zebranie od mieszkańców Wierzchowiny informacji o okolicznościach towarzyszących założeniu szkoły, jak też o pierwszych latach jej funkcjonowania. Zebrane w ten sposób informacje zostały zamieszczone na pierwszych stronach kroniki. Czytamy tam, że plac pod budowę tej szkoły ofiarował ówczesny właściciel majątku Wierzchowina. On też wziął na siebie obowiązek zebrania potrzebnych funduszy na zakup materiałów budowlanych oraz osobiście nadzorował budowę szkoły.

Kim był ten darczyńca i organizator budowy szkoły? W wyżej wspomnianej kronice szkolnej, opartej na ustnych przekazach mieszkańców wioski, nazwisko ówczesnego dziedzica Wierzchowiny, niestety, zostało zapisane z kilkoma błędami.

Został on tam przedstawiony jako Kazimierz Chrościechowski. Takie błędy zdarzają się często w tzw. mowie potocznej, zwłaszcza gdy nazwy rzeczy lub nazwiska osób znane są tylko ze słuchu, bez znajomości ich poprawnego zapisu. Niestety, ten niepoprawny zapis nazwiska dziedzica, jest też powielany w niektórych reportażach i leksykonach opisujących historię miejscowości naszego regionu.

Udało mi się odnaleźć w Internecie kilka felietonów, jakie ukazały się w lubelskiej prasie kilka lat temu, dotyczących historii zabytkowej kamienicy, znajdującej się przy ul. 3 Maja 22. Okazało się, że właścicielką jej jest Ewa van der Veer-Chrościechowska, wnuczka dawnego dziedzica Wierzchowiny Kazimierza Chrościechowskiego. W ten sposób udało mi się bez jakichkolwiek wątpliwości ustalić prawidłowy zapis jej rodowego nazwiska. Podczas rozmowy okazało się też, że na podstawie rodzinnych przekazów pani Ewa zna dokładnie historię rodziny Chrościechowskich, sięgającą do czasów, kiedy jej dziadek Kazimierz objął wierzchowińskie włości. A kiedy dowiedziałem się, że jest w posiadaniu starych, rodzinnych zdjęć, moja radość z tego spotkania i kronikarska satysfakcja sięgnęły zenitu. Uzyskane w ten sposób informacje oraz pamiątkowe fotografie, dzięki życzliwości pani Ewy, posłużyły mi do napisania tego artykułu.

Dzieje polskiego ziemiaństwa to ulubiony temat dla wielu historyków, jak też dla wielu tzw. regionalistów zajmujących się opisywaniem historii swoich rodzinnych miejscowości. Zachodzące po II wojnie światowej przemiany społeczne, wymuszone przez nową ideologię nowych rządów, dość szybko zatarły ślady po tym, co było przed wojną. Z przedwojennego obrazu polskiej prowincji pozostało niewiele. Mam tu na myśli różnego rodzaju tak zwane dworskie zabudowania, jak pałace, dworki, różne budynki przemysłowe – młyny czy małe fabryczki oraz unikalne zespoły parkowe. Większość z nich popadła w ruinę lub uległa całkowitemu zniszczeniu. Ocalały nieliczne tego typu obiekty, a tylko niektóre z nich doczekały tzw. rewitalizacji. Po zabudowaniach dworskich rodziny Chrościechowskich, a były to między innymi murowane i drewniane budynki mieszkalne, młyn wodny, murowane stajnie, praktycznie nie pozostało nic. Tylko wspomniany na początku tego tekstu budynek dawnej Szkoły Podstawowej w Wierzcho-

winie, stanowi jedyną architektoniczną pamiątkę tamtych lat. Wróćmy więc do początku XX wieku.

Rodzina Chrościechowskich, przed nabyciem w 1907 roku dóbr wierzchowińskich, mieszkała w majątku Moszenki położonym niedaleko Garbowa. Głową rodziny i pierwszym prawnym właścicielem całego nowo nabytego majątku był Kazimierz Chrościechowski. Jego żoną, z którą wziął ślub w poprzednim miejscu zamieszkania, była Emma z domu Żurawska. W porównaniu do lat poprzednich, kiedy w drugiej połowie XIX wieku odnotowano kilku kolejnych właścicieli Wierzchowiny, Kazimierz Chrościechowski był posiadaczem tego majątku dość długo, bo przez 35 lat. Pierwsze związane do tekstu zdjęcie, przedstawia podobiznę dziedzica. Z fotografii patrzy na nas twarz wiekowego już mężczyzny, ozdobiona sumiastym wąsem. W samej Wierzchowinie i okolicznych miejscowościach zapewne żyje jeszcze kilka, a może kilkanaście osób, które powinny go pamiętać. Urodził się w 1859 roku, w majątku Liekty, powiat Radzyń. Z zapisanego w parafii chłaniowskiej metrykalnego aktu zgonu dowiadujemy się, że dziedzic senior zmarł 23 października 1942 roku o godzinie 20, w wieku 83 lat. Był synem Józefa i Marii z Ungierców, małżonków Chrościechowskich. O śmierci dziedzica seniora powiadomili ks. Kondrata, chłaniowskiego proboszcza, najmłodszy syn zmarłego Antoni oraz Michał Łabędkowski, kierownik Szkoły



Kazimierz Chrościechowski (1859-1942),

Podstawowej w Wierzchowinie. Kazimierz zmarł, będąc już wdowcem. Jego żona Emma, przeżywszy 63 lata, zmarła w 1936 roku.



Fotografia rodzinna. Synowie Chrościechowskich ze swoją babcią,

Druga fotografia przedstawia trzech najstarszych synów państwa Chrościechowskich. Towarzystw starszej pani, blisko spokrewnionej z rodziną. Można powiedzieć, że była dla nich babcią. Tą dystyngowaną osobą jest pani Świerczyńska, ciotka Emmy. Obok swojej babci, siedzi z książką na kolanach Stanisław Chrościechowski, któremu poświęcę w dalszej części tekstu oddzielny akapit. Najstarszy z rodzeństwa Jan stoi tuż za babcią, a najmłodszy Tadeusz obok niej. Fotografia została wykonana jeszcze przed rokiem 1904, w którym urodził się Antoni, najmłodszy z braci. Na kolejnym rodzinnym zdjęciu państwa Chrościechowskich widzimy rodziców Kazimierza i Emmę wraz z ich ostatnim, już kilkuletnim synkiem Antosiem. Z tej pamiątkowej fotografii emanuje dostoyny wygląd rodziców, jak też duma z potomka oraz urokliwa w swej naturalności postać małego Antosia. Urodził się on jeszcze w poprzednim majątku, w Moszenkach. Zdjęcie zostało zrobione w Lublinie, w pracow-

ni fotograficznej przy Krakowskim Przedmieściu. Z wieku widocznego na tej fotografii chłopca można wywnioskować, że w tym czasie rodzina Chrościechowskich mieszkała jeszcze w Moszenkach.

Dziedzic Kazimierz, jak też jego syn Antoni, znani byli z takich cech jak przedsiębiorczość, gospodarność i umiejętność inwestowania. Majątek powoli się powiększał. Pamiętajmy jednak, że przez kilka pierwszych lat po objęciu przez dziedzica Chrościechowskiego dóbr Wierzchowiny, ziemie te leżały w guberni lubelskiej, od dawna należącej do zaboru rosyjskiego. Kolejne kilka lat to pustoszące kraj, niszczące miasta i wioski działania militarne I wojny światowej. Do spokojnego inwestowania w przyszłość można było przystąpić dopiero po roku 1918, już w Polsce niepodległej. Jak podają akta hipoteki Wierzchowina, w 1918 roku wyłączo- no z całego majątku odpowiednią część gruntów i utworzono oddzielne dobra pod nazwą Chruściechów. Sąsiadująca z Wierzchowiną, Żabnem i Koszarskiem niewielka wioska Chruściechów istnieje do dziś. Z innych źródeł wiadomo¹, że w 1920 roku



Emma i Kazimierz Chrościechowsky z synkiem Antosiem.

¹ J. Górak, „Nieznane dworki Lubelszczyzny”, 1986 s. 155.



Dwór Chrościechowskich w Wierzchowinie.

Kazimierz Chrościechowski wybudował w Wierzchowinie drewniany dworek. Prawdopodobnie w latach dwudziestych ubiegłego wieku zbudowano w majątku młyn wodny oraz utworzono przy rzeczce Łętowni dwa stawy do jego zasilania. Na kolejnych załączonych fotografiach widzimy dwór rodziny Chrościechowskich (lata przedwojenne) oraz pozostałości po stajni cugowej. Tak wyglądał stan tego gospodarczego budynku, zarejestrowany na fotografii kilkanaście lat temu. Umieszczona na bocznej ścianie data, 1909, podaje rok zakończenia budowy. U szczytu tej ściany daje się zauważyć ozdobny symbol stajni – wyrzeźbiona z kamienia głowa konia. Budynek mieszkalny został rozebrany

we wczesnych latach powojennych. Najdłużej opierał się zniszczeniom solidnie skonstruowany z białego kamienia i czerwonej cegły budynek stajni. Przez wiele lat po wojnie służył państwowej gospodarce rolnej za magazyn. Jako ostatnia pozostałość po rodzinnym majątku, budynek stajni cugowej przestał istnieć dopiero kilkanaście lat temu.

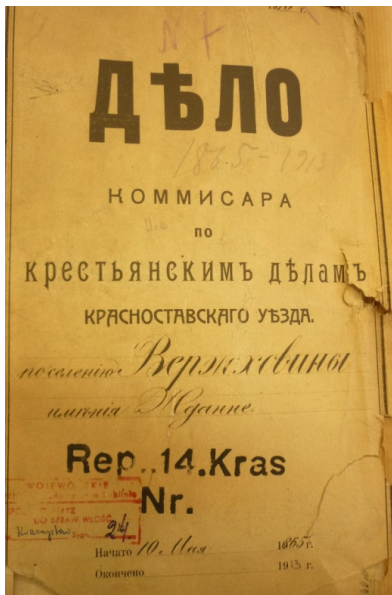
Kilka lat po przejęciu przez Chrościechowskich majątku w Wierzchowinie, powstała we wsi inicjatywa utworzenia tu wiejskiej szkoły. Był to rok 1911. Zapisane w kronice szkol-

nej relacje mieszkańców wsi informują bardziej szczegółowo o historycznych uwarunkowaniach, jakie w pośredni sposób umożliwiły budowę szkoły. Przypomnę tylko, że wyznaczenie części chłopskich gruntów pod budowę szkoły związane było z uwłaszczeniem chłopów, wprowadzonym w zaborze rosyjskim w roku 1864. Ponieważ wyznaczona przez carskiego inżyniera „szkolna” działka była położona zbyt daleko od wioski, dziedzic Chrościechowski ofiarował pod budowę szkoły leżący przy głównej drodze kawałek swojej ziemi. Udało mi się odnaleźć w Archiwum Państwowym w Lublinie zapisy świadczące o tym, że owa „szkolna” działka, została wyodrębniona z działek chłopskich jeszcze w czasach uwłaszczania. Tak więc, zebrane do kroniki szkolnej informacje od mieszkańców Wierzchowiny, mimo upływu lat, okazały się jak najbardziej rzetelne. Na kolejnej fotografii, obok tytułu „Dzieło” czyli „Sprawa” umieszczonego na teczce z dokumentami, w jednej z rubryk widzimy zapis: „Grunt przeznaczony przez Kommissarza dla Szkołki wiejskiej”.

Całkowita powierzchnia tzw. „przymiarków” skomasowanych na użytek przyszłej szkoły, stanowiła 6 morgów i 96 prętów. Według stosowanych wówczas miar powierzchni gruntów, jedna morga odpowiadała 300 prętom. Publiczną Szkołą Podstawową w Wierzchowinie, bo taka była jej początkowa



Pozostałość po dawnej stajni cugowej.



dowało się pośrodku jego południowej fasady, od strony drogi. Dopiero po wojnie, prawdopodobnie za czasów kierownika szkoły Ludwika Surmy, wejście do budynku zostało przeniesione na ścianę północną, od strony boiska.



Szkoła Podstawowa w Wierchowinie, archiwalne zdjęcie.

Lok. na mapie	Polowenie podziwły i Kommissary guntow lub ter. narnisko posiadacza	W						S Z			
		Ogolem zawierających powierzchni		OGRODÓW		Grunte ornego		L A K		Polnych Odział sych	
		M	P	Wozzy warch	Owoco- sych	M	P	M	P	M	P
		Morgow	Prei.	M	P	M	P	M	P	M	P
	z ziemianami nie wchłutek dobrociwej uno- sny z wloscianami, polowiedra- nej przez Kommissarza	45	111					27	227		
	Grunt przeznaczony przez Kommissarza dla Schellke wielki	6	96					6	96		
1.A	Stareczi pastki	19	211	1	58			17	121		
2	Stareczi karcz	21	168	2	64			17	200		
3	Stareczi karcz	46	75	1	20						

Ze zbiorów Państwowego Archiwum w Lublinie.

nazwa, oddano do użytku w 1913 roku. Jak wtedy wyglądała, możemy zobaczyć na jednym ze zdjęć, jakie zachowały się w rodzinnych zbiorach Chrościechowskich. Trudno jest określić rok, w którym je zrobiono. Mógł to być dzień niezbyt odległy w czasie od dnia jej otwarcia. Nieznane są też personalia obu jegomości stojących przed szkołą, jednakowo sztywnie ubranych, obaj z paradnymi laseczkami. To zdjęcie jest szczególnie cenne, bo widzimy, że wygląd szkolnego budynku po ponad stu latach niewiele się zmienił. Wtedy otaczał szkołę, jak widać całkiem nowy sztachetowy płot, odgradzający ją od drogi. I jak wielu jeszcze pamięta, wejście do budynku znaj-

O ziemiańskiej tradycji, a także o relacjach dworu z mieszkańcami wsi, możemy się teraz dowiedzieć tylko z przekazywanych rodzinnych opowiadań, z literatury temu tematowi poświęconej i ze starych, unikalnych fotografii. Kolejne zdjęcia udostępnione przez panią Ewę dotyczą dwóch okazjonalnych wydarzeń, celebrowanych przez każdą, nie tylko wiejską społeczność. Jedno z nich to zdjęcie grupowe, wykonane z okazji uroczystości ślubnej. Panna młoda, ubrana w strojną białą suknię, siedzi pośrodku państwa Chrościechowskich. Jak dowiedziałem się, wydawana za mąż dziewczyna, była córką zatrudnionego we dworze stangreta Michała Rewerskiego. To zdjęcie, wykonane latem 1932 roku przez zawodowego fotografa, jest wyjątkowo dobrej jakości. Można na nim rozpoznać jeszcze kilka wyróżniających się postaci. Tuż nad dziedzicem Kazimierzem stoi jego syn Antoni. Po lewej ręce dziedzica siedzi jego synowa Jadwiga Chrościechowska z domu Olszańska, żona Antoniego, a dalej żona kierownika szkoły Stanisława Łabędkowska, która trzyma na kolanach swojego synka Tadzia. Nieco wyżej, obok dziedzica Antoniego, stoją Hanka i Irena, dwie córki jego rodzzonego brata Stanisława. Ostatnią stojącą w tym szeregu dziewczyną jest Lusja, przybrana córka państwa Łabędkowskich. Oczywiście, na takiej fotografii nie mogło zabraknąć pana młodego. Widzimy go stojącego tuż nad swoją wybranką,



Rodzina Chrościechowskich na weselu córki Michała Rewerskiego.

z dużym weselnym bukietem przyczepionym do kłapy garnituru. Czy uda się rozpoznać jeszcze inne osoby uwiecznione na tej fotografii? Nie jest to łatwe zadanie, ale życzy sobie, żeby się tak stało. Ustalenie personaliów innych gości weselnych jest zapewne możliwe, ale zależy to przede wszystkim od dobrej pamięci starszych mieszkańców Wierchowiny oraz ich „sokolich oczu”.

Jak już wcześniej wspomniałem, Antoni był w rodzinie Chrościechowskich najmłodszym dzieckiem. Miał trzech braci. Byłoby trudno w tym jednym opracowaniu opisać losy wszystkich synów dziedzica Kazimierza. Chciałbym tylko o jednym z nich, wspomnianym przy opisie weselnego zdjęcia Stanisławie, napisać nieco więcej. Dwojga imion Stanisław Wojciech Chrościechowski, urodził się w 1892 roku w miejscowości Średnie Duże (jak zapisano w metryce ślubu), należącej do parafii Nielisz. W 1918 roku ożenił się z córką właścicieli majątku w Wierzbicy Wandą Kiwerską. Ich ślub odbył się w kościele parafialnym w Płonce. W spisanej tam metryce pan młody przedstawiony jest jako student filozofii Wszechnicy Jagiellońskiej. Według dokładnej terminologii, studiował historię sztuki i architekturę klasyczną na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Z uzyskanym w tej dziedzinie wykształceniem, w latach 1920-1923 pracował w Oddziale Kultury i Sztuki Województwa Kieleckiego jako konserwator zabyt-

ków. W środowisku muzealnym ziemi świętokrzyskiej został zapamiętany jako współautor „Katalogu działu retrospektywnego zabytków architektury województwa kieleckiego”. Ten bardzo szczegółowo opracowany katalog, zawierający opisy zabytkowych obiektów, począwszy od drewnianych kapliczek, aż do murowanych pałaców, zamków i budowli sakralnych, został wydany w Kielcach w 1921 roku. Drugim autorem tego katalogu był zapewne znany Stanisławowi z okresu studiów Jerzy Remer, który w latach późniejszych stał się w Polsce cenionym muzealnikiem i znawcą sztuki. Wielka szkoda,

że Stanisław Chrościechowski zmarł tak młodo. Zmarł w majątku Wierchowina 8 grudnia 1924 roku, w wieku zaledwie 32 lat. Załączone dwie fotografie przedstawiają Stanisława (zdjęcie po lewej stronie) i jego starszego brata Jana.



Stanisław Chrościechowski (1892-1924) i jego brat Jan.

Na innej fotografii został uchwycony obraz z uroczystości organizowanej z okazji święta płonów, a po dawnemu, z okazji uroczystości dożynkowych. Jak wiadomo, dożynki to stara wiejska tradycja, w której wspólnie uczestniczyły rodziny właścicieli ziemskich, ich zatrudniona we dworze i w folwarku służba oraz miejscowi gospodarze. Widzimy tu na pierwszym planie dwie dziewczyny idące z dożynkowymi wieńcami. Od lewej strony widoczni są Jadwiga i Antoni Chrościechowski

oraz ich syn Kazimierz Kajetan, znany wszystkim jako Kajtek. Tłem fotografii jest widoczny fragment dworskiego budynku, a na drodze przed dworem stoi grupa dożynkowych gości.



Dożynki w Wierchowinie.

Dawne zdjęcia, oprócz walorów historycznych mają też swój niepowtarzalny, artystyczny urok. Taki szczególny koloryt dawnej sztuki fotograficznej ma załączone tu zdjęcie rodziny Łabędzkowskich. Na tej fotografii widzimy całą rodzinę oraz ich służącą, pozujących do zdjęcia w jakiejś letniej altance stojącej w sąsiedztwie szkolnego budynku. Obok Michała Łabędzkowskiego stoi służąca. Dalej przy stole siedzą: Stanisława, żona Michała i ich przybrana córka Lusja, trzymająca na kolanach małego Tadzia, jedyne rodzonego synka państwa Łabędzkowskich. Mimo, że aparat fotograficzny skierowany był w stronę padającego światła, przez co tło fotografii jest nieco prześwietlone, twarze wszystkich osób widocznych na zdjęciu zostały utrwalone z wyjątkowo dobrą ostrością.

Przypomnijmy, że Michał Łabędzkowski pełnił funkcję kierownika Szkoły Podstawowej w Wierchowinie w latach 1926-1945. Prawdopodobnie jeszcze przed podjęciem pracy w szkole, w 1926 roku ożenił się ze Stanisławą Cholewińską, która pracowała razem z nim jako nauczycielka. Tu chciałbym dodać, usłyszana od pani Ewy informację o mało znanych powiązaniach rodzinnych, jakie w późniejszych latach połączyły ze sobą te dwie mieszkające w Wierchowinie i zaprzyjaźnione ze sobą familie. Okazuje się, że Michał Ła-

będkowski wywodził się z mieszkającej we Lwowie rodziny nauczycielskiej. Jego siostra Maria była również nauczycielką. W jednej z przedwojennych lwowskich szkół uczyła fizyki i chemii. Los sprawił,

że po wojnie, w połowie lat pięćdziesiątych, Antoni Chrościechowski spotkał na swej życiowej drodze córkę siostry Michała Łabędzkowskiego, swojego znajomego z lat przedwojennych. Znajomość z siostrzenicą Michała, Krystyną Mróz, zakończyła się małżeństwem. Z ich związku urodziła się córka Ewa. Po zakończeniu wojny rodzina Łabędzkowskich przeniosła się z Wierchowiny aż do Poznania, gdzie jeszcze przez wiele

lat poświęcali swój czas pracy w szkole. Natomiast część rodziny Chrościechowskich, po utracie swoich majątków rozproszyła się po całej Polsce. Syn



Rodzina Łabędzkowskich.

Antoniego Kajetan kilka razy zmieniał miejsce zamieszkania, przenosząc się z jednego krańca Polski na drugi. Mieszkał między innymi w Szczecinie, w Bieszczadach i wreszcie w Izabelinie pod Warszawą, gdzie zmarł pod koniec lat osiemdziesiątych.



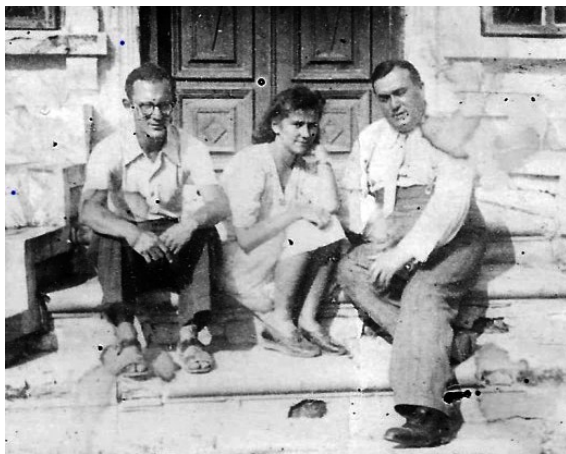
Antoni Chrościechowski (1904-1990).

Wróćmy jeszcze do historii kamienicy stojącej przy ulicy 3 Maja pod numerem 22. Jeszcze przed wojną, w roku 1937, kupił ją ojciec pani Ewy, Antoni Chrościechowski. Związana z tą kamienicą historia jest pełna interesujących wydarzeń. Ich opisy można z łatwością odnaleźć na stronach internetowych związanych z historią dawnego, jak też współczesnego Lublina. Po ogłoszeniu w 1944 roku reformy rolnej, właściciele ziemscy zostali pozbawieni swoich gromadzonych przez lata majątków. Jak podają raporty IPN dla terenów województwa lubelskiego, Chrościechowscy stracili wtedy ponad 500 hektarów ziemi. Rodziny ziemiańskie zostały zmuszone do radzenia sobie w nowej, nieraz wyjątkowo trudnej do przetrwania rzeczywistości. Wielu z nich doświadczyło represji ze strony tzw. aparatu bezpieczeństwa, jakim dysponowała i bezwzględnie się nim posługiwała nowa władza ludowa. Doświadczył tego Antoni Chrościechowski, który dwukrotnie był więziony w murach Zamku Lubelskiego, w tym raz przez okres 11 miesięcy. Znalazienie dobrej pracy, dającej poczucie bezpieczeństwa, było dla osób represjonowanych zadaniem niełatwym. Toteż, zanim Antoni znalazł pracę na dłużej, wędrował po kraju

i wykorzystywał swój talent w różnych zawodach. Między innymi, mając wykształcenie inżyniera rolnictwa, przez kilka lat, na terenie czterech powiatów położonych na ziemi śląskiej, pełnił funkcję inspektora do spraw rolnych. Od roku 1952 związał się z pracami renowacyjnymi prowadzonymi na Wawelu. Działo tam przedsiębiorstwo utworzone pod nazwą „Kierownictwo Odnowienia Zamku Królewskiego na Wawelu”. Jako wicedyrektor tej instytucji, zajmował się pozyskiwaniem odpowiedniej jakości materiałów potrzebnych do prac rewitalizacyjnych. Oprócz zamku królewskiego na Wawelu, podobnych prac konserwatorskich wymagały po wojnie również inne historyczne obiekty, takie jak zamek w Czorsztynie, zamek w Pieskowej Skale, pałac w Baranowie czy też pałac w Łańcucie. W odnawianiu tych obiektów, jak i wielu innych, Antoni też miał swój udział. Pani Ewa wspomina jedną ciekawą historię związaną z jej ojcem, kiedy do renowacji sufitu sali tronowej na Wawelu potrzebne były odpowiedniej długości i jakości dębowe belki. W tej sprawie wybrał się jej ojciec do Warszawy. Tam, jak zostało to barwnie opisane w Tygodniku społeczno-ekonomicznym „Fundamenty” (nr 9/1967), do kierującego odpowiednim resortem ministra, wygłosił naukową prelekcję będącą zarazem merytorycznym uzasadnieniem swojej wyjątkowej prośby. Posługując się argumentami o historycznym znaczeniu naszego kulturowego dziedzictwa, łatwo uzyskał zgodę. Minister, bez mrugnienia okiem, podpisał zlecenie na wycięcie w Puszczy Białowieskiej kilku wiekowych dębów. Antoni Chrościechowski, w przepisowym wieku 65 lat przeszedł na emeryturę. Jego związek ze swoim miejscem pracy, gdzie nadal był zatrudniony, początkowo na pół, a potem na ćwierć etatu, trwał jeszcze przez kilkanaście lat.

Wydawać by się mogło, że do przywoływania zdarzeń z tamtych, dawno minionych lat pozostały nam tylko fotografie. A jednak nie tylko. Mieszkająca w Chłaniowie, urodzona w 1926 roku pani Natalia Jonasz, dużo jeszcze z lat swojej młodości pamięta i chętnie o tym opowiada. Urodziła się w Majdanie Wierzychowińskim, w wielodzietnej rodzinie Siudygów. Jako uczennica szkoły w Wierzychowinie, uczyła się w tej samej klasie, co Marysia, córka Jadwigi i Antoniego Chrościechowskich. Usłyszałem od niej taką oto niebanalną historię.

Zgodnie z od dawna kultywowaną tradycją, dziewczynki, które w danym roku przystępowały do sakramentu Pierwszej Komunii Świętej, miały też obowiązek i zaszczyt zarazem, sypania kwiatków. Działo się to podczas celebrowania oktawy Bożego Ciała. Zwyczaj ten nakazuje, aby orszak sypiących kwiaty dziewczynek składał się z par. Szkolna przyjaźń sprawiła, że Marysia Chrościechowska wybrała sobie do pary właśnie Natalkę. Tu pojawił się problem, bo rodzinę Natalki nie było stać na uszycie córce odpowiedniego na tę okazję stroju. Natalka miała jeszcze ośmioro rodzeństwa. Dowiedziawszy się o tym, dziedziczka Jadwiga Chrościechowska najpierw zabrała obie dziewczynki do sklepu z materiałami, gdzie poczyniła odpowiednie zakupy, a potem do krawca. Po kilku dniach, ubrane w uszyte z drogiego materiału jednakowe białe sukienki, Marysia i Natalka mogły brać udział w kościelnych uroczystościach. Pani Natalia z sentymentem i wciąż odczuwalną w głosie wdzięcznością do swoich dobroczyńców, wspomina to do dzisiaj. Pamięta też, że codziennie przez cały okres sypania kwiatków, od dworu Chrościechowskich do kościoła w Chłaniowie i z powrotem, obie były wożone elegancko przystrojoną bryczką. Razem z nimi jeździła do kościoła pani Jadwiga, a czasami też dosiadał się do nich Kajtek, syn Antoniego i Jadwigi.



Marysia Chrościechowska przed plebanią w Chłaniowie.

Korzystając ze zbioru rodzinnych fotografii pani Ewy, możemy w tym miejscu dołączyć jeszcze jedno zdjęcie, na którym widzimy jedną z głównych postaci wyżej zapisanego fragmentu tekstu. Mam

tu na myśli Marysię Chrościechowską. Na tym zdjęciu, zrobionym na tle starej chłaniowskiej plebanii, widzimy Marysię siedzącą obok ubranego po cywilnemu chłaniowskiego proboszcza. Proboszczem w latach 1936-1946 był Stanisław Kondrat. Nieznany z nazwiska młody człowiek w okularach siedzący obok, był, jak się wydaje, dobrym znajomym z kręgu rodziny Chrościechowskich. Zdjęcie to zostało najprawdopodobniej zrobione w roku 1943. Marysia miała wtedy około piętnastu lat.

Rodzice pani Ewy, Krystyna i Antoni Chrościechowscy zmarli w Krakowie. Antoni połowę życia spędził w rodzinnym majątku w Wierchowinie. Być może, kierując się sentymentem do tego miejsca, życzył sobie, aby został pochowany na chłaniowskim cmentarzu, obok swoich rodziców. Jego ostatnia wola została spełniona. Urna z prochami jej rodziców została przywieziona z Krakowa do chłaniowskiego kościoła. Tam, przy udziale najbliższej rodziny i kilku osób spokrewnionych, zostało odprawione nabożeństwo żałobne. Z dobrze znanego rodzinie Chrościechowskich parafialnego kościoła, zgodnie z tradycją dawnych lat, pieszo wyruszył na cmentarz skromny kondukt pogrzebowy. Szli, niosąc urnę. Działo się to w ciepły, sierpniowy dzień. Z tego pogrzebu pozostał w pamięci pani Ewy taki niezwykle sugestywny obraz, kiedy ta prowadząca na cmentarz droga i otaczające ją łąki, skąpane były w promieniach chylącego się już ku zachodowi słońca. Chciałoby się dodać – dziedzic Antoni wrócił w swoje rodzinne strony, a one przyjęły go pogodnie i ciepło.

W latach przedwojennych, jak też w czasie okupacji, pochówki na parafialnym cmentarzu podlegały nieco innym regułom niż jest to praktykowane obecnie. Murowane groby należały do rzadkości. Zmarli z rodziny Chrościechowskich wcześniej byli pochowani na chłaniowskim cmentarzu w dwóch oddzielnych, położonych obok siebie grobach. W jednym spoczywali Kazimierz i Emma, a w drugim Jadwiga, pierwsza żona Antoniego i ich córka Marysia. Teraz, po tym ostatnim pogrzebie, po dołączeniu prochów ostatniego dziedzica Wierchowiny, wszyscy spoczywają w jednym wspólnym grobowcu, pod jedną nagrobną płytą, z napisem Rodzina Chrościechowskich.



Grobowiec rodziny Chrościechowskich.

Pani Ewa van der Veer-Chrościechowska, po śmierci ojca w 1990 roku odziedziczyła wspomnianą wcześniej, stojącą przy ulicy 3 Maja kamienicę. To spowodowało, że w następnych latach zaczęła przyjeżdżać do Lublina częściej. Jak wspominała wcześniej, nie zamierzała wiązać się z Lublinem na stałe. Jednak, chęć przywrócenia zabytkowemu budynkowi dawnego blasku i może też wrodzone zamiłowanie do prac konserwatorskich spowodowały, że razem z mężem, Franssem van der Veer, mieszkają w Lublinie już od kilkunastu lat. Razem prowadzą też sklep z antykami przy ulicy Zielonej.

Przechodząc ulicą Zieloną, a zdarzało mi się to wiele razy, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mogę spotkać tu kogoś, kto zna nasze rodzinne strony, kto jest związany z historią szkoły w Wierzychowinie i zna chłaniowski parafialny kościółek. Teraz, dzięki uzyskanym od pani Ewy informacjom, dokładniej poznaliśmy historię rodziny Chrościechowskich, która przez tak wiele lat była związana z mieszkańcami Wierzychowiny. Dzieliąc się tą historią z Czytelnikami „Nestora” myślę, że po zapoznaniu się z tymi wspomnieniami, wielu z nas odnajdzie w swej pamięci jeszcze inne interesujące rodzinne przekazy. Wracajmy więc pamięcią do lat minionych. Wracajmy pamięcią do ludzi, którzy byli tu przed nami.

Józef Adam Dąbek

Arkadiusz Kostecki



Krótki poczet organistów łopiennickich

Świat zmienia się nieustannie. Wiele osób uznałoby, że zmienia się na lepsze – rozwój technologiczny przyniósł udogodnienia ułatwiające codzienne życie. Przemiany widać także w mentalności współczesnych ludzi – doświadczenie wojen i przewrotów nauczyło Polaków pragnienia wolności i pokoju. Wewnętrzne dążenie do zmiany „na lepsze” ma jednak swoją drugą, nieco mroczniejszą stronę. Skupieni na poprawianiu niedociągnięć, tracimy czasami z oczu to, co było już dobre, a po jakimś czasie zapominamy o wielu sprawach z przeszłości. Współczesny pęd życia także nie zawsze sprzyja głębszej refleksji nad przeszłością i przywracaniu pamięci o regionalnym dziedzictwie.

Od dziecka pasjonuję się genealogią rodzinną i z zainteresowaniem śledzę losy dalszych gałęzi rodu. Ostatnio uświadomiłem sobie, że pasja genealogiczna i zdobyte dzięki niej doświadczenie w wyszukiwaniu informacji, mogą okazać się przydatne w opisywaniu historycznego wyglądu rodzinnych stron. Akta stanu cywilnego są bowiem przebogatym źródłem informacji o całej społeczności, która w danym czasie żyła w okolicy. Kolejne wpisy odsłaniają po latach postaci miejscowych posesorów (właścicieli dóbr), szynkarzy i winiarzy, kowali, mechaników, stolarzy, młynarzy, gajowych i leśniczych, akuserek, Żydów prowadzących różne interesy czy księży i organistów.

Jako sympatyk działalności i twórczości miejscowych muzyków, postanowiłem przyjrzeć się bliżej postaciom, które pojawiły się w aktach stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej pw. św. Bartłomieja Apostoła w Łopienniku Nadrzecznym. Do tego celu wykorzystałem dostępne on-line zdigitalizowane archiwalia oraz inne publikacje. Pomocna przy tym okazała się Baza indeksów portalu genealogicznego Lubelskie Korzenie¹, dzięki której znacznie sprawniej mogłem poruszać się po aktach lubelskich wspólnot wyznaniowych. Do

¹ <https://registry.lubgens.eu>.

sporządzenia niniejszego artykułu skorzystałem z akt stanu cywilnego parafii rzymskokatolickich w Łopienniku Nadrzecznym, Biskupicach, Chelmie (Rozesłania Apostołów), Fajslawicach, Gorzkowie, Krasnymstawie (św. Franciszka Ksawerego), Krzczonowie, Olchowcu, Piaskach, Siennicy Różanej i Tarnogórze. Skany dokumentów pochodziły z zasobów portalu Szukaj w Archiwach² oraz Family Search³. W nawiasach starałem się podawać odsyłacze do poszczególnych źródeł (nazwa parafii, rodzaj dokumentu: U – akt urodzenia, M – akt ślubu, Z – akt zgonu; numer aktu w księdze, rok sporządzenia aktu).

Pierwszym organistą, odnalezionym przeze mnie w aktach parafii Łopiennik Lacki, był **Tomasz Dobrowolski**. Pojawił się w akcie chrztu waszego syna Grzegorza Józefa, urodzonego 12.03.1765 r. Wcześniej, bo w akcie chrztu Wincentego Józefa Dominika Dobrowolskiego z 5.04.1763 r., Tomasz Dobrowolski ze swoją żoną Krystyną zostali określani jako szlachta (Łopiennik, *Liber Natorum*). Zapisy z ksiąg świadczą o tym, że muzyka organowa towarzyszy liturgii w Łopienniku przynajmniej od ponad dwustu pięćdziesięciu lat. Organy musiały istnieć już w dawnym, drewnianym kościele, który niegdyś stał na skarpie nad rzeką Łopą, gdzie obecnie znajduje się kamienna grotta z figurą Matki Bożej.

Nieco później funkcję organisty w Łopienniku pełnił **Maciej Wojciechowski**, urodzony ok. 1760 r., a ożeniony z Salomeą z Grenikowskich. W miejscowych aktach chrztów pojawia się już w 1791 r. jako ojciec Elżbiety Wojciechowskiej. Prawdopodobnie już wówczas pracował jako organista łopiennicki. Zmarł 13.01.1811 r., pozostawiając po sobie sześcioro dzieci i brzemienną żonę (Łopiennik Z/6/1811).

Kolejnym organistą łopiennickim, którego można odnaleźć na kartach dokumentów stanu cywilnego, był **Józef Księski**, urodzony ok. 1778 r. Jako organista kościoła w Łopienniku, został wymieniony w miejscowych księgach parafialnych po raz pierwszy w kwietniu 1811 r. (Łopiennik

U/22/1811). Był świadkiem wielu kolejnych uroczystości, aż do końca 1818 r.

Dokumenty parafialne z tego okresu wspominają także o organiscie **Sebastianie (Sebastyanie) Filipowiczu**, urodzonym ok. 1772. Jako świadek chrztów pojawił się w księgach urodzonych z 1817 i 1818 r. Nie był przy tym tytułowany organistą kościoła w Łopienniku, lecz tylko wspomniano o jego profesji. Może to sugerować, że przebywał na terenie parafii czasowo (w ramach praktyk lub pod nieobecność Józefa Księskiego).

W grudniu 1818 r. w aktach łopiennickich pojawia się kolejny organista – **Józef Maj (May/Muy)**, urodzony ok. 1794). Ochrzcił wówczas własnego syna Tomasza (Łopiennik U/49/1818). Józef mieszkał w Łopienniku-Ziemianach wraz ze swoją żoną Julianną z Borkowskich.

Trzy lata później, w styczniu 1821 r. jako świadka chrztu (Łopiennik U/3/1821) wymieniono kolejnego organistę, którym był **Stanisław Galinski**, urodzony ok. 1786. Mieszkał on wówczas przy kościele w Łopienniku-Ziemianach.

W akcie chrztu z 29.06.1825 r. jako organistę z Łopiennika wymieniono **Józefa Zawadyła**. Chrzcił wówczas swego syna Jana Pawła (Łopiennik U/43/1825). Żoną Józefa była Maryanna z Antoszewskich. W przeciwieństwie do szlachetnie urodzonych poprzedników, Zawadył był mieszczaninem urodzonym około 1805 r. Podobnie jak inni organisci, mieszkał przy kościele w Łopienniku-Ziemianach, a 8.05.1827 r. ochrzcił tutaj swoją córkę Antoninę Joannę (Łopiennik U/25/1827). Później posługiwał jako organista w kościołach: w Gorzkowie, gdzie ochrzcił syna Stanisława Józefa (Gorzków U/41/1829) oraz córkę Mariannę (Gorzków U/34/1831), Biskupicach, gdzie ochrzcił córkę Karolinę Józefę (Biskupice U/68/1836) oraz Fajslawicach, gdzie zmarł i został pochowany w 1851 r. Z aktu zgonu dowiadujemy się, że Józef Zawadył był synem Józefa i Anny (Fajslawice Z/33/1851). Jego syn Jan przejął po nim obowiązki organisty fajslawickiego.

Częste zmiany organistów w Łopienniku wynikały prawdopodobnie ze słabego uposażenia parafii – niewielki drewniany kościółek nie mógł pomieścić wielu wiernych ani tym bardziej dużego instrumentu, zaś większość okolicznej ludności utożsamiała się z cerkwią unicką w Łopienniku Ru-

² <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/zespol/-/zespol/4298>.

³ <https://www.familysearch.org/ark:/61903/3:1:9396-WK8Q-W?owc=2KGY-6MQ%3A171054801%2C202937901%3Fcc%3D1867931>.

skim (obecnie Łopienniku Podleśnym). Sytuacja zmieniła się pod wpływem kilku czynników, jednym z nich było wzniesienie nowej świątyni w 1827 r.

15.07.1827 r. odbył się chrzest Jana Wincentego Piotroskiego. W akcie chrztu zapisano, że ojciec Jana, **Andrzej (Jędrzej) Piotrowski (Piotroski)** był organistą kościoła w Łopienniku i mieszkał w Łopienniku Lackim. Andrzej Piotrowski urodził się w Piaskach około 1788 r., jako syn Stanisława i Marianny z Dziurawców. Wziął ślub 10.11.1805 r. z Katarzyną Tkaczyk z Gardzienic (Piaski, *Liber Copulatorum*). Pełnił wówczas funkcję organisty kościoła w Piaskach. Z Katarzyną doczekał się siedmiorga dzieci: Wincentego, Franciszka Ksawerego (Piaski, *Liber Natorum*), Wiktorii (Piaski Z/81/1812), Ewy (Piaski U/73/1813), Marianny (Piaski U/78/1816), Tekli (Piaski Z/27/1821) i Anny (Piaski U/68/1822). 7.01.1823 r. zmarła jego pierwsza żona (Piaski Z/83/1823). 15.02.1824 r. zawarł drugi związek małżeński z Katarzyną Ostańską z Brzezic (Piaski M/49/1824). Niedługo potem przeniósł się z rodziną do Łopiennika, a następnie (przed 1830 r.) do Olchowca, gdzie w 1832 r. urodziła mu się córka Tekla Małgorzata Barbara (Olchowiec U/14/1832). Powrócił do Łopiennika około 1834 r. (Łopiennik U/69/1834) i posługiwał tu aż do śmierci, 12.12.1836 r. Został pochowany na miejscowym cmentarzu (Łopiennik, Z/81/1836).

25.04.1830 roku świadkiem jednego z chrztów był organista **Jakób Tokarski**. Urodził się 21.07.1804 r. w Radecznicy (parafia Mokre Lipie) jako syn Andrzeja Tokarskiego i Apolonii z Wąsarskich. Miał siostrę bliźniaczkę Magdalenę. W Łopienniku posługiwał krótko – prawdopodobnie w okresie, kiedy Andrzej Piotrowski pracował w kościele w Olchowcu. Jakób Tokarski był przez długie lata organistą parafii Krzczonów, gdzie mieszkał wraz z żoną Marianną z Michalskich. W 1838 r. zmarli mu nagle dwaj synowie – pięcioletni Jakób i trzyletni Jan Kanty (Krzczonów Z/75/1838 i Z/76/1838). Oprócz wspomnianych synów, miał jeszcze jednego – Rajmunda. Jakób Tokarski zmarł w Krzczonowie 11.04.1861 r., tam też został pochowany (Krzczonów Z/90/1861).

Kolejny wpis pochodzi z 21.09.1837 r., gdzie jako świadek chrztu w łopiennickim kościele wymieniony został organista **Stanisław** (nazwisko nieczytelne) (Łopiennik U/64/1837). Miał

on wówczas 65 lat (ur. ok. 1772 r.). Natomiast 13.06.1844 r. świadkiem chrztu (U/38/1844) był organista **Franciszek Jurcza/Jarosza(?)**. Franciszek miał wówczas 41 lat i mieszkał w Łopienniku-Ziemianach. W 1849 r. w parafii pracował kolejny organista – **Ignacy Stemploski**. Miał on wówczas 27 lat (ur. ok. 1821) i mieszkał w Łopienniku Lackim (Łopiennik U/6/1849 i U/39/1849). Niestety, nie udało się ustalić innych faktów z życia wspomnianych wyżej trzech muzyków.

W 1850 r. funkcję organisty w Łopienniku pełnił **Jan Dutkiewicz**. 15.08.1850 r. ochrzcił tu swojego syna Hipolita (U/54/1850). Jan Dutkiewicz urodził się ok. 1807 r. w Galicji, we wsi Litoiska (Letoiska/Litwiska?) parafii Kamień, w Galicji Austriackiej, w cyrkule złoczowskim. W 1840 r. wziął w Chełmie ślub z Franciszką Zytkiewicz (Chełm M/12/1840), która niedługo potem zmarła. W 1847 r. ożenił się po raz drugi z Izabelą Staniszewską (Chełm M/6/1847). W Łopienniku posługiwał dość krótko, gdyż już w 1852 r. był organistą w pobliskich Fajstławicach. Tam urodziła mu się córka Konstancja (Fajstławice U/65/1852). Ostatnie lata życia spędził w Chełmie, gdzie zmarł 3.11.1860 r. (Chełm Z/46/1860).

Kolejnym organistą łopiennickim był **Antoni Galiński**, urodzony w Tarnogórze 4.01.1832 r. jako syn Wincentego Galińskiego, organisty tarnogórskiej parafii, oraz Maryanny z Maślónów (Tarnogóra U/03/1832). Niedługo po ślubie z Maryanną Rysakówną, zawartym 16.02.1851 r. w Tarnogórze (M/12/1851), przeniósł się do Łopiennika i podjął pracę jako miejscowy organista. Tutaj ochrzcił swego syna Leona (Łopiennik U/28/1852). Warto wspomnieć, że mniej więcej w tym samym czasie w parafii Nielisz posługiwał inny organista o tym samym imieniu i nazwisku. Nie udało się ustalić, czy obaj – Antoni oraz dawny organista z Łopiennika Stanisław byli spokrewnieni.

W 1865 r. w księgach parafialnych pojawia się nazwisko kolejnego organisty – był nim **Antoni Kobylański**. Urodził się we wsi Borów ok. 1834 r. Był synem Jakuba Kobylańskiego (ekonomia dworu w Borowie, parafii Gorzków) oraz Teresy Bolesławowej (dziedziczki części majątku w Borowie). 4.11.1856 r. ożenił się z Katarzyną Kicińską, córką rzeźników krasnostawskich (Krasnystaw M/73/1856). Doczekał się z nią licz-

nego potomstwa (czternaścioro dzieci), a byli to: Stanisław Konstanty ur. 18.10.1857 r. w Krasnymstawie (Krasnystaw U/299/1857), Wawrzyniec oraz Kazimierz – bliźnięta, ur. 22.11.1862 r. w Stężycy (Krasnystaw U/376/1862 i U/377/1862), Walery Marcin ur. 19.11.1863 r. w Stężycy, (Krasnystaw U/370/1863), Józefa ur. 7.02.1865 r. w Ziemianach (Łopiennik U/19/1865), Jan Karol ur. 4.03.1866 r. w Ziemianach (Łopiennik U/20/1866), Seweryna ur. 30.05.1867 r. w Ziemianach (Łopiennik U/32/1867), Władysław ur. 25.07.1868 r. w Łopienniku Lackim (Łopiennik U/59/1868), Andrzej Konrad ur. 28.11.1869 r. w Łopienniku Lackim (Łopiennik U/86/1869), Karol ur. 3.03.1871 r. w Ziemianach (Łopiennik U/36/1871), Tomasz oraz Maryanna – bliźnięta, ur. 10.12.1874 r. w Łopienniku Lackim (Łopiennik U/107/1874 i U/108/1874), Julian ur. 16.04.1876 r. w Łopienniku Lackim (Łopiennik U/38/1876) oraz Kazimiera ur. 4.06.1881 r. w Łopienniku Lackim (Łopiennik U/48/1881).

Zawodowo Antoni Kobyłański był nie tylko organistą. W akcie ślubu zapisano, że pełnił funkcję zakrystiana przy parafii w Krasnymstawie. Na przełomie lat 50. i 60. XIX w. przeniósł się do Stężycy k. Krasnegostawu, gdzie pracował jako nauczyciel w miejscowej szkole wiejskiej. Prawdopodobnie w 1864 r. przeniósł się z rodziną do miejscowości Ziemiąny i zamieszkał w pobliżu kościoła w Łopienniku, wówczas podjął się posługi miejscowego organisty. Ponadto, w akcie chrztu córki Kazimierzy z 1881 r. został opisany jako „ławnik sądu fajslawickiego”.

Antoni Kobyłański zmarł 18.07.1908 r. w Łopienniku Lackim i został pochowany na miejscowym cmentarzu rzymskokatolickim (Łopiennik Z/77/1908). W akcie zgonu opisany jako tutejszy organista – prawdopodobnie posługiwał w Łopienniku jako główny organista aż do śmierci, w ostatnich latach życia szkoląc młodego Adama Barwę.

Adam Barwa urodził się 12.05.1875 r. (30.04.1875 r. wg kalendarza juliańskiego) w Czyściej Dębinie (Gorzków U/81/1875), jako syn Michała i Józefy z domu Członka. Ożenił się z Julią Szkałubą z Woli Siennickiej 12.01.1899 r. (Siennica Różana M/1/1899). W akcie ślubu zapisano, że Adam Barwa pełnił posługę organisty w kościele rzymskokatolickim w Łopienniku. Posługiwał prawdopodobnie jako drugi organista, uczący się u ży-

jącego jeszcze Antoniego Kobyłańskiego. Pierwsza żona Adama, Julia Barwa zmarła w 1944 r. (Łopiennik Z/103/1944). Pomimo podeszłego wieku, organista ożenił się po raz drugi z Antoniną Kowalczyk. Ceremonia miała miejsce w Łopienniku 26.02.1945 r. (wspomina o tym dopisek przy akcie chrztu muzyka).

Był pierwszym organistą grającym w nowo wybudowanym neogotyckim kościele w Łopienniku. Przez ponad czterdzieści lat posługiwał na starych organach przeniesionych z poprzedniej świątyni. Nowe 22-głosowe organy wzniesiono w 1938 r. staraniem ks. Jana Kosiora. Instrument powstał w warszawskiej Fabryce Organów Wacława Biernackiego. Stary instrument przeniesiono do Krasnegostawu (najprawdopodobniej do kościoła Trójcy Przenajświętszej)⁴.

Barwa dał się poznać jako dobry chórmistrz – był założycielem chóru parafialnego „Lutnia” z Łopiennika. Według wspomnień dawnych chórzystów i nielicznych zapisków, chór powstał w 1916 r., tuż po wybudowaniu nowego kościoła. Istnieją jednak przesłanki, że łopiennicka tradycja chóralna sięga znacznie wcześniej, do XIX w. Chór parafialny „Lutnia” z Łopiennika należał m.in. do Lubelskiego Związku Teatrów i Chórów Ludowych (wymieniony w sprawozdaniu LZTiChL z sezonu 1936/1937). Po wojnie chór funkcjonował nadal, aczkolwiek już bez nazwy „Lutnia” jako chór parafialny z Łopiennika. Do dziś zachowało się wiele rękopisów kompozycji Adama Barwy, stworzonych na użytek tego zespołu. Udzielał się także jako działacz społeczny – był m.in. współtwórcą tzw. Niedzielnego Uniwersytetu Ludowego w Łopienniku.

Adam Barwa zmarł 24.03.1951 r. w Łopienniku. Jego nagrobek znajduje się naprzeciwko wejścia do kaplicy pw. Najświętszego Serca Jezusowego stojącej na cmentarzu parafialnym w Łopienniku Nadzrecznym.

Następca Barwy także szkolił się u swojego poprzednika. **Franciszek Sawa**, bo o nim mowa, ożenił się z Marianną Lipą w Łopienniku w 1934 r. (M/4/1934) i już wówczas grał na nabożeństwach w łopiennickiej świątyni. Niedługo później urodził mu się syn Marian (ur. 1937 r. w Krasnymstawie),

⁴ <https://musicamsacram.pl/instrumenty/3481-łopiennik-nadzreczyny-kościol-sw-bartłomieja-apostola>.

późniejszy wybitny organista i kompozytor. Prof. Marian Sawa niejednokrotnie wspominał, że jako dziecko grywał na organach w Łopienniku razem ze swym ojcem, kiedy to poprzedni organista Adam Barwa jeszcze żył. Franciszek Sawa kontynuował dzieło Barwy – nie tylko grał na nabożeństwach w kościele, ale także prowadził chór parafialny, współprowadził chór szkolny i spełniał się zawodowo jako nauczyciel muzyki w okolicy. Ponadto zaszczeplił zamiłowania muzyczne u swoich dzieci i kolekcjonował liczne instrumenty oraz nuty⁵.

Na przełomie lat 70. i 80. XX w. ks. bp Bolesław Pylak skierował do parafii w Łopienniku siostry ze Zgromadzenia Córek Świętego Franciszka Serafickiego. Jedną z młodych sióstr, **s. Barbara Łyżwa CFS**, zajęła się wówczas oprawą muzyczną nabożeństw w kościele oraz prowadzeniem chóru parafialnego. Jako organistka posługiwała tu do czasu istnienia zgromadzenia przy parafii, tj. do 1994 r.⁶.

Kolejnym organistą w Łopienniku został w 1994 r. **Stanisław Miciuła**. Miał już wówczas duże doświadczenie jako muzyk (pierwszą pracę podjął w 1958 r.). Podobnie jak poprzednicy, udzielał się w życiu miejscowej społeczności, prowadził zespoły i chór parafialny, a także uczył muzyki indywidualnie. Zmarł w 2014 r. w wieku 77 lat, spoczywa na cmentarzu w Łopienniku Nadrzecznym⁷.

Po śmierci Stanisława Miciuły organistą w Łopienniku został **Paweł Suryś**, absolwent muzykologii KUL, nauczyciel muzyki i pianista⁸. W 2016 r. zawiesił działalność założonego sto lat wcześniej chóru parafialnego „Lutnia”⁹. Oprócz oprawy muzycznej lokalnych wydarzeń i uroczystości, organizuje także koncerty organowe, prezentując grę na wysokim poziomie.

⁵ Z. Jankowska, *Wspomnienia o naszym domu*, [w:] „Studia nad twórczością Mariana Sawy”, red. Łukaszewski M., *Musica Sacra Nova* Nr 5, Warszawa 2011, s. 589-590.

⁶ Na podstawie informacji pozyskanych od członków Chóru Parafialnego „Lutnia” w Łopienniku.

⁷ <https://ako.diecezja.lublin.pl/2020/02/09/zmarli-organisci-od-2014-r/>.

⁸ <https://pl.linkedin.com/in/pawe%C5%82-sury%C5%9B-b4800b132>.

⁹ Na podstawie informacji pozyskanych od członków Chóru Parafialnego „Lutnia” w Łopienniku.

Powyższy spis organistów parafii rzymskokatolickiej w Łopienniku Nadrzecznym zwraca uwagę na sylwetki i dorobek muzyków pracujących tylko w tej jednej wspólnoty. Jako autor jestem świadomy tego, że spis może być niekompletny, a badania ksiąg parafialnych z innych zakątków Lubelszczyzny mogą przynieść dalsze odkrycia. Będzie mi bardzo miło, jeżeli Czytelnicy zechcą w jakikolwiek sposób uzupełnić stan wiedzy o muzykach ziemi krasnostawskiej, lub też podejmą własne (niekoniecznie muzyczne) badania nad historią swojej rodziny lub okolicy.

Arkadiusz Kostecki

Lucjan Cimek

Polski geolog – badacz zasobów naturalnych Syberii



Jednym z wybitniejszych geologów zajmujących się badaniem zasobów naturalnych Syberii był niewątpliwie Aleksander Piotr Czekanowski. Urodził się 18 lutego 1833 roku w Krzemieńcu. Był synem Wawrzyńca, właściciela szkoły w Krzemieńcu oraz współpracownika gabinetu przyrodniczego Liceum Wołyńskiego. Już jako uczeń szkoły powszechnej, pod okiem ojca i Wilibalda Bessera (1784-1842), polskiego botanika, lekarza, badacza flory Wołynia, Podola i Ukrainy, zajmował się kolekcjonerstwem. Głównie były to skamieniałości zebrane z wycieczek po okolicy i na Górę Królowej Bony (407 m).

Aleksander P. Czekanowski szkołę średnią ukończył w 1850 r. w Kijowie i rozpoczął studia medyczne na miejscowym uniwersytecie (przeniesionym w 1834 r. z Wilna). Interesował się głównie naukami przyrodniczymi. Latem 1851 r. odbył pierwszą większą wycieczkę na Wołyń i Podole, gdzie interesował się występowaniem susła perłkowanego (*Citellus suslicus*). Prowadził także badania skał krystalicznych tego regionu, a na Podolu zebrał ponadto bogatą kolekcję skamieniałości okresu sylurskiego. W 1856 r. przeniósł się

na studia medyczne do Dorpatu (obecnie: Tartu w Estonii), a w 1857 r. przerwał te studia, poświęcając się całkowicie geologii.

Współpracował wówczas, m.in. z Benedyktem Dybowskim (1833-1930) i przyrodnikiem F. Schidtem, z którym odbywał wycieczki badawcze po Estonii. W 1857 r. powrócił na Wołyń i prawdopodobnie dotarł do Kijowa, gdzie utrzymywał się, podejmując różne zajęcia, m.in. pracował jako urzędnik firmy „Siemens i Halske”, budującej linię telegraficzną do Indii. Współpracował z gabinetem zoologicznym uniwersytetu w Kijowie. W tym czasie odbył podróż badawczą na Krym, gdzie zbierał okazy fauny, flory i skamieniałości.

Podczas powstania styczniowego A.P. Czekanowski został aresztowany i skazany na sześć lat katorgi na Syberii. Początkowo był osadzony w cytadeli kijowskiej, a następnie wysłany pieszo przez Kazań, Perm, Omsk do Irkucka. Po drodze zbierał wraz z M. Hartungiem okazy fauny. Zapadłszy na tyfus, przebywał w szpitalu w Tomsku. Na wiosnę 1865 r. dotarł do Irkucka, skąd został skierowany do obozu pracy w Siwakowej koło Czyty na Zabajkalu. Następnie przebywał w Darasunie (także na Zabajkalu) oraz w Padunie (Przedbajkale). Wszędzie kolekcjonował okazy skał oraz skamieniałości fauny i flory. Od 1866 r. stale wysyłał kolekcje do Akademii Nauk w Petersburgu. Umożliwiał to Czekanowskiemu aktywność naukową oraz pewną swobodę. W 1868 r. zezwolono mu na przeniesienie się w dorzecze górnej Leny, a następnie na zamieszkanie w Irkucku. Jeszcze tego roku, wspólnie z A.M. Łomonosowem ustalał przyczynę wydzielania się gazu z dna jeziora Bajkał.

W latach 1869-1873 A.P. Czekanowski prowadził studia zmierzające do opracowania monografii geologicznej guberni irkuckiej, którą wydał w Irkucku w 1874 r. pt. *Geologiczneskoje issledowanie Irkuckoj guberni* („Geologiczne badania irkuckiej guberni”). Za mapę dołączoną do tej pracy Międzynarodowy Kongres Geograficzny w Paryżu przyznał mu złoty medal (1875). Pierwszym ważnym odkryciem Czekanowskiego było znalezienie jurajskiej fauny i flory w węglach kamiennych koło wsi Ust'-Bielaja w dorzeczu Angary, uważanych dotychczas za karbońskie. Za to odkrycie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne przyznało mu w 1869 r. mały złoty medal. W 1872 r. Czekanow-

ski podjął badania nad dokumentacją złóż złota w dorzeczu Amuru. W marcu 1873 r. poprowadził wyprawę na północ Syberii. Dotarł do doliny rzeki Niżnej Tunguski, którą zbadał do ujścia. W grudniu tego roku wyruszył ponownie, zbadał dolinę rzeki Oleniok w Jakucji, skąd powrócił przez Wierchojańsk (najniższe miejsce na Ziemi) i Jakuck do Irkucka na początku 1875 r. W roku tym ponownie poprowadził wyprawę aż do ujścia rzeki Oleniok do Morza Łaptiewów, w której towarzyszył mu Z. Węglowski odpowiadający za transport i aprowizację.

W 1876 r. A.P. Czekanowski został zwolniony z zesłania. Za zgodą cara Aleksandra II zezwolono mu na pobyt w Petersburgu, gdzie otrzymał pracę w Muzeum Mineralogicznym Akademii Nauk. Latem tego roku odwiedził Sztokholm, by porównać skamieniałości zebrane nad Leną i Oleniokiem z okazami ze Spitzbergenu. Po powrocie do Petersburga przystąpił do opracowywania materiałów z ekspedycji syberyjskich. Jednak stan jego zdrowia raptownie się pogorszył i 30 października 1876 r. zmarł wskutek wewnętrznego zatrucia organizmu. Przyczyną śmierci prawdopodobnie była ostra niewydolność nerek, a nie jak podejrzewano zatrucie zewnętrzne. Niezależnie od tego, co myślimy na ten temat, niedomówienia i przemilczenia w diagnozie rosyjskich lekarzy są i tak dostatecznie wystarczające, aby sądzić, że było inaczej.

Badania A.P. Czekanowskiego na Syberii miały kolosalne znaczenie dla nauki. Ustalił on wiek węgla kamiennych oraz warunki występowania różnorodnych złóż, m.in. malachitu i azurytu w górach otaczających jezioro Bajkał. Sporządził pierwsze mapy geologiczne tego rejonu oraz geograficzne mapy badanych obszarów: dolin Niżnej Tunguski i Olenioku. Na cześć Czekanowskiego, B. Dybowski nazwał jego imieniem jedną z gór w okolicy Kuituku, na południe od jeziora Bajkał. Na wniosek Eduarda Tolla (1852-1902) rosyjskiego badacza Arktyki, grzbiet górski między ujściem doliny Olenioku i Leną nazwano Górami Czekanowskiego (*Czekanowskogo kriaż* – wys. do 529 m, zbudowany z piaskowców i margli, kamienista tundra). Ponadto, nazwisko Czekanowskiego, występuje w imionach gatunkowych wielu skamieniałości roślin i zwierząt.

O tym jak ważne badania geologiczne prowadził na Syberii Aleksander Piotr Czekanowski

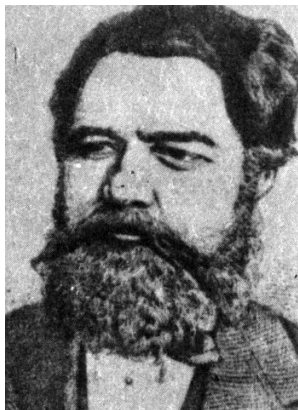
niech świadczy fakt, że w 1913 r. Komitet Geologiczny w Petersburgu skierował tam inżyniera górnika Stanisława Doktorowicza-Herbnickiego, aby ten wykonał m.in. mapy południowo-zachodniej części okręgu zabajkalskiego i gór Chamar-Daban (terenów badanych uprzednio przez A.P. Czekanowskiego) oraz południowych pobrzeży jeziora Bajkał. Chodziło głównie o dokładne zaznaczenie złóż fluorytu, a także złota i wolframu.

Dlatego do dziś Aleksander Piotr Czekanowski pozostaje w świadomości wielu Rosjan jednym z twórców ich nauki o budowie i dziejach litosfery ziemskiej.

Lucjan Cimek

Bibliografia

1. S. Arnold, W. Kurkiewicz, W. Tatomir, W. Żurawski, *Dzieje świata*, Warszawa 1990, s. 295.
2. *Encyklopedia powszechna PWN*, Warszawa 1973, T. I, s. 530.
3. B. Orłowski, *Słownik polskich pionierów techniki*, Katowice 1984, s. 47-48.
4. K. Próchnicki, *Suseł perełkowany*, Zamość 2007.
5. T. Turkowski, *Aleksander Czekanowski 1833-1876. Geolog, powstaniec i badacz Syberii wschodniej. Zarys biograficzny*, Wilno 1938.
6. Z. Wójcik, *Aleksander Czekanowski. Szkice o ludziach, nauce i przyrodzie na Syberii w XIX w.*, Lublin 1983.



Aleksander Piotr Czekanowski (fot. „Słownik polskich pionierów techniki”, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1984).

Lucjan Cimek



Zwiastuny wiosny

Nieraz ciepły deszczyk pryśnie
i wiatr otrząśnie pył z jabłoni.
W sadzie czereśnie i wiśnie
i świerszcz o zmierzchu dzwoni.

Jakże serdeczną wiosnę witać?
Słowem, jak się pożegnać z zimą?
Gdy białoróżowe kwiaty stokrotek –
pod gęstwina świerczyn giną.

Nad stawem stroi się rokita,
przy drodze świeży pąk podbiału,
jak radość wielka znów zakwita
z na półzmurszałej wierzby gałąź.

Cóż, że się mrozom złym nie ostał
ogródek malw – i klomb z różami.
Za to oszroniony dach domostwa
w zimowym słońcu skrzył perłami.



Wiosenna radość i tulipany (fot. Lucjan Cimek).

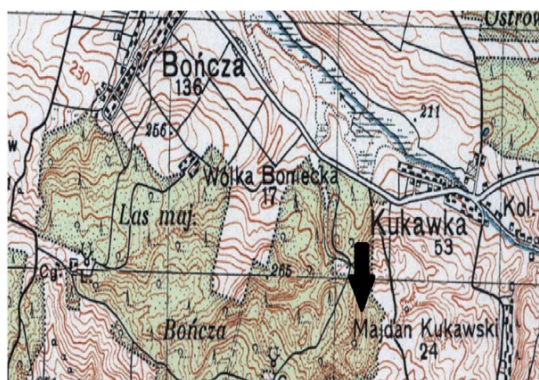
Jacek Kiszczak

Tajemnice archeologii. Część IV



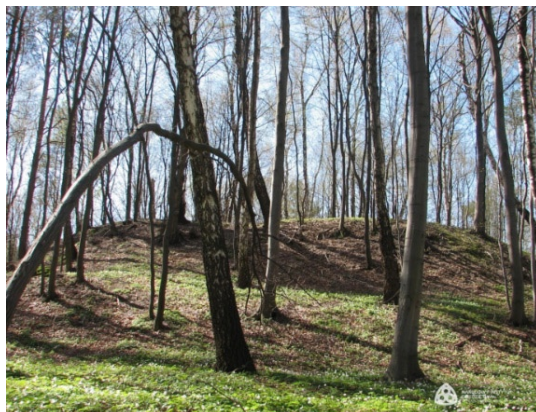
Bończa

W Bończy, gminie Kraśniczyn znajduje się wczesnośredniowieczne grodzisko, o którym nie posiadamy zbyt wielu informacji, ze względu na sondażowy stan rozpoznania archeologicznego¹. Obiekt stanowi unikatowy element krajobrazu wyżynnego. Do literatury grodzisko zostało wprowadzone przez Stanisława Skibińskiego w 1961 r. Usytuowane jest na wschodnim skraju miejscowości, ok. 1 km na południowy zachód od wsi Kukawka, w Parku Krajobrazowym „Las Bałkany”. Przez miejscową ludność miejsce to nazywane jest „Zamczyskiem”².



Bończa, gm. Kraśniczyn. Lokalizacja grodziska, stan. 1, skala 1:100000, podkt. mapa WIG-a (oprac. własne).

Grodzisko posiada kształt zbliżony do prostokąta o zaokrąglonych narożach i wymiarach 35 x 50 m (pow. 0,18 ha). Obiekt otacza wał o szerokości 3-5 m, w części północno-wschodniej może znajdować się wyprofilowana platforma i relikty odcinkowego wału wzmacniającego obronność grodziska. U podnóża znajduje się intencjonalnie ufor-



Widok na grodzisko w Bończy (fot. E. Prusicka) (źródło: <https://zabytek.pl/pl/obiekty/boncza-grodzisko> [dostęp: 20.12.2022]).



Widok grodziska majdanu z fragmentami wału (fot. T. Dzieńkowski) (źródło: T. Dzieńkowski, 2019, s. 83).

mowana dookólna płaszczyna o szerokości 2-3 m, która może być identyfikowana jako droga³.

Badania archeologiczne sondażowo-wykopaliskowe zostały przeprowadzone przez Grażynę Bownik w 1970 roku⁴, natomiast badania powierzchniowe AZP na stanowisku wykonał Stanisław Gołub w 1984 roku⁵. Podczas prac badawczych założono dwa wykopy sondażowe, dzięki którym rozpoznano głównie umocnienia obronne grodu. W wykopie znajdującym się na wale odsłonięto dużą

1 W starszej literaturze znane jako grodzisko w Kukawce, a obecnie znajdujące się w granicach administracyjnych Bończy.

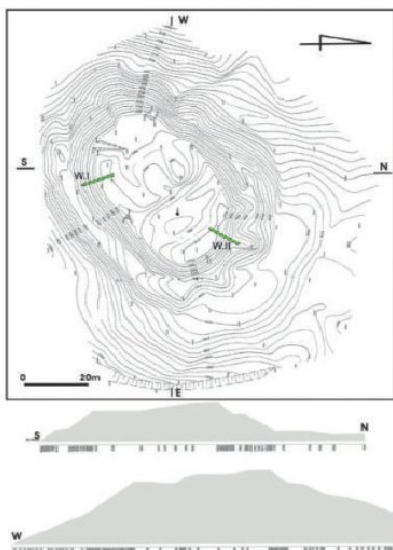
2 <https://zabytek.pl/pl/obiekty/boncza-grodzisko> [dostęp: 20.12.2022].

3 T. Dzieńkowski, *Bończa, gm. Kraśniczyn, pow. krasnostawski (w starszej literaturze Kukawka. Grodzisko)*, [w:] „Grody Lubelszczyzny od XI do XIV wieku”, (red.) E. Banasiewicz-Szykuła, Lublin 2019, ss. 82-84.

4 G. Bownik, *Kukawka, pow. Chełm*, „Informator Archeologiczny. Badania 1970 roku”, 1970, s. 179.

5 T. Dzieńkowski, dz. cyt., s. 83.

mięszczość warstwy polepy, a także przepalone konstrukcje drewniane, które mogą świadczyć o budowie wału w konstrukcji skrzyniowej (belki wzdłużne i prostopadłe oraz słupy). Pierwotna wysokość mogła wynosić ok. 2,5 m. W wykopie znajdującym się w przywale odnaleziono pozostałości kamiennego paleniska. Przepalone konstrukcje drewniane oraz liczne węgle drzewne zebrane z wykopów mogą świadczyć o gwałtownym pożarze grodu. Z nasypu pozyskano kilka fragmentów ceramiki naczyńowej datowanej na X-XIII w⁶. Według Tomasza Dzieńkowskiego, grodzisko w Bończy „jest przykładem niespełnionych badań lat 60. Pozbawione dokumentacji z przeprowadzonych prac oraz opracowania ich wyników pozostaje ze względu na plan, kształt i wielkość zaliczone do obiektów wczesnopanstwowych...”⁷.



Plan grodziska w Bończy z przybliżoną lokalizacją wykopów (źródło: T. Dzieńkowski, 2019, s. 82).

Podczas zwiadu konserwatorskiego w 2011 roku zauważono, że grodzisko jest miejscem postępującej działalności rabunkowej, o czym świadczą świeże wykopy zarejestrowane na terenie majdanu i wału⁸.

Fajstławice

W Fajstławicach znajduje się pojedynczy kopiec (stanowisko 1), najprawdopodobniej domniemany kurhan o nieokreślonej chronologii. Obiekt został zlokalizowany podczas badań powierzchniowych AZP. Znajduje się na granicy pół uprawnych, zachowana wysokość wynosi ok. 1 m, średnica ok. 8 m. Kurhan posiada zarys zbliżony do prostokątnego. Może być to wynik podcinania nasypu podczas prac ornych⁹. Obiekt do dziś nie został pozytywnie zweryfikowany w terenie, skutkiem braku kompleksowych badań wykopaliskowych. W związku z powyższym nie jest możliwe dokładne określenie jego funkcji i chronologii.



Fajstławice, lokalizacja domniemanego kurhanu, stan. 1, skala 1:300000, podkl. mapa WIG-a (oprac. własne).



Widok na domniemany kurhan w Fajstławicach (fot. G. Mączka) (źródło: G. Mączka, K. Grochecki, Ł. Miechowicz, 2020, s. 87).

⁶ <https://zabytek.pl/pl/obiekty/boncza-grodzisko> [dostęp: 20.12.2022].

⁷ T. Dzieńkowski, dz. cyt., s. 83,

⁸ <https://zabytek.pl/pl/obiekty/boncza-grodzisko> [do-

stęp: 20.12.2022].

⁹ G. Mączka, K. Grochecki, Ł. Miechowicz, *Katalog zabytków*, [w:] „Kurhany na Wyżynie Lubelskiej”, (red.) G. Mączka, Lublin 2020, ss. 86-87.

Stryjów

W Stryjowie, gminie Izbica znajduje się cmentarzysko kurhanowe, które doczekało się kompleksowych badań archeologicznych w latach 2014-2015. Prace wykopaliskowe zostały przeprowadzone na stanowisku 30 przez Janusza Budziszewskiego, Jerzego Liberę, Pawła Jarosza i Piotra Włodarczyka¹⁰.

Badaniom archeologicznym poddany został kopiec odkryty w 2014 roku, dzięki lotniczemu skanowaniu laserowemu, zlokalizowany na kompleksie leśnym „Pańska Dolina”. Znajdował się na kulminacji rozległego wzniesienia górującego od strony południowo-zachodniej doliny Wolicy. We wschodniej części natrafiono na pozostałości drugiego, mniejszego nasypu¹¹.



Widok na kurhan w Stryjowie przed badaniami wykopaliskowymi (fot. M. Jakubczak) (źródło: G. Mączka, K. Grochecki, Ł. Miechowicz, 2020, s. 193).



Stryjów, gm. Izbica. Lokalizacja cmentarzyska kurhanowego, stan. 30, skala 1:50000, podkł. mapa topograficzna (oprac. własne).

Prace badawcze przyniosły efekt przebadania kurhanu wraz z dużymi fragmentami jego najbliższego otoczenia. W centralnej części nasypu zadokumentowano cztery groby szkieletowe z wyposażeniem, o kształcie prostokątnym. W centralnej części kopca wystąpiła kolista jama, w której wypełnisko sugerowałoby na powstanie

w średniowieczu lub nowożytności. Odsonięty także został fragment jamy przykurhanowej. W obniżeniu powstałym wskutek wybrania ziemi

na nasyp zarejestrowano grób szkieletowy nr 8, o orientacji na osi N-S, mający konstrukcję kamiennej skrzyni. Jej wymiary wynosiły 240 x 85 cm, a wysokość 45 cm. Pochówek posiadał bogate wyposażenie. W dalszej części zostały założone kolejne wykopy badawcze wokół kurhanu i pod nasypem kopca. Odkryty został grób z konstrukcją kamienną o wymiarach 2,1 x 1,5 m, w obrębie komory grobowej zachowały się szczątki dorosłej osoby i grociki kamienne datowane na wczesną epokę brązu – początek kultury strzyżowskiej i późna faza kultury mierzanowickiej. W centralnej części nasypu kurhanu odnaleziono fragmenty dużego naczynia kultury mierzanowickiej. Wyposażenie odkrytych grobów stanowiły grociki krzemienne, ozdoby złote, miedziane, fajansowe, kościane czy z muszli małży. Podczas badań pobrane zostały próbki do datowania ¹⁴C, które pozwoliły ustalić chronologię kurhanu na ok. 2100-1900 przed Chr., a grób nr 8 powstał ok. 1900-1700 przed Chr. Cmentarzysko należy łączyć z kulturą strzyżowską z wczesnej epoki brązu. Kopiec został zrekonstruowany i jest dostępny dla zwiedzających¹².

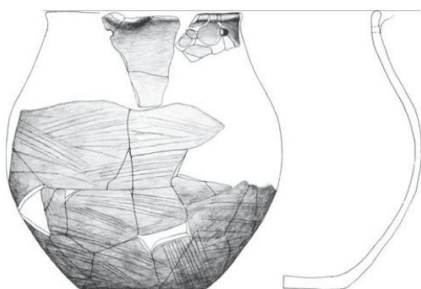
¹⁰ Włodarczyk P., Budziszewski J. i inni, *Sprawozdanie z badań przeprowadzonych na stanowisku 30 w Stryjowie, gm. Izbica, woj. lubelskie*, mps WUOZ Del. Chełm.

¹¹ G. Mączka i wsp., dz. cyt., s. 192.

¹² G. Mączka i wsp., dz. cyt., ss. 192-193.



Stryjów, gm. Izbica. Grób nr 8 podczas eksploracji (fot. P. Jarosz) (źródło: G. Mączka, K. Grochecki, Ł. Miechowicz, 2020, s. 195).



Stryjów, gm. Izbica. Naczynie kultury mierzanowickiej (rys. M. Podsiadło) (źródło: G. Mączka, K. Grochecki, Ł. Miechowicz, 2020, s. 193).

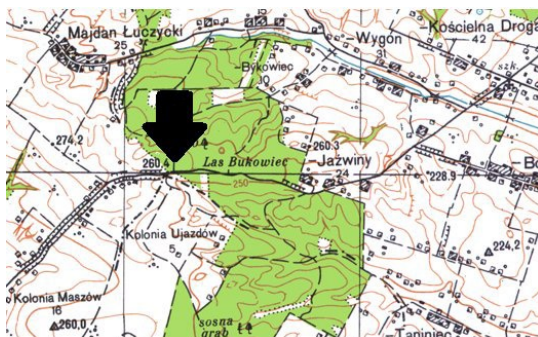
W zbiorach Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie znajduje się dwuelementowa ozdoba z blaszką wykonaną ze złota i przymocowanym do niej miedzianym drutem, pochodząca z powyższych badań. Co warto podkreślić, tego typu złote przedmioty z okresu wczesnego brązu należą na Lubelszczyźnie do rzadkości.



Stryjów, gm. Izbica. Złota ozdoba (fot. P. Gan) (zbiory Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie).

Wirkowice Drugie

W Wirkowicach Drugich, gminie Izbica znajdują się dwa domniemane cmentarzyska kurhanowe, które zostały zlokalizowane dzięki badaniom teledetekcyjnym¹³.



Wirkowice Drugie, gm. Izbica. Lokalizacja domniemanych cmentarzysk kurhanowych, skala 1:50000, podkł. mapa topograficzna (oprac. własne).



Ogólny widok na cmentarzysko kurhanowe w Wirkowicach Drugich (fot. G. Mączka) (źródło: G. Mączka, K. Grochecki, Ł. Miechowicz, 2020, s. 227).


Cmentarzyska zarejestrowano na obszarze Lasów Państwowych. Na jednym z nich zgrupowane jest siedem kopców ziemnych o wymiarach

¹³ Jedną z metod geofizycznych polegającą na badaniach wykonywanych z pewnej odległości przy wykorzystaniu specjalistycznych sensorów (czujników). Tego typu badania można wykonywać z przestrzeni kosmicznej, samolotów czy z powierzchni ziemi. Sygnał jest wysyłany z instrumentu, a po odbiciu od obiektu – odbierany i analizowany.

od 5 do 10 m średnicy i wysokości dochodzącej do 0,8 m. Na drugim cmentarzysku znajduje się pięć niewielkich kopców ziemnych, o zbliżonych rozmiarach. Ich ogólna powierzchnia wynosi 4 ary, podstawy mają kształt owalny albo okrągły, natomiast szerokość wynosi od 4 do 6 m¹⁴. Obiekty wymagają przede wszystkim przeprowadzenia kompleksowych badań wykopaliskowych w celu zweryfikowania i ustalenia ich funkcji oraz chronologii, a także w przyszłości wydania monografii.

Jacek Kiszczak

Monika Nagowska

 Mikołaju Sienickim
w 450 rocznicę
krasnostawskiego kaptura – cz. 4



Mikołaj Sienicki, poseł ziemi chełmskiej i wielokrotny marszałek sejmu zaangażował się w 1572 r. – po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta – w niełatwy proces uzgadniania miejsca i czasu elekcji. Po zapewnieniu porządku w regionie dzięki powołaniu pierwszego w tych okolicznościach sądu kapturowego w Krasnymstawie, wyruszył do Knyszyna na zjazd senatorski, by w imieniu szlachty domagać się postępów w sprawie wyboru nowego króla. Natomiast po zjeździe w Knyszynie udał się z pojednawczą misją do arcybiskupa Jakuba Uchańskiego z listami od jego głównego konkurenta Jana Firleja, marszałka wielkiego koronnego i wojewody krakowskiego. Poróżnione strony z Wielkiej i Małej Polski, katolicką i różnowierczą, udało się zebrać na wspólnym zjeździe dopiero w styczniu 1573 r. na pierwszym w dziejach sejmie konwokacyjnym w Warszawie. Sejm ów odbywał się od 6 do 28 stycznia, obie izby parlamentu obradowały wspólnie, nie został powołany stały marszałek, lecz co dzień przewodniczył poseł z innego województwa.

To właśnie w Warszawie 450 lat temu ustalono, że odtąd sejm konwokacyjny będzie mógł wyznaczać podatki, decydować o zaciągu wojsk

i o zwoływaniu sejmików. Ostatecznie uznano, że konwokacja może dysponować skarbem i że będzie uprawniona do wyznaczania miejsca i czasu elekcji oraz sposobu jej przeprowadzenia. Sienicki stał się współautorem regulaminu przyszłej elekcji. Wszedł w skład komisji złożonej z części senatorów i przedstawicieli szlachty pod przewodnictwem – znanego mu już – biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego (później przewodniczenie przejął arcybiskup Jakub Uchański). Komisja ta ustaliła sposób przeprowadzenia wyboru, do którego szlachta miała prawo na zasadzie powszechności i równości. Była to tzw. elekcja *viritim*. Pole elekcyjne planowano zorganizować zgodnie z regułami pospolitego ruszenia, czyli według jednostek terytorialnych. Głosowanie nad kandydaturami zamierzano przeprowadzić właśnie w ramach tych jednostek, następnie reprezentanci byli zobowiązani do przedstawięcia wyników na forum. Wówczas dokonać się miał wybór kandydata, a ci sami reprezentanci wracali do współbraci i przedstawiali kandydaturę do akceptacji. W wyniku ustaleń każdy uczestnik elekcji był równy innym i mógł się wypowiedzieć na temat przyszłego króla, zgodnie z zasadami wynikającymi z przyjęcia elekcji tego typu. Choć wybrano elekcję *viritim*, sam Sienicki skłaniał się ku zasadzie reprezentacji, mając doświadczenie parlamentarne obawiał się bowiem chaosu na polu elekcyjnym. Oprócz określenia porządku elekcji, ustalono jej miejsce i czas – wybór króla miał się dokonać pod Warszawą 6 kwietnia 1573 r. O kandydaturach do tronu nie rozprawiano podczas sejmu konwokacyjnego. Oficjalną debatę pozostawiono na sejm elekcyjny. Po sejmie warszawskim w całej Polsce (również w Sądowej Wiszni) zwołano zjazdy na 2 lutego, by szlachta zaakceptowała ustalenia konwokacji.

Na sejmie konwokacyjnym powołano także komisję do przeprowadzenia „korektury praw”, w której pracował Mikołaj Sienicki. W składzie komisji było czterech senatorów i pięciu przedstawicieli szlachty, w tym oprócz Sienickiego również Jan Zamoyski – sekretarz i doradca Zygmunta Augusta. Swoje obrady ciało to prowadziło w Warszawie, w późniejszym okresie zmieniało swój skład. Efekty działalności komisji zamierzano przedstawić w pierwszym tygodniu sejmu elekcyjnego. Następnie prace miały być kontynuowane, a jeśli nie

¹⁴ G. Mączka i wsp., dz. cyt., ss. 227-228.

udałoby się zakończyć ich przed wyborem króla, ich ciąg dalszy planowano na czas między elekcją a zaprzysiężeniem. Istotne bowiem było to, aby król przysięgał na ustalone wcześniej prawa.

Najważniejszym osiągnięciem zjazdu konwokacyjnego było jednak podpisanie aktu Konfederacji Generalnej z zapisami na temat legalizacji i zatwierdzenia decyzji podjętych podczas konfederacji lokalnych oraz pojednania odmiennych wyznań. Akt ten współtworzył Sienicki. Dokument został oficjalnie podpisany w ostatnim dniu zjazdu, 28 stycznia 1573 r. *Konfederacio Generalis Varsoviae* rozpoczynała się od słów: *My Rady Koronne, duchowne i świeckie, i rycerstwo wszystko, i stany insze jednej a nierozdzielnej Rzeczypospolitej z Wielkiej i z Małej Polski, Wielkiego Księstwa Litewskiego, Kijowa, Wołynia, Podlasia, z Ziemi Ruskiej, Pruskiej, Pomorskiej, Żmudzkiej, Inflanckiej i miasta koronne*¹. Zygmunt August pozostawił ogromny obszar królestwa, a przez bezpotomną śmierć, na barki jego obywateli złożył ogromną odpowiedzialność. Uczestnicy sejmiku konwokacyjnego stworzyli więc tę deklarację jedności, zmobilizowali się, by zawrzeć porozumienie ponad podziałami i nie zaprzepaścić pozycji państwa: *byśmy przykładem przodków swych sami między sobą pokój, sprawiedliwość, porządek i obronę Rzeczypospolitej zatrzymać i zachować mogli*². Sygnatariusze skupili się na trzech najbardziej kontrowersyjnych kwestiach – elekcji i zachowaniu w związku z tym pokoju wewnętrznego i na granicach państwa oraz pokoju religijnego i stabilności w sądownictwie. Wcześniejsze konfederacje zawiązane w kraju – takie jak kaptur krasnostawski – zostały połączone w związek generalny, którego zadaniem było utrzymanie porządku oraz spójność działań. Zatwierdzono tym samym sądy kapturowe, zyskały one jednolitą organizację i stały się sądami ostatniej instancji. Poprzysiężono *pokój pospolity między rozerwanymi i różnymi ludźmi w wierze i nabożeństwie*³, co z kolei miało zagwarantować rozejm między wyznaniem, przynajmniej na czas wyboru nowego króla.

Sejm elekcyjny odbywał się od 3 kwietnia do 20 maja 1573 r. pod Warszawą. Wybór króla wywołał wiele emocji i na polu elekcyjnym miały miejsce gwałtowne wydarzenia spowodowane przedłużaniem procedury. Wybór francuskiego kandydata Henryka Walezego był niemalże przesądzony, lecz szlachta oczekiwała od przyszłego władcy gwarancji swobód. Podczas sejmiku elekcyjnego komisja do spraw „korektury praw”, w ramach której działał Sienicki, opracowała spis uprawnień i powinności króla, czyli artykułów zwanych w okresie późniejszym henrykowskimi. Miał do nich zostać też włączony tekst konfederacji warszawskiej, ale spotkało się to ze zdecydowanym sprzeciwem senatorów duchownych. To właśnie w tych okolicznościach i w proteście przeciw pominięciu tego aktu, Sienicki wraz z innymi posłami opuścił pole elekcyjne. Jak zaobserwował kronikarz 11 maja: *strach i obawa przejęły wszystkich: wystąpił naród podzielony na dwa przeciwne wojska. Spodziewano się powszechnego boju i ostatecznego upadku Rzeczypospolitej. [...] Senat i wielu ze szlachty zasiadło jak zazwyczaj w namiocie, a reszta szlachty w liczbie około kilku tysięcy, gotowska do boju niż do rokowania, opatrzona we wszelkie rodzaje broni, stanęła od zachodu i północy*⁴. Zwolennicy Walezego na znak swojego wyboru przypięli do czapek sosnowe gałązki. Natomiast przeciwnicy lub ci, którzy nie zgadzali się z przyjętą przez senat procedurą, zgromadzili się pod wodzą Jana Zborowskiego w obozie obok wioski Grochowa. Argumenty „grochowian” dotyczyły przebiegu wyboru, lekceważenia głosu szlachty i zakłócania szlacheckich mów krzykami. Zapewniano przy tym o własnej skłonności do pokojowego przebiegu elekcji, postawie *odpowiedzieli, że niezmiernie pragną zgody i życzą, aby rzecz tak ważna [...] rozstrzygnięta była jednomyślnie, jednak strona przeciwna [...] zrazu pozwalała wolno mówić, lecz potem, gdy już elekcja dochodziła do końca, zaprzeczyła im swobody głosu*⁵.

Ostatecznie jednak „postawie grochowscy” wrócili do namiotu, w którym miało odbyć się mia-

¹ *Konfederacja warszawska 1573 roku wielka karta polskiej tolerancji*, oprac. M. Korolko, J. Tazbir, Warszawa 1980, s. 12.

² Ibidem.

³ Ibidem, s. 25.

⁴ Ś. Orzelski, *Bezkrólewia ksiąg ośmioro, czyli Dzieje Polski od zgonu Zygmunta Augusta r. 1572 aż do r. 1576, t. I*, oprac. W. Kaczorowski, Opole 2021, s. 187.

⁵ Ibidem, s. 188.



Jan Matejko „Potęga Rzeczypospolitej u zenitu. Złota wolność. Elekcja RP 1573”, olej na płótnie 1889 r. ze zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie (źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Pot%C4%99ga_Rzeczypospolitej_u_zenitu._Z%C5%82ota_wolno%C5%9B%C4%87._Elekcja_R.P._1573.jpg).

nowanie króla przez arcybiskupa. Wśród przybyłych był również Mikołaj Sienicki. Posłom pozwolono zabrać głos, lecz gdy wystąpili *nie spierając się o osobę króla, a tylko przedkładając przyniesione warunki, arcybiskup [...] przewrwał im mowę i nie zważając, że nie wszyscy słuchają, wśród zamieszania mianował królem polskim Henryka, księcia andegaweńskiego*⁶. To lekceważące zachowanie spotkało się z dezaprobatą. Kasztelan międzyrzecki Andrzej Górka pozwolił sobie nawet przywołać postać arcybiskupa Andrzeja Róży Boryszewskiego – jednego ze słynnych przodków Mikołaja Sienickiego – aby stwierdzić, że ani on, ani żaden inny arcybiskup nie mianował króla w tak niedbały sposób⁷. Ostatecznie mianowanie przyjęło 12 maja 1573 r., a do artykułów henrykowskich po dyskusjach włączono również uchwały *de religione*, jakie zawierał akt konfederacji warszawskiej.

Elekcja Henryka Walezego była swoistym „ukoronowaniem” pracy sejmów konwokacyjnego

wrócił. Mikołaj Sienicki przy wyborze jego następcy Stefana Batorego odegrał kluczową rolę. Stało się to jednakże dopiero w 1575 r.



Akt konfederacji warszawskiej podpisanej 28 stycznia 1573 r. z pieczęciami sygnatariuszy (źródło: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Konfederacja_warszawska_\(1573\)#/media/Plik:Konfederacja_Warszawska.jpg](https://pl.wikipedia.org/wiki/Konfederacja_warszawska_(1573)#/media/Plik:Konfederacja_Warszawska.jpg)).

Akt konfederacji warszawskiej był wielkim osiągnięciem czasów bezkrólewia, dawał możliwości wypowiedzenia posłuszeństwa królowi w przypadku nieprzestrzegania przez niego obowiązujących praw. Poniżej głównego tekstu znalazły się podpisy sygnatariuszy, m.in. Mikołaja Sienickiego.

⁶ Ibidem, s. 191.

⁷ Arcybiskup Andrzej Róża Boryszewski mianował na króla Zygmunta I w 1507 r.

Pergamin ma wymiary 64 cm na 35 cm, jest zaopatrzone w pieczęcie podwieszane na jedwabnych kolorowych sznurkach. 181 pieczęci przystawiono w półkolistych miskach pieczętnych wykonanych z masy woskowo-żywicznej, naciętych na dnie i wypełnionych miękkim woskiem. 27 z nich pozostało niewykorzystanych, bez herbu, w pozostałych zaś odcisnęto rodowe pieczęcie, na znak osobistego potwierdzenia ustaleń zapisanych w dokumencie. Najwyraźniej przygotowano miejsce dla wszystkich sygnatariuszy, którzy uczestniczyli w sejmie warszawskim (w sumie 209 misek, choć prawdopodobnie było ich 224). Użyto wosku czerwonego i zielonego, przy czym czerwony w przeszłości zarezerywowany był dla dostojników, jednak z upływem lat kolor przestano łączyć z rangą dysponentów pieczęci. W XVI wieku naturalny wosk farbowano na czerwono cynobrem, a na zielono grynspanem. Na ustawiony do góry reliefem stempel nakładano nieco kolorowego wosku, sznurek i kopułkę miski pieczętniej. Po przyciśnięciu, w wosku pozostawał odcisk herbu. Jeśli do wykonania pieczęci używano sygnetu, odcisk nie był tak wyraźny. Pieczęcie podwieszano tylko do szczególnie ważnych dokumentów, takich jak akt unii polsko-litewskiej (dwa oddzielne akty dla Korony i dla Litwy) oraz akt konfederacji warszawskiej.

W samym dokumencie ostatnim z zapisów był właśnie ten dotyczący jego potwierdzenia *A dla lepszej pewności tych wszystkich opisanych rzeczy przyłożyliśmy pieczęci swe do tego i rękoma własnymi podpisali*. Swoje podpisy złożyli przedstawiciele różnych wyznań – w tym arianin Sienicki. Niestety, to co satysfakcjonowało szlachtę, stało się przyczyną niezadowolenia senatorów duchownych. Z uwagi na zapisy skutkujące równouprawnieniem wyznań, akt konfederacji podpisał tylko jeden z nich – Franciszek Krasieński, biskup krakowski. Był następnie konsekwentnie odsuwany przez swoje środowisko od wszelkich godności.

Mikołaj Sienicki w trakcie swojej działalności parlamentarnej doświadczył, jak trudne jest osiągnięcie zgody. Jednak po 1572 roku nie zaniechano starań i podczas bezkrólewia zagwarantowano pokój w Rzeczypospolitej. Na tym jednak dzieje aktu konfederacji warszawskiej się nie kończą. W XVI wieku dokument został przekazany do Archiwum Koronnego Krakowskiego na zamku

wawelskim. Po trzecim rozbiorze akt trafił do Petersburga – najpierw do archiwum, a potem do Cersarskiej Biblioteki Publicznej. Został Rzeczypospolitej zwrócony po I wojnie światowej. Aby uchronić cenny rękopis przed zniszczeniem podczas II wojny światowej, w 1944 r. wywieziono go z Warszawy na Jasną Górę. I tak oto akt konfederacji – której nie chcieli znać biskupi, która wzbudziła tyleż nadziei, co złych emocji – trafił pod opiekę Jasnogórskiej Pani. Ten szczególny dowód porozumienia Polaków zachował się po dziś dzień i jest pieczołowicie przechowywany w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Raz na dziesięć lat archiwum ten cenny rękopis z pieczęciami prezentuje publiczności przez dwa dni, by po tym czasie ponownie złożyć go w bezpiecznym klimatyzowanym i zaciemnionym magazynie. W 2003 r. zabytek wpisano na Międzynarodową Listę Pamięci Świata UNESCO. Mało kto pamięta jednak, że pierwszy krok w stronę uchwalenia aktu konfederacji warszawskiej wykonano wraz z zawianiem konfederacji szlachty ziemi chełmskiej – 17 lipca 1572 r. w Krasnymstawie.

Monika Nagowska

Bibliografia

- Dubas-Urwanowicz E., *Koronne zjazdy szlacheckie w dwóch pierwszych bezkrólestwach po śmierci Zygmunta Augusta*, Białystok 1998.
- Grzybowski S., *Mikołaj Sienicki – Demostenes sejmów polskich*, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce” 1957, t. II.
- Jabłońska E., *Metody wykonywania pieczęci woskowych*, „Ochrona Zabytków” 1998, nr 51/2 (201), s. 147-155.
- Konfederacja warszawska 1573 roku wielka karta polskiej tolerancji*, oprac. M. Korolko, J. Tazbir, Warszawa 1980.
- Maciuszko J.T., *Konfederacja warszawska 1573 roku, geneza, pierwsze lata obowiązywania*, Warszawa 1984.
- Opracowanie materiałów sfragistycznych w archiwach*, red. P. Gut, M. Hlebionek, Warszawa 2020.
- Orzelski Ś., *Bezkrólewia ksiąg ośmioro, czyli Dzieje Polski od zgonu Zygmunta Augusta r. 1572 aż do r. 1576, t. I-III*, oprac. W. Kaczorowski, Opole 2021.
- Sucheni-Grabowska A., *Sienicki Mikołaj, [w:] Polski Słownik Biograficzny, t. XXXVII*, Kraków 1996-1997.

Tomasz Sienicki



Mikołaja Sienickiego oblicz obliczanie



Z okazji Roku Mikołaja Sienickiego, na naszych łamach widać było tu i ówdzie jego oblicza, jak powyżej. W poprzednich numerach prezentowany był także medal z podobizną tegoż. Podobieństwo między nimi jest uderzające. Można by pomyśleć, że to portret z XVI wieku, który stał się podstawą dla medalu... Było jednak zupełnie inaczej.

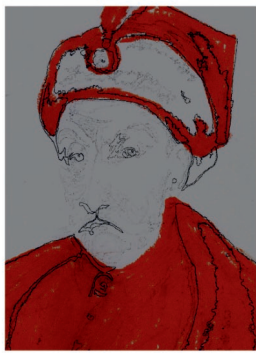
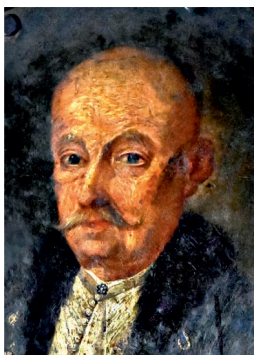
W roku 1981 oddział PTTK w Chełmie zlecił Annie Jarnuszkiewicz (1935-2021) wykonanie projektu medalu z okazji 460-lecia urodzin Mikołaja. Jednak żaden portret z życia naszego bohatera nie zachował się, rzeźbiarka musiała szukać innego wzoru twarzy. Niektórzy uważają, że sportretowała swego starszego kolegę, malarza Jacka Sienickiego (1928-2000), jednak bardziej prawdopodobne wydaje się, że za wzór posłużył jej mały portrecik Stefana Sienickiego z epitafium w krasnostawskim kościele Świętego Franciszka Ksawerego, pocho-

dzący z roku 1743 (!). Na kanwie medalu, w roku 1994 powstała grafika Bronisławy Żuk, zdobiąca kartki pocztowe wydane z okazji 600-lecia lokacji Szczekarzewa, nazwanego potem Krasnymstawem. Zaś portret, który wydawał się malowanym za życia Mikołaja, powstał także na podstawie znanego nam medalu. Stworzył go Stanisław Miszczuk, mieszkaniec pobliskiego Rejowca, dopiero w roku 2010! Zatem najstarszy pozornie obraz okazał się najmłodszym. Jednak nie do dziś...

Wizerunki u dołu strony są jeszcze nowsze, pochodzą z lat... 2021-2023. Pojawiły się z okazji Roku Mikołaja Sienickiego. Trzy stworzyli pensjonariusze Domu Pomocy Społecznej w Bońcy, na kanwie poprzednich. Najpierw kontur, dalej kompozycja Andrzeja Gronkowskiego i obrazek Andrzeja Wijata w osobliwej technice wypalania na sklejce. Ostatni portret to fotografia autorstwa Andrzeja Sienickiego, do której pozował... piszący te słowa.

Aby ułatwić porównywanie, wykadrowałem same oblicza ze wszystkich wymienionych dzieł, a potem ustawiłem je chronologicznie. Czy łączy je jakieś podobieństwo? Niechaj ocenią Czytelnicy...

Tomasz Sienicki



Elżbieta Petruk

B

Bracia polscy – arianie



Na wzgórzach o wysokości 290 m n.p.m., we wsi Krynica, znajduje się grobowiec w kształcie piramidy. Jest to najwcześniejszy tego typu obiekt w Polsce (schyłek XVI wieku lub początek wieku XVII). Dziś w zasadzie nie ma już żadnych wątpliwości, iż mauzoleum należało do rodziny Orzechowskich herbu Rogala. Jego fundatorem był Paweł Orzechowski – podkomorzy chełmski, wojski krasnostawski, starosta suraski. Miejsce to, owiane legendą, wciąż budzi zainteresowanie turystów, a i miejscowych znajdujących, także dzisiaj, tajemnicze ślady wokół piramidy. Dobry to pretekst, by przypomnieć sobie kim byli bracia polscy, bo tak brzmi właściwa nazwa wspólnoty religijnej, do której należał Orzechowski.

Bracia polscy powstałi w ramach reformowanego chrześcijaństwa i byli jego najbardziej radykalnym odłamek. Nazywano ich wówczas arianami i była to nazwa pogardliwa. Nawiązywała do Ariusza – wczesnochrześcijańskiego teologa nie ze względu na podobieństwo z jego poglądami, ale z uwagi na fakt ich potępienia jako sprzecznych z nauką Kościoła katolickiego. Zatem nawiązanie do imienia Ariusza było formą krytyki i miało pokazywać, że bracia polscy, to nic nowego, ot herezy, jakich wielu. Niemniej nazwa ta przyjęła się i funkcjonuje do dziś.

Pierwszy zbrór braci polskich powstał w 1562 r. w wyniku rozłamu w krakowskim zborze kalwińskim. W myśl zasady *solā scriptura* (*jedynie Pismem*) za wyłączną podstawę swej doktryny uważali Biblię. Z chrześcijaństwa wybrali najbardziej racjonalny rdzeń uważając, że to, czego się nie da rozumowo wytłumaczyć, nie należy do religii. Wychodząc z powyższych założeń, odrzucili podstawowe dogmaty, których nie ma w Biblii. Myśl teologiczna braci polskich była rewolucyjna. Odrzucali Tróję Świętą, boskość Jezusa, chrzest niemowląt, hierarchię kościelną, prymat papieża. O sobie mówili, że są nie chrześcijanami, bo nazwa chrześcijanie pochodzi od chrztu, a oni są naśladowcami Chrystusa czyli chrystianami. Z historii

wiadomo, że w grobach braci polskich, na jednym z cmentarzy pod Pińczowem, każdy zmarły miał w ręku tabliczkę z cytatem z 2. listu św. Pawła do Tymoteusza: *Scio cui credidi* (wiem, komu uwierzyłem), a obok w butelce dobrze zatkniętej, umieszczony był życiorys zmarłego.

Również ich myśl społeczna, jak na ówczesne czasy, wyprzedzała epokę. Głosili równość wszystkich wobec prawa, potępiali pańszczyznę, feudalną strukturę społeczną, odrzucali państwo w ziemskim rozumieniu, a we wczesnym okresie nawet służbę publiczną. Byli pacyfistami i przeciwnikami kary śmierci. Negacją roli Marii jako matki Boga skutkowało odrzucenie ideału wybranej przez Boga kobiety niepokalanej i dziewiczej. W rezultacie kobiety traktowano bardziej racjonalnie, a ich pozycja była znacznie silniejsza niż innych protestantek czy katoliczek. Nie dość, że bracia polscy opowiadali się za partnerstwem w małżeństwie, to całkiem niezwykłym był fakt, że w zborach kobiety często wygłaszały kazania i nauki moralne. Mówiąc o działalności braci polskich, trzeba podkreślić wagę, jaką przywiązywali do rozumu i wykształcenia. W założonej przez nich Akademii Rakowskiej stawiano na niezależność i samodzielność myślenia, na doświadczenie, a nie na pamięciowe przyswajanie dogmatów nauki czy wiary. Przyjmowano doń młodych ludzi różnych stanów, narodowości, a nawet wyznania. Raków był także prężnym ośrodkiem wydawniczym, który śmiało konkurował z najlepszymi w Europie.

Zasadnicza działalność braci polskich obejmowała lata 1562-1658. Przez swoją rewolucyjną doktrynę nigdy nie cieszyli się pełną tolerancją przez innych, ale nie byli prześladowani systemowo. Sytuacja uległa pogorszeniu w połowie XVII w., kiedy wskutek kontrreformacji duża część szlachty wróciła do Kościoła katolickiego, a Polska toczyła walki z luterąską Szwecją. Przełomem stał się najazd szwedzki. Część braci polskich, podobnie jak przedstawiciele innych wyznań, nie wyłączając katolików, opowiedziała się za królem szwedzkim, ale to w nich znaleziono kozła ofiarnego i okrzyknięto zdrajcami. Stosunek szlachty do przedstawicieli herezyckich nurtów sięgnął zenitu – braci polskich wygnano z kraju. W 1658 roku uchwałą sejmu polskiego nakazano im w ciągu trzech lat zmienić wyznanie albo opuścić Rzeczpospolitą.

Po upływie tego terminu, przynależność do zboru miała być karana śmiercią. Rok później wymogi te zaostrozono – okres podjęcia decyzji skrócono do dwóch lat, a zmianę wyznania ograniczono tylko do katolicyzmu. Po wygnaniu bracia polscy kontynuowali działalność poza granicami kraju do 1803 roku, kiedy to przestały istnieć ostatnie ich wspólnoty. W ten sposób z kultury polskiej zniknęła i została zapomniana niezwykła wspólnota religijna, która była przejawem polskiej reformacji, oryginalnej myśli intelektualnej i społecznej.

Elżbieta Petruk

Dziękuję Panu dr. Konradowi Grocheckiemu za merytoryczną korektę tekstu.

Agnieszka Wierzchoś-Hilczer
Edward Wierzchoś



Był taki czas.

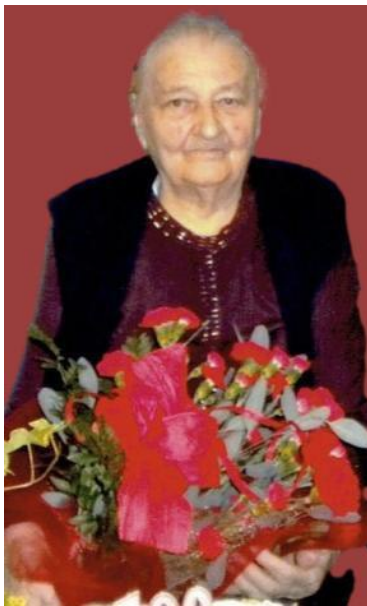
**O szkołach podstawowych
w Siennicy Różanej i Zagrodzie**



Ad futuram rei memoriam – Na przyszłą rzecz pamiętkę

Podczas uroczystości z okazji stulecia urodzin naszej Mamy, Babci i Prababci Janiny Wierzchoś 10 marca 2016 roku, po złożonych życzeniach, Jubilatka, zwracając się do nas powiedziała: *Panu Bogu dziękuję za te sto lat, ale wszystko, co osiągnęłam w tym jednym wieku – oprócz Jego opieki – zawdzięczam: szkole, rodzinie i ludziom. Czuwając w nocy z niepokojem na przyjścia tych 100 lat, myślami byłam w mojej szkole podstawowej we wsi Siennica Różana, W domu rodzinnym z Mamą Marianną, Tatą Michałem, moją siostrą Anielą, z którą dzieliłam ubrania, książki i zeszyty. Stawali mi przed oczyma: księża, nauczyciele, instruktorzy społeczni oraz koleżanki i koledzy. Wymieniłam ich wszystkich po imionach, siedzących w ławkach. Wracając w tym zamyśleniu ze szkoły do domu, mijałam zagrody mieszkańców Siennicy Różanej i dziwiłam się, że pamiętałam ich prawie wszystkich imiona oraz nazwiska. Pamięta-*

łam, gdyż do szkoły bez względu na pogodę tam i z powrotem prawie 5 km przez całą wieś Siennica Różana, chodziłam na piechotę przez 7 lat.



Janina Wierzchoś (1916-2017).

Wspomnienia z lat dzieciństwa i szkoły powracały do mnie dość często, ponieważ w latach nauki 1924-1931, była ona dla nas, chłopskich dzieci wszystkim. Młodzieży w wieku szkolnym w gminie Siennica Różana, zróżnicowanej do tego wiekowo i intelektualnie było bardzo dużo. W tych biednych czasach uczęszczaliśmy do niej z wiarą i nadzieją. Wierzyliśmy nauczycielom, że poprzez naukę polepszymy swój los, że wiedza da nam możliwości wydostania się z Siennicy Różanej. Z nadzieją, że dalej będziemy mogli się kształcić. Oprócz polskiego, matematyki, biologii, historii, uczyliśmy się kaligrafii, gospodarności, higieny oraz miłości do naszej ziemi siennickiej. Uczestnicząc w uroczystościach i pochodach z okazji świąt państwowych, procesjach kościelnych, obchodach gminnych, występach siennickiego chóru oraz zespołu teatralnego, poznawaliśmy, co to jest patriotyzm. Wiedzę uzupełnialiśmy, słuchając dodatkowych pogadanek tzw. „instruktorów” – działaczy społecznych Ireny Kosmowskiej z Lublina i Władysława Cichosza z Gorzkowa, którzy mówili nam o spółdzielczości rolniczej, kasach pożyczkowych, nowoczesnym rolnictwie i szkolnictwie.

Uczyliśmy się wszyscy bardzo pilnie i intensywnie. Ja byłam najlepszą uczennicą w klasie, dlatego siedziałam razem z Janką Mazurkówną w pierwszej ławce. Mimo jednak osiągnięcia dobrych ocen, tylko niestety nielicznym udawało się kontynuować naukę w szkołach ponadpodstawowych. Były to inne czasy. Żyliśmy skromnie i biednie, było ciężko gospodarzyć rodzicom po okresie dwu wojen (1914-1918 i 1920) oraz kilka lat po odzyskaniu niepodległości. Szkoła moja i postępy bardzo cieszyły rodziców. Tata Michał był zdolnym człowiekiem. Nauczył się sam pisać i czytać oraz grać na skrzypcach. Grał na przyjęciach rodzinnych i zabawach wiejskich. Jako jeden z nielicznych tzw. „piśmiennych” w Siennicy, przygotowywał współmieszkańcom pisma do urzędów gminy i powiatu oraz wojska (prośby o zwolnienia ze służby). Pisał listy sąsiadom żydowskim (krawiec Mosze) do znajomych oraz władz polskich w sprawie ich wyjazdu do Palestyny. Cenił wiedzę i interesował się wydarzeniami w kraju i na świecie. Dużo czytał książek oraz gazet. Był odważnym człowiekiem, nie przyjął wezwania stawienia się do poboru i służby w wojsku austriackim podczas I wojny światowej, ukrywając się w zabudowaniach gospodarskich. W 1942 roku wcielony do taborów niemieckich idących pod Moskwę, opuścił swój wóz konny pod Białą Podlaską i wrócił pieszo do Siennicy, gdzie przez wiele miesięcy się nie ujawniał. Cały okres okupacji niemieckiej słuchał również „gdzieś” ukrytego u Stefana Truskowskiego Radia Londyn. Za wszystko groziła kara śmierci.

W nauce wspomagali nas księża i nauczyciele swą dobrocią, rodzicielską opieką oraz zapożyczeniami materialnymi. Nauczyciele oceniali nasze zachowanie, opanowanie, przekazaną wiedzę, a także zdolności i na ich podstawie kwalifikowali najlepszych do szkół średnich, które wówczas, oprócz nauki zabezpieczały młodzieży wiejskiej podstawowe warunki bytowe. W tym czasie dalsza nauka po szkole podstawowej dla chłopskich dzieci bez wsparcia finansowego była nieosiągalna. Dlatego Jankę, moją koleżankę uzdolnioną malarsko oraz Kazia Gołębiowskiego skierowano do Państwowej Szkoły Spółdzielczości Rolniczej w Nałęczowie. Zaś mnie i Lidzię Majewską do Szkół Gospodarstwa Wiejskiego dla Dziewcząt Zofii Kosmowskiej w Krasieninie pod Lublinem. Tam

miałyśmy zapewnione bezpłatne utrzymanie, jak też wyżywienie oraz nieodpłatną naukę. Niestety, ja nie rozpoczęłam w niej nauki. W roku 1932 wybrana zostałam w skład Zarządu pierwszego koła Wici powołanego w Siennicy Różanej. Przewodniczącym został Marian Prus, skarbnikiem Stefan Truskowski, a ja sekretarzem, gdyż ładnie pisałam i płynnie czytałam. Do Wici wstąpił też kolega ze szkoły Kazimierz Kaczor.

W następnym roku wyszłam za mąż za Wincentego Wierzchośa i przenieśliśmy się do Żdzannego. Będąc już mężatką, nadal się dokształcałam. Ksiądz Ferdynand Beigert, proboszcz parafii Żdzanne, z siostrą swoją oraz hrabiną Marią Smorczewską organizowali kursy dla młodych przyszłych matek i dziewcząt z zakresu życia rodzinnego, gospodarstwa domowego oraz ogrodnictwa.



Janina Wierzchoś (siedząca po prawej) oraz Aniela Wierzchoś (stojąca po prawej), z koleżankami – uczestniczkami kursu.

W domu męża Wincentego były prenumerowane „Tygodnik Katolicki”, „Rycerz Niepokalanej”, dzienniki spółdzielcze i kupowane książki, jak też broszury rolnicze.

Było radio na słuchawki. Teść Maksymilian był światłym rolnikiem. Prowadził kasę pożyczkowo-oszczędnościową „Stefczyka”, zakupił przy końcu lat dwudziestych pierwszy na wsi pług dwuskibowy (za dolary), młocarnię do zboża i kierat konny, brony i pług metalowy. Zasadził sad



Zachowane dwie broszury o tematyce leczenia zwierząt.

owocowy. Jeszcze jedna, prawie stuletnia grusza rośnie obok domu. Dużo czytał i przyjaźnił się z księdzem Ferdynandem Beigertem, z mieszkańcami Krasnegostawu i Chełma, np. Janem Wasilewskim, nauczycielem historii i biologii w liceum im. Czarnieckiego, pracownikami kolei i magistratu i właścicielami aptek. Jesienią i zimą wieczorami do naszego domu schodzili się sąsiedzi, aby słuchać czytanych na głos książek Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Rodziewiczówny i innych.

Kontynuując, Mama wspominała sytuację młodzieży ze Żdzannego i jej edukację po II wojnie światowej w Szkole Podstawowej w Zagrodzie: Straszliwa okupacja niemiecka, obsadzenie Urzędu Gminy w Siennicy Różanej przez współpracujących ludzi ze wschodu, zamknięcie kościoła, ograniczenie zajęć szkolnych, terror, wywózki na roboty do Niemiec, więzień i obozów koncentracyjnych (Majdanek, Oświęcim, Treblinka, Sobibór), rozstrzeliwania, kontyngenty i daniny były przerażające. Te dni, miesiące i lata, wpływały bardzo źle, nie tylko na stan ducha starszych mieszkańców, ale przede wszystkim młodzieży, która była pozbawiona możliwości nauki. Gdy przyszło wyzwolenie w 1944 roku, sytuacja ekonomiczna wsi nie ulegała znaczącej poprawie. Po wojennym zubożeniu zaczęła nas, niestety rujnować zła polityka gospodarcza w odniesieniu do wsi. Obowiązkowe dostawy płodów rolnych, zwierząt rzeźnych, naciski na kolektywizację oraz zakładanie spółdzielni produkcyjnych powodowały, że gospodarstwa prywatne coraz bardziej biedniały, nie rozwijały się i nie odbudowywały. Natomiast Państwo, co trze-

ba powiedzieć, pierwszoplanowo i szybko zadbało o szkolnictwo, by w tych trudnych warunkach zapewnić naukę wszystkim, którzy chcieli ją kontynuować.

Po wojnie w Żdzannym wielu bardzo młodych musiało zacząć samodzielnie prowadzić gospodarstwa lub pomagać rodzicom, przeważała jednak młodzież, która chciała się uczyć. Dlatego już w roku 1946 otwarto w Zagrodzie szkołę podstawową dla młodszych i dorastających dziewcząt i chłopców z Kozieńca, Maciejowa, Zagrody, Żdzannego, Kostunina, Wierzchowin i okolicznych kolonii.



Budynek Szkoły Podstawowej w Zagrodzie w latach 1959-2009 w zaadaptowanym na jej potrzeby XVII-wiecznym spichrzu Smorczewskich.

Starsi nadrabiali zaległości na wieczorowych kursach uzupełniających. Uczył także ksiądz proboszcz Henryk Pawłowski (Witolda Wierzchosia, Eugeniusza Litwina, Witolda Wierzchosia s. Franciszka, Ryszarda Górnik, Mariana Mąkę, Mariana Derkaczewskiego, Józefa Kusieja). Inni, jak mogli wyjeżdżali do rodzin w miastach, gdzie było im łatwiej uczęszczać do wybranych szkół. Rozwijała się również tzw. nauka korespondencyjna w zakresie szkoły podstawowej, co dawało możliwość startu do szkół ogólnokształcących oraz innych średnich o różnych profilach zawodowych.

Dużo takich szkół utworzono w miastach powiatowych – Chelmie, Krasnymstawie, Zamościu, Hrubieszowie, a nawet w małych miasteczkach, np. w Tarnogórze, Rejowcu, Wysokiem.

Bardzo duże zasługi dla kształcenia młodzieży z naszych terenów wniosła Gmina i powstał najpierw Spółdzielczy (SOM), Gminny (GOM), a później Państwowy Ośrodek Maszynowy (POM), przy którym prowadzono nauczanie o kierunku rolniczo-mechanicznym przyczącym do zawodu, a od lat 60., w miarę potrzeb przekształcane w zawodowe, a później pełne średnie (technika rolnicza). W Siennicy rozpoczął swoją naukę Tadzio Wierzchoś, już nieżyjący, jeden z dyrektorów cementowni w Chelmie. Przez pewien czas w Siennicy działały gimnazjum oraz szkoła ogólnokształcąca. Bardzo mnie cieszy utworzony w ostatnich latach Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego. Duży nabór i zainteresowanie świadczą o przybliżeniu dostępności do nauki dla mniej zamożnej młodzieży oraz nauczaniu na kilku poszukiwanych kierunkach. To dobra szkoła.

By ułatwić młodzieży ze wsi kształcenie w rolniczych szkołach średnich, przy Szkole Podstawowej w Zagrodzie w latach sześćdziesiątych otwarto też Szkołę Przysposobienia Rolniczego, po ukończeniu której można było być przyjętym do trzeciej klasy pięcioletniego Technikum Rolniczego w Krasnymstawie lub równorzędnego w innej miejscowości. Taką drogę nauki obrał już po wojsku wasz brat Jurek. Wszystkie wymienione szkoły uczyły na wysokim poziomie, co umożliwiało start na studia wyższe. To były bardzo dobre szkoły. Ja się przekonałam ile szkód wyrządziła i przyniosła zła, nacjonalistyczna szkoła prowadzona dla młodzieży podczas kilkunastu miesięcy okupacji niemieckiej, w języku ukraińskim w Żdżannym. Szkoła w Zagrodzie oraz oddani swojej pracy nauczyciele, pełni przyjaźni, mający kontakt z rodzicami wnieśli ogromne zasługi dla Waszego i innych rozwoju. Oczywiście wielu młodych zakończyło edukację na szkole podstawowej i pozostało na ojcowiznie, na gospodarstwach, stając się rolnikami, jednak bardzo, bardzo wielu poszło w świat. Na wsi w tym czasie nie było przecież przyszłości.

Po tej wypowiedzi Mama zadeklarowała, że może podyktować listę absolwentów Szkoły

Podstawowej w Zagrodzie z lat 1952-1976, którzy podjęli naukę w szkołach średnich oraz wyższych, których rodzice zamieszkiwali w Żdżannym (około 100 rodzin). Nie upłynęła godzina, zdumieni oraz wzruszeni zdolnościami przyswajania, zapamiętania i przekazywania tyłu szczegółów stuletniej Jubilatki, otrzymaliśmy bardzo cenne historycznie dane demograficzne za okres 30 lat (1946-1976), a mianowicie imiona, nazwiska, wykształcenie średnie oraz studia wyższe 66 uczniów zamieszkałych w Żdżannym, absolwentów Szkoły Podstawowej w Zagrodzie, wśród których byli też starsi uzupełniający podstawówkę poza regularną nauką w szkole.

Dzięki życzliwości Redakcji „Nestora” pragniemy po kilku latach, materiał ten upublicznic, nie tylko z czcią dla pamięci 100-letniej Mamy, Babci, Prababci, ale też wszystkich osób zamieszczonych na tych listach.

Uczniowie ze Żdżannego, absolwenci Szkoły Podstawowej w Zagrodzie, którzy uzyskali wykształcenie średnie:

1. Byra Józef – mechaniczne
2. Głowacki Roland – elektryczne
3. Głowacki Bogdan – mechaniczne
4. Halida Jadwiga – pielęgniarskie
5. Kozioł Izabela – pielęgniarskie
6. Książek Krystyna – ogólnokształcąca
7. Kuczyńska Janina – ekonomiczne
8. Mąka Marian – techniczne
9. Mielniczuk Halina – rolnicze
10. Olan Bożena – obuwnicze
11. Oleszczuk Henryk – ogólnokształcąca
12. Pawłuszczak Halina – ekonomiczne
13. Plewa Maria – rolnicze
14. Psiuk Agnieszka – ogrodnicze
15. Psiuk Tadeusz – mechaniczne
16. Tywoniuk Grażyna – odzieżowe
17. Wepa Irena – pielęgniarskie
18. Wepa Jerzy – ogólnokształcąca
19. Wepa Marian – elektryczne
20. Wepa Wanda – pielęgniarskie
21. Wepa Janusz – mechaniczne
22. Wierzchoś Janusz – ogólnokształcąca
23. Wierzchoś Jerzy – rolnicze
24. Wierzchoś Stanisław – ogólnokształcąca
25. Żądelek Alicja – ogólnokształcąca.

Uczniowie ze Żdżannego, absolwenci Szkoły Podstawowej w Zagrodzie, którzy uzyskali wykształcenie wyższe:

1. Bieńkowski Ludomir – historyczne
2. Chmielewski Tadeusz – wychowanie fizyczne
3. Derkaczewska Kazimiera – teologiczne
4. Derkaczewski Marian – teologiczne
5. Domańska Jolanta – farmaceutyczne
6. Domańska Wanda – chemiczne
7. Domański Marian – chemiczne
8. Domański Tadeusz – mechaniczne
9. Drzewiecka Karolina – humanistyczne
10. Halida Zdzisław – techniczne
11. Kargul Józef – wojskowe
12. Klim Lucjan – wojskowe
13. Kniażuk Ryszard – mechaniczne
14. Kniażuk Alicja – pielęgniarskie
15. Kocowska Zofia – humanistyczne
16. Kołek Stanisław – farmaceutyczne
17. Kusiej Józef – teologiczne
18. Litwin Eugeniusz – zootechniczne
19. Majdan Eugeniusz – wojskowe
20. Mazur Jan – ekonomiczne
21. Mąka Józef – administracyjne
22. Mielniczuk Jadwiga – humanistyczne
23. Oberda Franciszka – humanistyczne
24. Oleszczuk Marian – socjologiczne
25. Plewa Ewa – ekonomiczne
26. Plewa Zofia – zarządzanie
27. Psiuk Ryszard – elektroniczne
28. Sulikowska Irena – pedagogiczne
29. Sulikowska Bronisława – administracyjne
30. Sulikowski Henryk – medyczne
31. Sąsiadek Ryszard – pedagogiczne
32. Stelmach Zofia – pedagogiczne
33. Tymoszek Bogdan – prawnicze
34. Tywoniuk Józef – wojskowe
35. Tywoniuk Anna – ogrodnicze
36. Tywoniuk Renata – chemiczne
37. Wępa Barbara – administracyjne
38. Wierzchoś Edward – weterynaryjne
39. Wierzchoś Tadeusz – mechaniczne
40. Wierzchoś Witold – medyczne
41. Wierzchoś Witold – zootechniczne.

Pełną emocji wypowiedź Jubilatki opowiedzianą podczas uroczystej kolacji opracowali i przygotowali do druku syn prof. dr hab. Edward Wierzchoś i wnuczka dr inż. Agnieszka Wierzchoś-Hilczer. Autorzy bardzo serdecznie dziękują za uzupełnienie i korektę mgr. inż. Eugeniuszowi Gwiazdowskiemu.

*dr inż. Agnieszka Wierzchoś-Hilczer
prof. dr hab. Edward Wierzchoś*

Jacenty Jarocki

Wycieczka na Wybrzeże



Borów, niegdyś wieś rozwinięta, w tej chwili z niewielką liczbą mieszkańców, stanowi cień swojej świetności. Co spowodowało upadek tej miejscowości z tak drastycznym zmniejszeniem ludności? Jak zwykle sięgnę do przeszłości.

Szkoła podstawowa w Borowie w latach 50. i 60. ubiegłego wieku była w rozkwicie. O tym decydowała duża liczba uczniów oraz na wysokim poziomie kadra nauczycieli. Wspomnę tutaj o takich pedagogach jak panie Rysakowa, Niedzielska, Szatanowa, Pieczonkowa. Te osoby wykształciły i przygotowały do wyfrunięcia z Borowa całą rzeszę młodzieży. Był jeszcze jeden element, który stanowił o wykształceniu i poznaniu kraju przez uczniów, a były to wycieczki organizowane przez szkołę. Na początku, w latach pięćdziesiątych były to skromne wyjazdy do Zamościa i Lublina. Wspomnę tylko, że wycieczki te organizowane były w prymitywny sposób. Wycieczka do Lublina na 10-lecie Polski Ludowej była tak zorganizowana, że do transportu służyła jakaś odkryta ciężarówka z demobilu. Pajda chleba ze smalcem zawinięta w papier służyła jako pożywienie na cały dzień. Mimo tego niezatarte wrażenie na uczestnikach wywarła wystawa rolnicza na pl. Zebrań Ludowych, gdzie pokazano kombajn, który kosi i młóci zboże oraz odpacykowane Stare Miasto z Zamkiem, w którym zlikwidowano wiezienie.

Następne wycieczki, już po Gomółkowskiej odwiły, to kilkakrotne wyjazdy do Zamościa. Do transportu służył oplandekowany Star 20 z drewnianymi ławkami, a w programie był już nawet obiad w barze mlecznym. Późniejsza wycieczka to już organizowana przez biuro podróży parodniowa wyprawa do Krakowa, Wieliczki, Ojcowa. Już o standardzie zdecydowanie wyższym, bo z wyżywieniem, noclegami, przejazd osobowym pociągiem i z przewodnikami.



Z wycieczki do Krakowa z gronem pedagogicznym szkoły w Borowie.

Chciałbym się skupić na wycieczce na Wybrzeże w 1959 r., ze względu na jej doskonałą organizację. Uczestnikami przeważnie byli ucz-



Uczniowie 6 klasy.

niowie mojej szóstej klasy oraz nieliczni z piątej i siódmej.

Otóż początek tej przygody miał nastąpić o godz. 9 rano na dworcu kolejowym w Krasnymstawie, gdzie specjalny pociąg wycieczkowy na Wybrzeże dla powiatów południowych Lubelszczyzny urządził postój, aby wsiedli wycieczkowicze z naszego powiatu.

Grupa ze szkoły w Borowie stała się na przystanku autobusowym o 6 rano, lecz z trzech autobusów do godz. 7 żaden się nie zatrzymał. Nie wzięto pod uwagę faktu, że jadą szkoły z Żółkiewki, Turobina itp. (powiat wtedy był duży). Nie było co ryzykować, bo pozostały już tylko dwa autobusy, aby zdążyć na czas. Zatem szybko zorganizowano furmanki, te z gumowymi kołami i dobrymi końmi. Tutaj powtórzyła się historia z książki „W 80 dni dookoła świata”. Szaleńcza jazda spowodowała, że nasze furmanki wjechały na dworzec w Krasnymstawie wraz

z wtoczeniem się pociągu wycieczkowego. Nasza szkoła miała zarezerwowane trzy przedziały, w każdym przedziale przewidziano po 9 pasażerów. Musieliśmy w tej liczbie zmieścić się ze swoimi bagażami, a tylko nieliczni z nas mieli plecaki. Ja miałem pożyczony od mojej kuzynki z ogólniaka w Wysokiem. Był nowiutki i bardzo się o niego martwiłem, aby go nie wybrudzić. Pierwszym etapem wycieczki, oczywiście jak to w tych czasach propagandy należało uczynić, było zwiedzanie cementowni Rejowiec z wypukleniem wielkości naszego przemysłu. Nie będę tutaj wchodził w szczegóły, co

nam pokazano, w każdym razie czas zwiedzania trwał do wieczora. Lecz najważniejszym punktem programu, w szczególności dla chłopców, były podarki. Otóż nasz przewodnik po cementowni czy to z życzliwości, czy też dla dowcipu podarował po dwie kule do mielenia margla, zaznaczając, aby brać tylko dwie. Kule te były bardzo ciężkie, stanowiły ponad połowę ciężaru mojego plecaka. Pociąg na nas czekał, szybko ruszył, jeszcze tylko w Lublinie przystanął na Tatarach, aby obejrzeć z dala fabrykę samochodów i na placu szereg wyprodukowanych ciężarówek marki Lublin na licencji radzieckiej. Po tym pokazie, w wagonie restauracyjnym przygotowana była już obiadokolacja w postaci kawy i bułek z wędliną, które to posiłki wydawano zgodnie z harmonogramem dla poszczególnych wagonów. Po zjedzeniu posiłku, pociąg stawał się pociągiem sypialnym. W przedziałach oparcia siedzeń przypinano do sufitu pasami i w ten sposób powstawały cztery leżanki. Do każdej leżanki przynależało dwóch pasażerów, czyli 8 młodzieńców, a dziewiąty spał na podłodze, a jeśli był nieduży, mieścił się w schowku nad korytarzem. Spania przynajmniej do Warszawy nie było, bo wszyscy chcieli przynajmniej zobaczyć światła ówczesnego cudu Pałacu Kultury i Nauki. Później wszyscy usnęli i spali aż do Malborka, gdzie nastąpił drugi dzień wycieczki. Śniadanie było wydane w pociągu, po czym wyruszyliśmy do zamku krzyżackiego, który wywarł niesamowite wrażenie. Dzisiaj w podróży sentymentalnej z moim wnukiem do Malborka dziwię się, że tak wiele szczegółów zapamiętałem z owego okresu. Po zwiedzeniu zamku i miasta serwowano obiad w restauracjach. Jak dobra była organizacja w ówczesnych czasach – w miarę nieduży Malbork wyżywił tak szybko cały pociąg wycieczkowy. U schyłku dnia wyruszyliśmy do Gdańska, gdzie rozlokowani zostaliśmy chyba w schroniskach i na kilka dni opuściliśmy nasz pociąg, który w tym czasie zapewne woził innych uczestników.

Trzeci dzień wycieczki to zwiedzanie Gdańska – zabytków Starego Miasta, w którym gdzieś tam były jeszcze ruiny. Po obiedzie przejazd tramwajem, chyba do katedry oliwskiej ze słynnymi organami i parkiem z tajemniczymi grotami akustycznymi. Zaznaczam, że w czasie zwiedzania wszyscy włączą ze sobą bagaże, a w nich dro-

gocenne kule z cementowni. Obiadokolacja była przygotowana prawdopodobnie w stołówkach akademickich.

Czwarty dzień wycieczki to przejazd kolejką trójmiejską (dzisiaj SKM) do Gdyni, zwiedzanie portu, okrętów wojennych, muzeum morskiego i miasta. Statki i port wywierają na uczestnikach ogromne wrażenie, a kule z cementowni jeżdżą cały czas w plecakach.

Piąty dzień to chyba największa atrakcja, rejs wycieczkowy statkiem, który nazywał się „Pan-na Wodna”, po Zatoce Gdańskiej ze zwiedzaniem Helu. Przed rejssem był obiad z bardzo słodkim deserem, a jako że morze było bardzo niespokojne, prawie wszyscy mieli chorobę morską i deser został zwrócony. Po tych wszystkich kilkudniowych atrakcjach wieczorem wracamy do naszego pociągu sypialnego i udajemy się w podróż powrotną. Mamy ten sam wagon i te same przedziały. Rano jesteśmy już w pobliżu Krasnegostawu, przygotowujemy się do opuszczenia pociągu, któraś z pań sprawdza, czy mamy wszystkie bagaże i zauważa ciężkie kule, jest to chyba na stacji Bzite. Dostajemy polecenie wyrzucenia tych kul przez okno. W ówczesnych czasach z nauczycielem nie było dyskusji i polecenie zostało wykonane. Jedną kulę przemycił nasz kolega i była później w szkole traktowana jak najcenniejsza relikwia. Pamiątki w postaci wyrobów z bursztynu okazały się niewiele warte w porównaniu z metalową kulą z cementowni. Celowo nie opisuję szczegółów dotyczących zwiedzanych obiektów, gdyż chcę podkreślić, w jaki sposób u schyłku lat 50. XX wieku można było zorganizować zwiedzanie kraju. Dokładność, jeśli chodzi o wykonanie programu wycieczki oraz organizacja wyżywienia, noclegów dla takiej grupy były zadziwiająco udane. Dzisiaj nieraz czeka się po dobie na samolot, autokar itp. Pieniądze za takie wycieczki nie były duże, przecież rodzice dzieci wiejskich nie grzeszyli okazałymi dochodami. Dla dzieci ze wsi było to ogromne przeżycie i miało na pewno wielki bodziec do nauki, aby wyruszyć w poszukiwaniu lepszego świata. A więc taka wycieczka poprzez poznawanie Polski na żywo była na pewno przyczynkiem do wyludnienia wsi Borów.

*Jacenty Jarocki
uczestnik tych wycieczek*

Andrzej Stanisław Adamczuk

Ważne miejsca

– „Biała Szkoła”

Z cyklu: „Mój Jaślików”



W Jaślikowie, były dwie szkoły, tzn. dwa budynki szkolne – „Szkoła Biała” i „Szkoła Czerwona”. Tak je nazywaliśmy. Szkoła Biała, mieściła się w dworskim budynku mieszkalnym po Józefie Ostrowskim, właścicielu majątku, rozparcelowanym po II wojnie światowej w imię „sprawiedliwości dziejowej”, a Szkoła Czerwona była wybudowana od podstaw w czasach Królestwa Kongresowego za pieniądze jaślikowiaków. Tutaj będzie słów parę o Szkole Białej.

Dworski budynek mieszkalny, który zamieniono w szkołę był częścią siedliska Ostrowskich, które graniczyło z siedliskiem Wojtałów. Gospodarstwo Wojtała było niewiele mniejsze, a może i większe od majątku Ostrowskich, a budynki były nawet bardziej okazałe niż dworskie. Folwark Ostrowskich był bardzo mały, liczył zaledwie 53 ha (dane z roku 1930) i był najmniejszy na Lubelszczyźnie. Po przejęciu majątku przez państwo, w dworskim budynku mieszkalnym urządzono szkołę podstawową, przeznaczając część pomieszczeń na mieszkania dla nauczycieli, a część na sale lekcyjne.

Cały ten zespół budynków dworskich otoczony był starymi drzewami i zaroślami krzaczastymi – stare lipy, sękate brzozy, zarośla z bzów i leszczyń, a przy czworakach – grzędy warzywne, które uprawiali jego mieszkańcy. Duże podwórko dworskie przecinała droga gruntowa, która rozwidlała się przed wjazdem na posesję i wiodła na pola uprawne majątku, do budynku mieszkalnego i na posesję Wojtała, poprzez płytki wąwóz.

Budynek mieszkalny, w którym urządzono szkołę, stał po północnej stronie działki, na wzniesieniu w odległości ok. 50 m od zabudowań gospodarczych, jego elewację malowano na biało – stąd wzięta się zwyczajowa nazwa szkoły. W budynku mieściły się 4 pokoje, służbówka, kuchnia i korytarzyk połączony z oszklonym gankiem. Z dwóch pokoi i służbówki utworzono salki lekcyjne. W pozostałej części mieszkali nauczyciele.

Było jeszcze obszerne poddasze, wykorzystywane do celów mieszkalnych za czasów Ostrowskich, ale później była tam zwykła rupieciarnia – stare ławki, połamane krzesła i takie tam inne.

Solidny drewniany budynek osadzony był na murowanej suterenie z białego kamienia. Teren wokół był znacznie nachylony w kierunku południowym i odsłaniał całkowicie tę część suterenu, w której był skład węgla, jakieś szkolne magazynki i spiżarnia dla mieszkających nauczycieli.

Do budynku prowadziła wąska gruntowa droga, ocieniona starymi drzewami i kępami zarośli z bzu i tarniny. W zimie ta droga zamieniała się w znakomitą ślizgawkę, którą pracownicy „budowali” uczniowie wraz z naszymi butami. Ślizgawka z dnia na dzień była coraz dłuższa, chyba, że woźny „Stary Mazur” posypał ją popiołem z pieców – no to wtedy kicha! W zimie, na tej ślizgawce spędzaliśmy każdą przerwę. Marysia Sobczakówna, moja pierwsza wychowawczyni w latach 1956-58, kobieta niezwykle dobroci, która nigdy nie podnosiła na nas głosu ani ręki, raz jedyny została wyprowadzona z równowagi – właśnie przez tę ślizgawkę. Zapamiętaliśmy się bowiem w ślizganiu i spóźniliśmy się znacznie na lekcję do Pani Marysi i każdy uczestnik ślizgania, dostał raz w zmarznątą łapę 30-cm linijką z drewna bukowego. A w oczach Marysi Sobczakówny świeciły łzy.

Obok szkoły była jeszcze duża wolnostojąca spiżarnia piwniczna i drewniany kibel 2-oczkowy malowany co jakiś czas wapnem na biało. Na piwnicę mówiło się „loch”. Loch był duży, w przeszłości przechowywano w nim zimowe zapasy dla gospodarstwa dworskiego, duża jego część wystawała ponad teren i zimą, bardzo dobrze nadawała się zjeżdżania na butach albo innym „sprzęcie zimowym”.

Pod koniec lat 50. we wsi organizowany był kurs na prawo jazdy motocyklowe. Nauka przepisów ruchu drogowego i budowy motocykla, odbywała się w budynku szkolnym w godzinach wieczornych, a na placu przed szkołą odbywały się zajęcia praktyczne. Instruktorem jazdy i jednocześnie wykładowcą był bardzo sympatyczny młody szalony „kaskader” i ten to „kaskader-instruktor” wykorzystywał kopiec nad piwnicą do karkołomnych wyczynów jeździeckich na starej podrasowanej WFM-ce 150. To były bardzo efektowne pokazy



Zdjęcie grupowe zrobione zostało w roku 1959 koło Białej Szkoły na tle tego „lochu”, po którym śmigał instruktor motocyklowy.

motocrossu na krótkim odcinku. Gawieź gromadziła się i podziwiała z rozdziawioną gębą wyczyrny młodego, motocyklowego junaka. Były próby naśladowania, ale rezultaty były takie sobie. Instruktor był poważany przez wiejską społeczność, a u nas w domu był kilka razy na obiedzie (wieś miała obowiązek zapewnić mu zakwaterowanie i wyżywienie). Wacek, mój brat, kolegował się trochę z nim. Po kilku latach dotarła do wsi informacja, że zginął w wypadku podczas szalonej jazdy.

W tej naszej Białej Szkole, to tzw. przestrzeni do nauczania nie było za dużo. Jakoś tam mieściliśmy się, ale bez zbędnych wygod. Zajęcia szkolne często odbywały się w klasach łączonych i zasadą było, że młodsze roczniki przychodziły na drugą zmianę, tak koło południa. W budynku były trzy niewielkie salki lekcyjne, mieściliśmy się tam jakoś. Narzekań nie pamiętam. Lubiliśmy tę naszą „budę”, stroiliśmy jej wnętrza we wzniosłe hasła, gazetki okolicznościowe i portrety przywódców, sprawdzaliśmy ostrość naszych szczyrzyków na szkolnych ławkach, a wyjątkowo uparte muchy wsadzaliśmy do karceru, czyli do kałamarza z atramentem.

Drewniane podłogi w salkach lekcyjnych, konserwowane były co jakiś czas naftą, na początku trochę śmierdziało, ale po pewnym czasie nie było specjalnie czuć i można się było przyzwyczaić. Nafta stanowiła warstwę, do której tak nie przylegało błoto (jesienią i zimą błoto było wszę-

dzie), sprzątanie podłóg było łatwiejsze, ograniczało się tylko do codziennego zamiatania. W szkole nie było obowiązku zmiany obuwia. Próbowano ten zwyczaj wprowadzić, ale o ile pamiętam za moich czasów to się nie bardzo udawało.

Salki lekcyjne ogrzewane były piecami kaflowymi, w których wcześniej rano palił woźny. Pamiętam, że woźnym od zawsze był stary Mazurek (ps. „Stary Mazur”), ojciec Gienka. Taki bardzo stary to on nie był, ale dla odróżnienia od młodszych mówiło się „stary” i już.

Najgorzej było na przerwach (a może najlepiej), kiedy nie można było wyjść na zewnątrz budynku, bo

był deszcz albo „inna słońta”. Wtedy tłoczyliśmy się w malutkim ganku i korytarzyku między klasami, uprawiając namiętnie zabawę zwaną „robimy kopę”. Robienie kopy polegało na tym, że upatrywało się ofiarę i na dany znak dopadaliśmy ją całą hurmą, przewracali na podłogę i przygniatali swoimi cieleckami. Dla tego na dole to nie było zabawne, zaręczam. Zabawę tę uprawiają do dzisiaj na boiskach piłki nożnej po strzeleniu gola.

Moja droga do tej Białej Szkoły wiodła przez pięć sąsiedzkich podwórek. Kiedyś nie odgradzano się szczelnie od sąsiadów i w sąsiedzkich płotach zawsze była furka, żeby można było przyjść do sąsiada i np. pożyczyć szklankę cukru albo przejść na skrót do szkoły. Najgorsze było ostatnie podwórko u Stasia Wojtala, bo było tam stado agresywnych indyków, z którymi trzeba było się ciągle „potykać” i nie zawsze te potyczki można było uznać za zwycięskie. Indyki robiły wrzaskliwy gulgot na całe ogromne podwórko, miały ogony jak pawie, czerwone korale, dzioby szczypiące jak kombinerki, twarde skrzydła i wzrost pierwszoklasisty. Poza tym w walkach były nieustępliwe jak Japończycy pod Okinawą. Nie było łatwo! Jakiś leszczynowy pręcik jako „oreź podręczny”, trzeba było ze sobą mieć, żeby szanse bitewne nieco wyrównać.

Teren wokół szkoły nie bardzo nadawał się na urządzenie boiska sportowego, ze względu na duży spadek, stąd warunki do WF-u nie były



Tadek Szymaniak (ps. „Siurek Tadek”) – na dalekim planie budynek Białej Szkoły (zdjęcie zrobitem wiosną 1964 lub 1965 r. w pasiece u Edka Szymaniaka, ojca Tadka).

najlepsze. Graliśmy w dwa ognie, palanta i na siłę w piłkę siatkową. Pod koniec mojego pobytu w szkole zrobiliśmy skocznię w dal, gdzie rozbieg był ze znacznym spadkiem, wyniki były poważnie zawyżane, co boleśnie odczuliśmy na zawodach międzyszkolnych w Stężycy, gdzie rozbieg był normalny i długość skoków naszych zawodników diametralnie spadała. W siatkówkę też dostaliśmy łupnia. Nie popisaliśmy się na tych zawodach zbytnio. Do uprawiania technicznych dyscyplin sportu nie mieliśmy warunków, ale nadrabialiśmy to z nawiązką, grając w palanta (gra zespołowa można się dopatrywać podobieństwa do gry w baseball) i dwa ognie. Gra w piłkę nożną była zakazana na boiskach szkolnych – że to niby szyby lecą. Zawody w piłkę nożną uprawiano zatem w tzw. Sadku Pachutowym albo u Grzecha Sawy, gdzie był duży koński wygon. Mieściliśmy się tam swobodnie – i my, i konie.

W moim archiwum fotograficznym brakuje należytego zdjęcia szkoły z tamtych czasów, mam dwie albo trzy fotografie z roku 1963, gdzie przypadkowo zarejestrowana została sylwetka budynku na dalekim planie.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Andrzej Stanisław Adamczuk

Ważne miejsca – „Szkoła Czerwona” Z cyklu: „Mój Jaślików”



Stary dom Jaworskiej leżący tuż nad strumykiem był po drodze dla tych, którzy szli rankiem na lekcje do Czerwonej Szkoły. Z otwartego okna tego domu można było niejednokrotnie usłyszeć wołanie: – *Celina! Ósma godzina! – Wstawaj!* Taki to głos, trochę zrzędlawy i zniecierpliwiony, niósł się rankiem z tego otwartego okna domu Jaworskiej, która starała się przekonać swoją córkę, że najwyższy już czas przegonić sen i wstać, bo pora do szkoły. Ale Celina widocznie miała swój ogląd sprawy i swoje standardy punktualności, do szkoły się spóźniła i przyłgnęła do niej ksywka – „Celina-ósmagodzina”.

Wspominam o Celinie, bo przyjaźniła się z moją siostrą Haliną, więc pamiętam ją dość dobrze, a to zawołanie – „Celina-ósmagodzina”, którym dokuczali Celinie szkolni złośliwcy i które to zawołanie pozostało w wiejskiej anegdocie, mnie niezmiennie kojarzyć się będzie z porannym wstawaniem i marszem do Czerwonej Szkoły na godz. ósmą, obok domu nad strumykiem, gdzie mieszkała Celina Jaworska. Celina, jako osoba już dorosła, pracowała w służbie zdrowia i zapamiętałem ją jeszcze z umiejętności wykonywania zastrzyków. Korzystali z tej umiejętności mieszkańcy Mojego Jaślikowa. Mnie też się trafiło.

Ale do rzeczy. Budynek, w którym mieściła się Szkoła Czerwona, to nie był jakiś tam byle budynek zaadaptowany na potrzeby szkoły. Nie, to był obiekt nowy, od początku pomyślany i wybudowany jako budynek szkoły wiejskiej i w czasach, kiedy go budowano, nie było lepszego obiektu szkolnego w gminie Krasnystaw. Za sprawą tej szkoły, prestiż wsi wzrósł i to znacznie, w zasadzie z dnia na dzień.

Szkolny budynek wybudowany został na początku ubiegłego wieku, kiedy to Jaślików leżał jeszcze w granicach Cesarstwa Rosji. Wiejskie „kaganki oświaty” paliły się już tu i ówdzie we wsiach, szerząc miejscami „zarazę” idei wyzwolenia spod panowania „miłościwego cara”, z czego ani car,

ani jego „namiestnicy” wszelkiej maści, zadowoleni być nie mogli i na nowe ogniska szerzącej się „zarazy oświaty” zgody wydawać nie bardzo chcieli.

Póki co (...ach, te rusycyzmy!) łakome wiedzy jaślikowskie dzieci chodziły do szkoły na Niemienice – 5 km, po błocie i kurzu polnych dróg, po lasach i głębokich wąkopach. W deszcz, letni skwar czy przez zimowe zasy, słowem – „oświatowa” zgroza! Aż przyszedł czas, że w tej sierniędze i trudzie wędrowek, urodziła się wśród mieszkańców wsi „Myśl Wielka”: wybudujmy w Jaślikowie swoją szkołę!

Jesienią roku 1908, na wiejskim zebraniu zapadła decyzja, aby wystąpić z petycją do naczelnika Chełmskiej Dyrekcji Szkolnej o pozwolenie na wybudowanie w Jaślikowie szkoły. Postanowienie owego zebrania podpisane zostało przez sołtysa Pawła Cichosza i trzech gospodarzy: Jana Adamczuka (ciekaw jestem, który to odłam Adamczuków brał udział w tym historycznym zdarzeniu), jego brata i Jana Szymaniaka.

Rozpoczęto procedury urzędowe, które trwały do wiosny 1910 r. Wynik tych zabiegów był taki, że decyzją naczelnika powiatu nr 1700 z 27 kwietnia 1910 r. wieś otrzymała pozwolenie na wybudowanie jednoklasowej szkoły państwowej. Szkoła „jednoklasowa”, wg zasad wtedy obowiązujących, to była szkoła z jedną salą lekcyjną i zatrudniająca jednego nauczyciela. Czy szkoła będzie 1-klasowa, czy 2-klasowa zależało od liczby dzieci – powyżej 120 dzieci można było starać się o szkołę 2-klasową.

Od tej pory sprawy potoczyły się żwawiej. Za 450 rubli z wiejskiej składki kupiono od Jana Korczyńskiego jedną morgę (~56 a) ziemi leżącej w dogodnym miejscu przy drodze. Potrzebne na budowę pieniądze zebrano w wyniku dobrowolnego opodatkowania się jaślikowskich gospodarzy oraz z budżetu Gminy Krasnystaw. Zdanie jest krótkie, ale proces zebrania tej „kasy” nie był ani łatwy, ani krótki.

Kiedy pieniądze na budowę leżały już na koncie w banku, wiosną roku 1911 ogłoszono przetarg na wybudowanie ceglanego budynku szkoły, krytego blachą, drewnianej ubikacji krytej gontem (w oryginale nazwa brzmiała „drewniennowo srajcika krytowo gontem”) i szopy na drewno i odpadki. Całkowity koszt budowy miał wynieść 5820 rubli

i 23 kopiejki. Przetarg wygrał Lejb Zaleman z Krasnegostawu. Cegła była na miejscu z cegielni Ostrowskiego. Budowa szkoły ruszyła.

W październiku roku 1912, w sali lekcyjnej nowej szkoły zawieszono uroczyście portret cara Mikołaja II Romanowa. A jakże! Bez portretu cara szkoła nie mogłaby przecież funkcjonować. I tak oto jednoklasowa, państwowa szkoła w Jaślikowie zaczynała swoją misję edukacyjną, która trwa do dzisiaj.

Kiedy we wrześniu 1956 r. przestąpiłem pierwszy raz próg Szkoły Czerwonej na uroczystej inauguracji roku szkolnego, wydaje się, że budynek był jeszcze w takim stanie, w jakim go wybudowano w 1912. Był nawet „drewniany srajcik” z dwiema „kabinami” nauczycielskimi i dwiema oddzielnymi „grzędami srajcikowymi” dla dziewczyn i chłopaków.

Budynek szkoły był dość duży, ale była w nim w zasadzie tylko jedna, obszerna sala lekcyjna – zgodnie z regułą szkoły jednoklasowej. Za rządów Jana Kowalskiego (kierownik szkoły w latach 1958-1959), na salkę lekcyjną przystosowano jeszcze jedno pomieszczenie, gdzie była kancelaria. Poza tymi dwoma pomieszczeniami, były jeszcze trzy inne, w których zwykle mieszkał kierownik szkoły lub nauczyciele, oraz obszerna sień ze schodami na strych, na którym przechowywano wszelakie „przydasie”. Ponieważ sala lekcyjna była dość duża (jak oceniam na oko mogła mieć jakieś 50-60 m²), odbywały się w niej różne imprezy, jak zabawy szkolne, zakończenie roku szkolnego, seanse kina objazdowego, czasami zabawy organizowane przez komitet szkolny dla ogółu wiejskiego.

Kiedy nastała epoka TV, dużą salą lekcyjną wykorzystywano jako salę telewizyjną dla mieszkańców wsi. Nie trwało to długo, bo telewizory w trymiga rozpanoszyły się w domach i sala telewizyjna nie była wkrótce potrzebna. I to był początek końca prawdziwych spotkań towarzyskich. Wieczorami okna we wsi błyskały niebieskawym światłem ekranów telewizyjnych, a treści przekazywane z ekranu kształtować zaczęły gusta i opinie w sprawach wszelakich. Trwa to do dzisiaj. I to jest zgroza!

W dużej sali lekcyjnej była też szkolna biblioteka (niewielka, bo licząca ok. 1000 pozycji)



i rząd gablot z pomocami szkolnymi, m.in. z fizyki i chemii. Te gabloty, to była nasza zмога, bo często „tłukły się” w nich szyby (takie jakies kruche były), szczególnie, kiedy podczas przerw między lekcjami, pod nieobecność ciała pedagogicznego, uprawialiśmy halową wersję piłki nożnej.

Kary za te demolki były „straszne”, jeżeli udało się ustalić winnego, bo to było dość trudne. Pan kierownik Edwin Krzysztofiak i pani kierowniczka Henia Drozd stosowali „okrutne” kary cielesne, gdzie tzw. „łapa”, czyli linią po otwartej dłoni, była karą jeszcze w miarę znośną. Inne pominę milczeniem, żeby nie dawać złego świadectwa dla tamtych metod wychowawczych. W każdym razie wyroki zapadały natychmiast, czasami nawet bez wstępnego śledztwa, wystarczała skaza na opinii, poszlaka albo zwykłe pomówienie. O sprawiedliwość raczej nie należało się upominać, żeby nie pogarszać sytuacji. Szybko przyzwyczailiśmy się do systemu kar i szkolnej jurysdykcji, traktując go jako niezbędny proces hartujący nasze charaktery, a za kulisami, wśród „pokrzywdzonych” wyrażaliśmy swoje swobodne opinie o twórcach tego systemu i ich metodach. Szczegółów tych opinii przytaczać nie będę, żeby nie propagować „wrednych” sposobów kształtowania opinii publicznej. Wzorców ci u nas nie brakuje i nowych na razie nie potrzeba.

O szkodach na mieniu szkolnym, powiadami byli też rodzice, zobowiązani do ich naprawienia. Oni też dodatkowo przykładali rękę,

nieraz twardą, do wysiłku wychowawczego szkoły, a ich gorliwość i metody egzekwowania dobrych manier nie należały do łatwych, oj nie należały. A mówili, że nie wolno dwa razy karać za to samo przewinienie. Ale gdzie tam! Kto by tam się przejmował łapaniem praw niedorośliwych jeszcze obywateli?! Słowem – zgroza i tragedia!

Podłoga w szkole była drewniana i konserwowana naftą, tak jak w Szkole Białej. Kierowniczka Henia

Drozd próbowała wprowadzić zwyczaj zmiany obuwia przed wejściem na lekcje. Udało się tak umiarkowanie, ale odkryliśmy, że worki z kapciami to był znakomity oręż w „wojnach klasowych” i mogą od biedy zastępować piłkę szmaciankę. Oj, ten Polak to wszystko potrafi!

Plac wokół szkoły był w miarę równy i część tego placu (od strony Mazurka, dzisiaj od strony Korczyńskiego) przeznaczona była na nauczycielski warzywnik, a pozostałą część przeznaczono na boisko do siatkówki i plac do ćwiczeń z WF. Na boisku do siatkówki w niedziele rozgrywane były mecze o „coś”, np. o antałek piwa (piwo w tamtych czasach sprzedawano w beczkach, a beczka 25 l to był właśnie antałek). Po „zawodach”, zwykle już dobrze po południu, zawodnicy (dorosła część mieszkańców) i widzowie szli do sklepu, żeby zakłady zrealizować.

Raz w roku, do szkoły przyjeżdżał lekarz-społecznik Leonid Gawryłow z Krasnegostawu. Na wsi nazywali go „Darmy”, bo od biednych ludzi nie brał zapłaty za poradę. Szkoła Czerwona zamieniała się wtedy na dwa dni w gabinet lekarski, gdzie Leonid Gawryłow badał dzieci systematycznie co roku, a wyniki skrętnie zapisywał. Gawryłow był Rosjaninem, którego wojenne losy rzuciły do Polski, znalazł w Krasnymstawie swoje miejsce na ziemi i żonę, z którą stanowili niezwykłą parę. Swoją misję społecznikowską realizował w okolicznych wsiach. Postać ze wszech miar pozytywna i warta bliższego poznania.

Taka to była ta nasza Czerwona Szkoła, która w razie potrzeby „robiła” za szkołę, teatr, salę balową, gabinet lekarski, salę kinową, a w czasie I wojny światowej zorganizowano w niej lazaret. W latach 70. ubiegłego wieku szkołę rozbudowano i nie wiem, czy teraz potrafiłbym odnaleźć stare mury w tej nowej szkole.

W moim archiwum fotograficznym nie ma, niestety fotografii całego budynku. Dołączona fotografia pochodzi prawdopodobnie z roku 1952 albo 1953. Zrobiona została na tle jednej ze ścian Szkoły Czerwonej. Twarze wszystkich obecnych, oprócz nauczycieli są mi znane. Nazwiska, niestety pamiętam tylko niektóre. 60 lat z dużym okładem to szmat czasu.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Andrzej Stanisław Adamczuk

Ważne miejsca – Sklep GS Z cyklu: „Mój Jaślików”



Sklep mieścił się w tym samym budynku, w którym była mleczarnia. Pomieszczenia mleczarni zajmowały tak gdzieś 3/4 powierzchni całego budynku, na pozostałej części był sklep z małym magazynem w przedsionku, wejście do sklepu było od frontu, czyli od strony głównej drogi.

Solidne drzwi, okute stalową blachą, ochraniała ciężka żelazna sztaba, zamykana na jakiś przedwojenny „patent” wymagający sporo zabiegów i ciężkich jak diabli przyrządów, żeby go zabezpieczyć. Takie „ciężkie” zabezpieczenie miało wtedy swoje uzasadnienie, bowiem jeszcze nie wszyscy „partyzanci” złożyli broń i napady na „reżimowe” instytucje – a sklep był taką – jeszcze się zdarzały. Oprócz partyzantów, po lasach szwendały się grupy zwykłych oprychów udających partyzantów. Odróżnić kto był „prawdziwy”, a kto „podrabiany” było nie sposób. Opowiadała mi moja mama, że kiedyś ci rzekomi partyzanci zabrali jej parę blach kiszki-kaszanki dopiero co wyciągniętej z pieca, a przyszli po aparaty do produkcji bimb-

ru, którą miał mój ojciec, ale akurat ani ojca, ani aparatury w domu nie było, więc wzięli kieszkę.

Chociaż tutaj trzeba przyznać, że „wywiad” mieli dobry, bo ojciec podobno konstruował najlepszą aparaturę do pędzenia bimbrowa, a ponadto miał maszynkę do masowego krojenia tytoniu też własnej konstrukcji, a rzecz to była bezcenna, bo wów czas bimbrowa i tytoń były jedynym najpewniejszym środkiem płatniczym w powojennej Polsce. Ta waluta nie była w obiegu długo, bo wkrótce uznano ją za „nielegalną”, a za jej „drukowanie” fundowano drukarzom sanatoria z ogrodzonym wybiegiem i wieżyczką wartowniczą, zaś Polskie Monopole Tytoniowy i Spirytusowy zrobiły wszystko, aby powstałe braki rynkowe niezwłocznie uzupełnić.

No, ale wracamy do naszego „reżimowego” sklepu, który powstał na „bazie lokalowej” po zlewni mleka Spółdzielni Mleczarskiej w Jaślikowie. Nazwa „Spółdzielnia” została, ale to była już „Gminna Spółdzielnia Samopomoc Chłopska”.

Do tej pory nie mogę pojąć, jak na takiej małej przestrzeni przeznaczonej na sklep, mogło się pomieścić tyle funkcji: magazyn nafty, oleju i smarówki, gwoździ i innego żelastwa, skup jajek, śledzie solone w beczce, piwo w beczki (beczki służyły za fotele klubowe), tekstylia w belach, wszelkie produkty spożywcze z wędlinami i alkoholem włącznie. Pomieszczenie sklepowe miało wymiary jakieś 4 x 4 m, może trochę więcej, ale niewiele. Jak to wszystko działało? A działało całkiem niezle. Nie do pojęcia!

Nafta stała w magazynku przy wejściu w wielkiej 200-litrowej beczce z ręczną pompką do nalewania przez lejek do butelki, po naftę przychodziło się z własną butelką, która miała uchwyt zrobiony ze sznurka umocowanego na rancie szyjki i korek z kilkakrotnie zwiniętej gazety np. „Trybuny Ludu”. Do czego ta nafta? Ano, żeby było „więcej światła”. Póki co, innego światła nie było. Marian Mazurkiewicz, kolega z klasy miał karbidówkę, ale jego ojciec pracował gdzieś na budowie i miał dostęp do karbidu. Inni świecili lampami naftowymi albo świeczką.

Nafta, smarówka, oliwa i piwo – to były produkty kupowane w sklepie najczęściej. Do czego smarówka i oliwa? Wszystkie wozy konne i maszyny, które miały koła wymagały regularnego smarowania osi i innych mechanizmów. W domu

zawsze stała faska ze smarówką i flaszka z naftą. Tak na marginesie dodam jeszcze, że nafta była uznawana jako znakomity środek na wszy i na gęstość włosów. Nie sprawdzałem, więc może to być nieprawda, ale takie opinie po ludziach chodziły.

No i tak to, po załatwieniu obowiązków w mleczarni, towarzystwo przenosiło się na drugą stronę budynku – do sklepu. Ta poranna wizyta w sklepie często wiązała się z przyjemnością wypicia porannego kufła piwa. Żadne zakazy w latach 50. nie obowiązywały i napić można był się już od rana i mało kto ten rytuał omijał. Piwo było jak poranna kawa.



Grupka chłopaków z Jaślikowa koło naszego sklepu (zdjęcie z połowy lat 60.).

Sprzedawca w sklepie nazywany był sklepowym. Przez to stanowisko przewinęło się sporo mieszkańców wsi, m.in. sklepowym był mój ojciec na przełomie lat 40. i 50. W związku z tą funkcją, miał poważne problemy, kiedy nastąpiła wymiana pieniędzy (1950), a on nie dowiedział się o tym w odpowiednim czasie i nie przerwał handlu, przyjmując nieważną już walutę. Ludzie wykupili sporo towaru, zanim zamknął sklep i zrobił tzw. obliczkę – dzisiaj to się nazywa remanent. Opowiadała mi matka, że byli w poważnych tarapatach, ojciec otarł się o więzienie. Jak się z tego wykaraskał nie wiem. W każdym razie skończyło się chyba na karze finansowej, a pamiętać trzeba, że wtedy manko w sklepie to dla sprzedawcy była pewna odsiadka.

Po moim ojcu sprzedawcą był chyba „Leonek”. Znam go tylko z ksywki i nie wiem, kto był zacz. Podobno miał przeszłość partyzancką. Po Leonku (chyba?) był Tadek Woroch. Za jego rządów chłopcy popijali w sklepie, siedząc na beczkach z piwem jak w klubowych fotelach. Ludzki pan nie wyganiał ich na mróz i siołę, ale baby krzywo patrzyły na to „ludzkie” podejście sklepowego do „sprawy” chłopskiej.

Przez pewien czas sklepową była Wiesia Bandoszówna. Funkcję traktowała bardzo serio, była bardzo skrupulatna w obliczaniu należności. Przypominam, że za kalkulator służył ołówek kopiający (mówiło się ołówek chemiczny) i gruby papier pakowy służący za opakowanie, na którym prowadziło się obliczenia (...taki prototyp paragonu!), no i czasami jeszcze drewniane liczydła. Ludzie narzekali, że Wieśka się guzdrze i sprzedaż idzie bardzo wolno, ale w tym interesie trzeba było uważać, bo jak już wspominałem, władza ludowa za manko w sklepie wsadzała do „komunistycznych kaza-

matów”.

Sklepową także była Maria Tymicka, siostra Mariana. Ładna dziewczyna nie była długo sklepową, ale pamiętam jedno zdarzenie z nią związane. To było pod koniec lat 50. albo na początku 60. Młodzi w moim wieku namiętnie czytali „Świat Młodych” – pismo dla młodzieży zrzeszonej w ZHP. Tam była propagowana akcja „Niewidzialna ręka”. Polegała na tym, że pomagało się ludziom w jakichś sytuacjach, ale tak, żeby oni nie wiedzieli, kto im pomaga. Zostawiało się tylko karteczkę z czarną dłonią i napisem „Niewidzialna ręka”.

Pewnego dnia zauważyłem panią sklepową, jak krząta się z miotłą najpierw w sklepie, a następnie obok sklepu. Efektem jej krzątania była spora kupka śmieci przed sklepem. Sklepową chyba uznała, że trzeba w coś te śmieci zgarnąć i weszła do sklepu. W tym czasie ja uwinąłem się

ze śmieciami w trymiga (śmietnik był blisko tuż za sklepem) i wróciłem na stanowisko obserwacyjne na rozwidlonym jesionie za płotem u Wójcika. Sklepowej jeszcze nie było. Za chwilę wyszła z jakimś kartonowym pudłem i stanęła jak wryta. Mina jej warta była wszystkich pieniędzy. Można było się spodziewać, że ze sklepu można wszystko ukraść, ale żeby śmieci? Uśmiełem się jak norka, a o zdarzeniu opowiedziałem na zbiórce harcerskiej, uznano mi je za zrealizowaną akcję „Niewidzialnej ręki”.

Najdłużej w sklepie rządziła chyba Zofia Świrgoniowa, żona nauczyciela Bolka Świrgonia, matka Krzysia i Waldka, późniejszego prominentnego działacza PZPR. Świrgoniowa zasłynęła z tego, że nalewanie piwa do kufla szło jej, no powiedzmy tak sobie, szczególnie, gdy zaczynała się nowa beczka i piwo było lekko podburzone. Zamiast lać piwo do kufla po ściance cienkim strumieniem, lała z wysokości w środek kufla, czym powodowała tworzenie się piany, czekała aż ta piana się ustoi i dolewała raz albo i drugi raz, aż poziom złocistego płynu osiągnął wierzch sztachetek na kuflu. Zamawiający czekał, toczył pianę z ust i skręcało go z pragnienia spowodowanego syndromem dnia poprzedniego. Baby pyskowały na niewinnych przecież chłopów, bo południowe zakupy przeciągały się co niemiara, a pani Zofia toczyła wojnę z pianą, dmuchaniem w kufel, czekaniem, albo i pomagając sobie łyżką ze zdejmowaniem wrednej piany. Czasami kupujący chciał, żeby nałać mu piwa do kilkilitrowej kanki, bo np. chciał w spokoju pod lipą w południe posiedzieć z piwem w garści, piana wypełniała błyskawicznie czeluść kanki, wyciekała białą lawą na beczkę, nie wiadomo było, ile tego piwa jeszcze brakuje – zgroza! Zwracanie uwagi nie wchodziło w rachubę. Zosia była żoną cenionego nauczyciela, a każdy miał jakieś tam dziecko w szkole.

Świrgoniowa to była ostatnia sklepowa, którą pamiętam, później było ich jeszcze wiele, ale mnie już wtedy w Jaślikowie nie było. Dodam tylko, że pod koniec lat 50. wybudowano nowy sklep, większy, przylegający do istniejącego budynku i Zosia Świrgoniowa sprzedawał już w tym nowym sklepie.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Marian Rybczyński

„Zdolny do lotów” Z cyklu: Dęblińskie przypadki



Wyjechaliśmy do Białej Podlaskiej, jak to się wtedy mówiło, „na lotniska”. Zaraz pierwszego dnia podzielono nas grupy, przydzielono do poszczególnych eskadr, kluczy i instruktorów. Trafiliśmy razem z Gienkiem „Wala” Wojciechowskim i Krzyskiem „Ichim” Geldnerem do instruktora por. Mariana Piotrowskiego, starszym pilotem klucza był por. Jan Palak, a dowódcą klucza kapitan Cyga. Zaczęło się naziemne przygotowanie do lotów, całe dni wykładów i egzaminów. Ponieważ nigdy nie miałem problemów z przyswajaniem wiedzy, więc i problemów większych nie napotkałem, ale kilku kolegów zostało trafionych na „miętkie”. „Lim”, jeśli chodzi o poziom nowoczesności ustępował „Iskrze”. Tam w kabynie wszystko było jakoś logicznie poukładane, a tutaj było dużo chaosu. Było to moje pierwsze spotkanie z „radziecką techniką”. Cytując naszego nawigatora eskadry (teraz mogę) kapitana Mariana Kokoszkiewicza, „Pijany bolszewik pierdyknął przyrządami i przełącznikami do kabiny i gdzie który upadł, tam go zamontowali”. Może było w tym trochę przesady, ale oddaje to mniej więcej samą ideę. Sam samolot był dużo szybszy od „Iskry”, w końcu był to kiedyś samolot bojowy. „Iskra” była samolotem tylko szkolnym. Walczyliśmy więc z nową porcją wiedzy sumiennie przez cały tydzień, a w sobotę ruszyliśmy tłumnie na głębsze zapoznanie się z miastem i jego życiem kulturalnym. Miasto nie za duże, a z obiektów kultury szczególnie przypadła nam do gustu kawiarnia „Agatka” i restauracja kategorii drugiej, „Stylowa”. Po takim intensywnym ukulturalnieniu cała niedziela zeszła nam na powrocie do rzeczywistości. Jest poniedziałek, siedzimy w „Zarządzie Budowy Jaskiń” (tak nazywaliśmy barak, który był siedzibą eskadr, były sale wykładowe itd.), słuchając jakiegoś kolejnego wykładu, kiedy drzwi się otwierają i wchodzi starszy lekarz pułku, trzymając w ręku plik dokumentów, wśród których rzuca się w oczy niebieskiego koloru „Książka Zdrowia Lotnika”.

– Podchorąży Rybczyński, który to? – pada pytanie.

– Jestem... to ja – podnoszę się z krzesła.

– Kto jest instruktorem? – pada następne pytanie. Podnosi się por. Piotrowski.

– Zapraszam do siebie – okrąglam ruchem wskazuje nam drzwi. Idziemy w trzech na Izbę Chorych, gdzie urzędują lekarze.

– Proszę siadać – wskazał nam krzesła, kiedy usiadł za biurkiem. Otwiera niebieską książkę zdrowia... MOJĄ książkę zdrowia. Zaczynam mieć niedobre przeczucia... W Tomaszowie też to podobnie wyglądało. Czyżby znowu nie tak?

– „Rozpoznanie... dysymulacja” – zaczyna czytać lekarz z książeczki – „Zalecenie psychologa badającego: „skierować na konsultację psychologiczno-psychiatryczną do Głównej Komisji Lotniczo-Lekarskiej z wnikliwą opinią służbowo-lekarską ze szczególnym uwzględnieniem ewentualnych zaburzeń w zachowaniu”.

Lekarz zamyka książkę i spogląda pytająco najpierw na mnie, a potem na instruktora. Ten z kolei patrzy na mnie podejrzliwie i nawet nie chce zgadywać, jakie myśli kłębią się w jego głowie. Ani chybi jakiegoś czuba do szkolenia dostał.

– Panie doktorze – odzywa się po chwili. – Ja w ogóle nic na temat podchorążego powiedzieć nie mogę. Znam go dopiero od dwóch tygodni. Na pierwszy rzut oka wygląda normalnie – zawieszają głos – ale kto to może wiedzieć?

– Niemniej jednak opinię trzeba napisać – wchodzi mu lekarz w słowo. – Przeglądałem jego opinię z Tomaszowa. Nic tam nie ma, a raczej powiedziałbym, że jest bardzo dobra, wiedza ponadprzeciętna, lata bardzo dobrze, no może z dyscypliną wojskową trochę na bakier. Niech pan napisze coś od siebie w oparciu o te dane. A do mnie: – A ty, bracie zbieraj się jutro do WIML-u.

Wracam z instruktorem na eskadrę, gdzie pierwsi ciekawscy już podpytują instruktora o co chodzi. „Trampunio” (bo taki pseudonim miał nasz instruktor) z zafrasowaniem drapie się po głowie i przygląda mi się podejrzliwie. Reszta instruktorów też.

– Chodźcie na papierosa – zarządza mój instruktor i całe ciekawskie towarzystwo udaje się przed barak.

– Co jest, Ryba? – koledzy rzucają się na mnie, kiedy ostatni z instruktorów zniknął za drzwiami.

– Jak to co? – oświadczam ponuro. – Pokłósię „dęblińskiego totolotka” sprzed roku. Jutro jadę do WIML-u.

– A co tam ci ciekawego w książce napisali? – pada następne pytanie. Cytuję im słowo w słowo.

– No to masz niezłe buty – kiwa współczująco głową „Jabłko”. – Chwila... a może ty do cywila kombinujesz? – wykrzykuje odkrywco.

– Nie, tylko chyba z poprawnością przeszedłem. Trochę książek mądrych poczytałem i jest tego efekt – wyjaśniam mu krótko.

W WIML-u trafiam na tę samą panią psycholog, która mnie badała w sierpniu. Przegląda uważnie wyniki moich testów.

– Widzę, że mądrych książek trochę pan poczytał? – podnosi głowę znad dokumentów i lekko się uśmiecha. Kiwam potakująco głową.

– Mam więc rozumieć, że postanowił pan zostać w lotnictwie wojskowym? – pyta.

Znowu kiwam głową.

– Szanuję pana wybór – pisze „zdolny” i stawia obok swoją lekarską pieczęć. – Proszę jednak pamiętać o czym panu mówiłem. Życzę panu długiego i bezpiecznego latania – podaje mi rękę na pożegnanie. Wracam do Białej z orzeczeniem „Zdolny do lotów na samolotach odrzutowych”.

Loty na „Lim-ie”

Po powrocie lekarz bierze mnie na „przełytki”, a instruktor przygląda mi się podejrzliwie, ale nic nie mówi, przynajmniej na razie. Okazało się, że z przygotowania nic nie straciłem, ponieważ cały ten proces stoi w miejscu. Są jakieś pozorne ruchy, cały czas niby coś się dzieje, ale generalnie stoimy w miejscu. Poza tym zupełnie inne jest tutaj podejście do podchorążych niż w Tomaszowie. Tam dowódca eskadry umiał nam życie w koszarach, a na lotnisku zmieniał się w „Papę” o tyle tutaj ogólnie mamy spokój w koszarach, za to dojeżdżają nas na lotnisku. Celuje w tym zwłaszcza ambitny zastępca dowódcy eskadry kapitan Andrzej W., bo dowódca kapitan Marian J. to człowiek, który chyba by muchy nie dał skrzywdzić. Dzielnie sekunduje mu por. K., popularnie zwany „Dżapą”. No cóż, zobaczymy, co z tego wyniknie, bo grupa po pobycie w Tomaszowie bardzo się zgrała i myślę, że ciężko

nas będzie ugryźć, ale jak na razie tych dwóch panów bardzo ochoczo zabrało się do dzieła.

Wśród niektórych, tych mających raczej lekki stosunek do nauki, budzi postrach nawigator eskadry kapitan Marian Kokoszkiwicz, ale na szczęście nie mam z nim na pieńku. Spraw naukowych raczej nie zaniedbuję. Z zazdrością patrzę na 1. eskadrę, gdzie dowódcą jest mjr Jerzy S. „Kangur” z „Telem” są w pierwszej eskadrze. Mają łobuzy szczęście. Sam system latania też nie budzi naszego entuzjazmu. Latamy w dwie eskadry i na dodatek zmiany są dwutygodniowe, czyli dwa tygodnie na rano i dwa tygodnie na popołudnie. Dodatkowo po lotach popołudniowych są jeszcze dwie godziny przygotowania do lotów w dniu następnym. Zapowiada się ciężkie i intensywne lato. Do tego dochodzi jeszcze pisanie pracy dyplomowej. Wziętam sobie temat z meteorologii, jako że ta dziedzina bardzo mnie interesuje. Wpadłem jednak trochę w pułapkę. Miało być szybko, łatwo i przyjemnie, a tu zanosi się na coś zupełnie odwrotnego. Nie dość, że temat wymaga wykonania gigantycznej ilości obliczeń, to jeszcze okazało się, że opiekun pracy doktoryzował się z tego tematu i cały mój dotychczasowy dorobek, który złożyłem do oceny tuż przed wyjazdem na lotniska, nadaje się do kosza. Cóż, nie ma innego wyjścia, jak tylko przysiąc się do roboty, kosztem różnego rodzaju rozrywek w czasie wolnym.

Nadchodzi w końcu 19 kwietnia 1978, kiedy to udaje mi się wykonać pierwszy lot na SB „Lim-2” (dwumiejscowa, szkolna wersja samolotu „Lim-2”) popularnie nazywana „szparką”. Upchałem się jakoś w pierwszej kabinie, drugą zajął por. Palak, starszy instruktor klucza. Jak to bywa z zupełnie nowym typem, ruchy miałem trochę kwadratowe i pewnie trochę czasu upłynie zanim się człowiek z tym wszystkim oswoi. Już przy starcie zauważyłem, że samolot wymaga o wiele więcej pracy sterami, niż było to w przypadku „Iskry”. Lot miał na celu zapoznanie się z rejonem wokół lotniska, strefami pilotażu i punktami charakterystycznymi. Rejon stosunkowo trudny, bo jak to niektórzy mówili, okolice Białej Podlaskiej to „laski, piaski i karaski”. Te karaski to chyba po to, żeby się lepiej rymowało, a reszta chyba nie wymaga komentarza. Punktów charakterystycznych jak na lekarstwo. Zrobiliśmy krąg nad lotniskiem i odeszliśmy na trasę. Instruktor coś do mnie mówił i wyjaśniał, ale niewie-

le do mnie docierało, bo poziom hałasu w kabinie był bardzo wysoki.

Wylądowaliśmy po 45 minutach i to były pierwsze koty za płoty. Drugiego lotu na strefę zapoznawczą już nie zrobiłem, gdyż pogoda się załamała i o 16 loty zostały zakończone. Potem było jeszcze przygotowanie do lotów na dzień następny i około 19 byliśmy wolni. Zaczęło się dzielenie wrażeniami. „Pruchniak” coś tam pomylił na trasie i za to będzie musiał narysować za karę 10 rejonów lotów R-300. Taki rejon musieliśmy umieć narysować z pamięci z zaznaczeniem rzek jezior, lasów i większych miejscowości usytuowanych w promieniu 300 km od lotniska. Miało to na celu wbieć sobie w pamięć tej całej konfiguracji, aby mieć ogólną orientację bez korzystania z mapy. Jeśli o ten aspekt chodzi, to w Białej byliśmy uprzywilejowani. Odpadała nam cała wschodnia strona, tuż za płotem zaczynał się związek radosny, a tam wszystko było tajne przez poufne. Na szczęście od tego kraju wiecznej i powszechnej szczęśliwości odgrzała nas rzeka Bug, którą ciężko było przeoczyć i o ile jest mi wiadomo, nie było przypadku, żeby ktoś akurat tam się „zapałętał”. Podsumowując – nasz kolega Próchniewicz jako pierwszy zapoznał się z modelem szkolno-wychowawczym panującym w tym pułku, czyli szkolenie i wychowywanie poprzez karanie, system nagród polegał na braku kar.

Po kilku dniach zrobiłem strefę zapoznawczą i zacząłem kręgi szkolne, czyli z instruktorem. Nie ma ich dużo, ale latanie bardzo się ślimaczy, bo to albo pogoda, albo samolotu nie ma. „Lim-2” przypomina mi parowóz. Sam nie wiem dlaczego, ale to chyba z tego względu, że zarówno w parowozie, jak i w tym samolocie kabina to jeden wielki chaos. Czas jednak robi swoje i powoli zaczynam to wszystko ogarniać. Są już pierwsi samodzielni w eskadrze. Wyleciał Rysiek Wilczek, Wojtek Władyka, Andrzej Gut i Lechu Ciechanowski. W naszej grupie dalej wozimy się po szkolnych kręgach. Mój instruktor zwrócił mi uwagę na jeden, według niego, poważny i niebezpieczny błąd, jaki robię podczas lądowania, a mianowicie podchodzę na trochę większej niż zalecana prędkości, z czego robi się przelot, więc usiłuję posadzić samolot trochę „na siłę”. Skutek jest taki, że ląduję z bardzo nisko uniesionym przednim kółkiem, a stąd tylko kroczek od „dziobnięcia” nim o beton. Skutkiem tego jest

„kangur”, który ten samolot bardzo ochoczo wykonuje, a stąd już blisko do poważnych kłopotów. W kolejnych lotach staram się to wyeliminować i kiedy już mi to zaczyna się układać, znów następuje kilka dni przerwy, po których historia się powtarza. Jest jednak postęp, bo któregoś dnia mój instruktor mówi, że on nie stangret i więcej mnie wozić nie będzie.

– Jutro lecisz na lot sprawdzający z por. Palakiem i jak go zbyt nie wystraszysz, to cię przedstawi do egzaminu – oznajmia. Przyjmuję tę decyzję z ulgą, ale i z obawą, czy aby dam radę. Na szczęście por. Palak, jak i instruktor, należą do tej jaśniejszej części kadry, lata się z nimi bez stresów.

Tylko z tego jutro nic nie wyszło, bo na przeszkodzie stanęła pogoda. Lało od samego rana. W międzyczasie był 1 Maja, jak wiadomo w jedynie słusznym stroju, jedno z ważniejszych świąt. W pułku była akademia i Wiesiek „Kenty” Kędziński wykombinował, że może byśmy dali jakiś występ w części artystycznej.

– Właściwie, to czemu nie – stwierdził Leszek „Baca” Biegun, naczelnny gitarzysta i zapiewający w naszym małym zespole. Czwartym był Zbyszek „Szymyk” Martynowicz. Ja jeszcze w Tomaszowie nauczyłem się grać na flecie prostym, a nasz repertuar zawierał głównie piosenki turystyczne, trochę nastrojowe, trochę śmieszne. Te ostatnie jeszcze z tomaszowskich czasów, kiedy to zaskoczyliśmy publikę występem na Dzień Podchorążego. Orzekliśmy, że da się zrobić i naradzając się, co właściwie będziemy śpiewać, daliśmy się wypchnąć na scenę. Poszło nam na tyle dobrze, że dowódca pułku z marszu, jeszcze na scenie, nagroził nas urlopami.

W drodze do „laszowania”

Znowu mija kilka dni, a pogoda jakby się uwzięła. Chmury chodzą po ziemi i o lataniu mowy nie ma. Nasi wodzowie wymyślają nam różne rozrywki, żeby wojsko się nie nudziło. To za dnia, a wieczorem my wymyślamy sobie swoje. Wyboru dużego nie ma. Jak już towarzystwo ruszy do miasta, to nagle okazuje się, że w „Agatce” spotyka się pół eskadry. Inny problem to finanse, bo wysokość żołdu nie rozpieszcza. Sądząc z lektury różnych lotniczych wspomnień, to problem stary jak świat. Podchorąży miał zawsze dwa największe prob-

lemy. Jak urwać się za bramę i skąd wziąć na to pieniądze. Są różne szkoły. Jedni wydają z umiarem i jakoś dociągają do pierwszego, przeważnie przy pomocy domu rodzicielskiego, a inni wyznają inną szkołę – raz a dobrze. Tej szkole hołduje na przykład Krzysiek „Ichi”. Zaraz po wypłacie zabawia się w króla świata, a potem siedzi w koszarach, albo usiłuje coś pożyczyć, tyle że jedynym, który robi za burżuja i ma nadwyżkę finansów to Wojtek Władyka. Jak on to robi, sam nie wiem, ale faktem jest, że daleko mu do „hulaszczego” trybu życia, jaki wielu z nas prowadzi. Problem w tym, że Wojtek twierdzi, że nie pożycza „szługarkowcom” i „gorzelnikom”, a niestety, Krzysiek, według Wojtka, zresztą jak i większość z nas, zalicza się do jednych, jak i drugich. Biedny Krzysiek długo musi chodzić za Wojtusiem, żeby ten się ulitował i wspomógł go od czasu do czasu.

Jeśli o mnie chodzi, to też zaliczam się zarówno do jednych, jak i drugich, ale jak twierdzi Wojtek, „w rozumnych przedziałach”. Poza tym każdą wolną chwilę, oczywiście bez przesady, spędzam na dokonywaniu obliczeń do mojej nieszczęsnej pracy. Temat wydawał mi się dość prosty; „Wpływ wilgotności względnej powietrza na występowanie i podstawy chmur typu *stratus* w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego na przestrzeni roku”. Jak się okazało, musiałem liczyć średnią wilgotność za każdy dzień, miesiąc i cały rok, a pomiar był wykonywany CO GODZINĘ (!!!). To samo trzeba było zrobić z podstawą chmur i wykazać jaki to ma ze sobą związek. Nie muszę chyba dodawać, że komputerów żadnych wtedy nie było, a nawet zwykły kalkulator był nie lada luksusem, na który mnie zwyczajnie nie było stać. Po wielu poszukiwaniach udało mi się ubłagać za pomocą tradycyjnego goździka, jedną panią z finansówki w sztabie, abym po godzinach pracy, mógł z niego korzystać. Tak więc bardzo często, kiedy koledzy ruszają w miasto, ja z zazdrością siedzę i mozolnie liczę te średnie, klnąc swoje zamiłowanie do meteorologii. Następnego dnia wysłuchuję za to niestworzonych historii, które zaistniały z ich udziałem. Jedyny plus to taki, że głowa mnie nie boli. Oczywiście te wyjścia są wtedy, kiedy nie ma latania. W innym przypadku towarzystwo siedzi spokojnie na tyłku. Tyle, że ostatnio pogoda się na nas uwzięła, więc i głowa często boli. Co poniektórzy twierdzą, że poświęca-

jąc się, w ten sposób modlą się o pogodę. Można i tak. Pamiętam, jak latałem na szybowcach, niektórzy twierdzili, że jak się nóg nie umyje z wieczora, to następnego dnia lotna pogoda murowana. Wojtuś Władyczka podchodzi do tego sceptycznie, mimo, że dzięki temu lista dłużników mu rośnie. Co prawda procentu od długu nie bierze, ale za to ma bat na tych, którzy chcieliby palić w izbie żołnierskiej, a tym razem nazwa jest adekwatna do rzeczywistości. Jeśli tylko jakiś delikwent ma opory, Wojtek wygłasza krótką formułkę.

– Nawet do mnie nie przychodź w wiadomej sprawie.

Nie zdarzyło się, aby ktokolwiek temu się sprzeciwił. Zwykle delikwent zaklinał szpetnie na takie dictum, ale grzecznie z pomieszczenia wychodził.

W końcu po dziesięciu dniach wyjrzało słońce, a meteorologowie zapowiedzieli dłuższy okres pogody. Wyszliśmy na loty, a ja musiałem powtórzyć wszystko od początku, czyli dwa kręgi z „Trampkiem”, dwa z „Dziadkiem” Palakiem (nie wiem skąd taki przydomek, skoro zdaje się nie przekroczył wtedy jeszcze trzydziestki). Końcowym egzaminatorem miał być ppłk K., którego ochrzcziliśmy, z racji jego dość potężnej tuszy, „Pontonem”. „Ponton” był prowadzącym zespołu akrobacyjnego „Rombik” i cieszył się zasłużoną sławą doskonałego pilota akrobaty. Trochę się tego obawiałem, bo przerwa w lataniu była długa, ale jak się w końcu okazało, loty sprawdzające i egzamin poszły mi dobrze i co prawda pan pułkownik trochę gderał, ale w końcu orzekł, że mogę lecieć samodzielnie i jest spora szansa, jak powiedział, że w całości wrócę na ziemię.

Teraz trzeba było jeszcze zdać egzamin z znajomości „Lim-2”, a niestety trafiłem na znaną piłę w pułku, inżyniera H. Znany był z tego, że bardzo lubił wykazywać, że każdy „podchorąż” to nieuk. Za nieuka się nie uważałem, ale pan H. był innego zdania. Wysadzał mnie dwa razy z kabiny, abym pogrzebał w instrukcji i znalazł to, czego on chciał. Sęk w tym, że w instrukcji tych rzeczy nie było. Ganiałem więc jak pies z wywieszonym jęczorem po kolegach, czy może ktoś coś na ten temat słyszał. Czas uciekał, loty zbliżały się powoli do końca, a ja walczyłem. W końcu rzutem na taśmę udało mi się zadowolić pana H. i dwa samodzielne kręgi, które

wykonałem wydawały się dziecinną igraszką. Po lotach nastąpiła oczywiście tradycyjna ceremonia „laszowania” czyli lanie w wypiętą tylną część ciała i, niestety, oprócz instruktorów zrobiło to również paru kolegów, którzy już samodzielnie latali, a ci ręki nie oszczędzali. Taki to już ich przywilej. W Tomaszowie to ja lałem innych, bo byłem pierwszy. Ponieważ następnego dnia wypadła niedziela, więc uczciłem w gronie kolegów tę drobną uroczyść, oczywiście w „razumnych przedziałach”.

kpt. Marian Rybczyński

Anegdotycznie o powstaniu styczniowym

W numerze 3(61)2022 ukazał się artykuł pt. „Mogiłki – powstanie styczniowe 1863-1864 na ziemi siennickiej” autorstwa Edwarda Wierzchosia i Agnieszki Wierzchoś-Hilczar. Opisował pierwszą zwycięską bitwę oddziału Kajetana Cieszkowskiego – Ćwieka, która rozegrała się w okolicach Żdźannego i Wierzchowin na terenie dzisiejszej gminy Siennica Różana. Poległo wówczas kilkunastu powstańców.

W opracowaniu przytoczony został obszerny opis bitwy. Przy tej okazji warto byłoby również przypomnieć zaangażowanie i udział w przygotowaniach i samym powstaniu styczniowym dziedzica majątku Żdźanne. Adolf Smorzewski, bo o nim mowa, na kilka lat przed powstaniem założył małą prywatną szkołę. Zaplanował kształcić w niej sześcioro synów ubogich krewnych i sześcioro synów miejscowych chłopów. Pod koniec edukacji krewnym wynajął gospodarstwa, natomiast chłopom zapewnił dobre miejsca pracy. Gdy nadszedł rok 1863, na zawołanie Adolfa Smorzewskiego wszyscy byli uczniowie jednomyślnie przyłączyli się do powstania. Przed wymarszem każdy zasadził drzewo kasztanowca w żdźańskim dworskim parku. Stała się rzecz bardzo przejmująca i symboliczna, ponieważ jedenastu chłopców szczęśliwie powróciło do domów, a jeden pozostał na polu chwały. Po jakimś czasie jedno spośród dwunastu zasadzonych drzew uszło.

(adm)

Wg. książki „Wojenny pomost” Rafała Smorzewskiego, Wyd. DiG, Warszawa 2009.

Miroslaw Leszek Iwańczyk



 Krasnostawskie inspiracje

Od lat nosiłem się z zamiarem napisania książki poetyckiej o Krasnymstawie i jego okolicach. Dość długo to trwało, ale w końcu przełamałem się i zrealizowałem swe literackie plany artystyczne. Książka, którą prezentuję jest moim osobistym i specyficznym złożeniem poetyckiego hołdu pięknu miasta, wsi, otaczającej naturze oraz bohaterom ziemi krasnostawskiej. Poruszam w swym tomie różne aspekty, a mianowicie estetyczne, etyczne, kulturowe i historyczne, dotyczące naszego miasta i okolicznych wsi. Moim pragnieniem było stworzyć poetyckie spektrum miejsko-wiejskie, aby ukazać naszą małą ojczyznę klarownie i panoramicznie, wpisując ją w różnorodne konteksty. Ale przejdźmy do meritum książki, czyli do konkretów natury artystyczno-literackiej. Otóż w wierszach opisowych, o charakterze impresjonistycznym, takich jak: „Krasnostawskie błonia”, „Impresja nad błoniami” czy „Bobrowieckie lasy”, starałem się uchwycić istotę piękna malowniczych pejzaży.

Całkiem odmienny charakter ma pejzaż miejski, dlatego postanowiłem naszemu miastu nadać wymiar transcendentalny, czyli spowić go w aurę tajemniczej poetyki. Można to zaobserwować w wierszach: „Krasnystaw nocą”, „Na rynku”, „Miasto jagiellońskie”. Piękno zawsze mnie fascynowało, dlatego starałem się je ukazać w różnych jego przejawach. Tak więc w wierszach: „Letni spektakl”, „Ziemia krasnostawska”, „Impresja nad błoniami”, piszę o subtelnych pięknie dostrzegalnym zmysłami, o symbiozie kształtów i feerycznych barw, rytmicznych światłocieniach natury. Zaś w utworach: „Sejmik”, „Kamieniczki”, „Dworek starościński”, piszę o wysublimowanej estetyce dzieł ludzkich rąk, ich symetrii, rytmie, proporcji i równowadze, o niuansach architektonicznych detali. Nie zapominam również pisać o pięknie duchowym, o bogactwie przeżyć wewnętrznych, które rzeźbią w człowieku dobro i pokorę, czyniąc go lepszym i wrażliwszym, bo przecież piękno zawsze idzie w parze z dobrem, przenikając się nawzajem, co można zaobserwować w utworach: „Ogród mistyczny”, „Ogród wiary”, „Orędowniczka prostoty

słów”. Podczas spacerów zaciekały mi enklawy ciszy urokliwych zakątków, które w wierszach: „Zaułek Nadrzeczny”, „Tajemnicze jezioro”, „Magiczne skarpy”, ustroiłem w poetyckie szaty, aby wyeksponować ich malownicze walory. Z kolei zainspirowany pięknem starych drzew, postanowiłem je w sposób artystyczny uwznioślić, wprowadzić w krąg tajemniczej mistyki. Uważny czytelnik powinien ten aspekt dostrzec w utworach: „Osobliwe drzewo”, „Lipa stara”, „Aleja topolowa”, „Świerki na Piłsudskiego”, „Wysokie dęby”, „Samotna wierzba”, „Kasztany na rynku”.

Niezwykle ważne są dla mnie następujące utwory: „Bohater Polski”, „Przywódca ludu”, „Patriota”, „Heroiczny kapłan”, „Uzdrowiciel ubogich”, „Trybun ludowy”, „Wiejski bard”, „Orędowniczka prostoty słów”. Są to wiersze dotyczące sfery moralno-etycznej i kulturowej, gdzie prezentują wzorce osobowe ludzi prawych, ideowych, ofiarnych altruistów, poświęcających swe życie dla dobra społeczności krasnostawskiej. Należy tu wymienić: Stanisława Sokołowskiego, Franciszka Żurka, Jana Grabka, bł. ks. Zygmunta Pisarskiego i Leonida Gawryłowa. Przedstawiłem też ludzi kultury, a konkretniej literatury, związanych z naszym miastem, propagujących w swej twórczości ponadczasowe wartości dobra, piękna, prawdy, humanizmu i humanitaryzmu. Są nimi: Stanisław Bojarczuk, Józef Kłowski, Anna Kamińska. Kreśląc w swych poezjach ich sylwetki, próbowałem zinterpretować charakterystyczne cechy ich twórczości. Natomiast w wierszach: „Powstańcy styczniowi” i „Bataliony Chłopskie”, przypominam i przybliżam znanych, ale też i zapomnianych bohaterów chłopskich ziemi krasnostawskiej, walczących w powstaniu styczniowym i w II wojnie światowej. Chciałem wykazać ich heroizm, determinację i sprawność bojową w ferworze bezpośrednich akcji zbrojnych z rosyjskim zaborcą i germańskim najeźdźcą. Poza tym starałem się w swej książce dać świadectwo chłopskiego poświęcenia dla naszej społeczności. Próbuję też przywołać prawdziwy obraz wielkości armii chłopskiej. Z kolei w wierszu „Chmielaki”, próbowałem oddać panującą w mieście zabawową atmosferę w trakcie chmielakowego święta, a więc ukazać jego ludyczny charakter, pełen tańca, śpiewu, muzyki i smakowitych regionalnych dań.

W utworach poetyckich: „Muzyczny spektakl”, „Niezwykły koncert”, „Wernisaż w bibliotece”,

„Mesjasz Haendla w Krasnymstawie”, „Chmielakowy jazz”, „W galerii bibliotecznej”, „Koncerty Gloria Vitae” wyeksponowałem artyzm wydarzeń kulturalnych, które odbyły się w mieście. Ważną rolę w życiu naszego miasta odgrywa twórczość ludowa, której piękno zaakcentowałem w wierszach: „Artyzm ludowy”, „Przy dworku starościńskim”, „Chmielakowe rzeźby”. Sztukę, zarówno profesjonalną, jak i ludową, a więc dzieła plastyczne oraz utwory muzyczne z koncertów, starałem się przełożyć na język poezji, niejako wkomponować barwy, kształty, muzyczne frazy w wersy, opisać subiektywne odczucia, opowiedzieć literackim słowem o przeżyciach, refleksjach, wynikłych z obcowania z artystycznym pięknem.

Poruszyłem również aspekt trudu ciężkiej pracy chłopów na roli, podkreślając jednocześnie ich pracowitość i determinację w przywiązaniu do ziemi, co można zauważyć w wierszach: „Chłopi”, „Bądź pochwalona”, „Chleb”, „Święte pola”. Moim zamiarem było zaprezentować miasto skąpane barwnym folklorem, propagujące sztukę ludową, nawiązujące do dawnych tradycji obrzędowych, a jednocześnie otwarte na współczesność, w postaci licznych koncertów rockowych i jazzowych, odbywających się na rynku i innych zakątkach.

Dopełnieniem książki są drogie memu sercu osobiste wiersze, ukazujące obrazy mego dzieciństwa, które przebiegało głównie w Krasnymstawie i jego okolicach. Wracam w nich pamięcią do minionych, niepowtarzalnych chwil, do światłocieni świtów i zmierzchów, do tętniącej muzyką życia natury i tkliwych uczuć macierzyńskiej miłości. Przywołuję naiwność, prostotę i niewinność dziecka oraz wiarę w szlachetny i piękny świat baśni.

Te liryki wyrażają tęsknotę za utraconą arkađią dzieciństwa, gdzie dobro, piękno i prawda śpiewają Magnificat w muzycznym diapazonie. Kończąc swój wywód, chcę powiedzieć, że mam nadzieję, iż niniejsza książka stanie się swoistym kompendium poetyckim naszego miasta i przyczyni się do propagowania piękna, chlubnej historii i barwnej kultury ziemi krasnostawskiej oraz do promowania sylwetek wybitnych krasnostawian, którzy swoją bohaterską i prawą postawą zapisali się złotymi zgłoskami w historii naszego miasta i powiatu.

Mirosław Leszek Iwańczyk

Mirosław Leszek Iwańczyk



Ziemia Krasnostawska

Ziemia Krasnostawska,
moja mała ojczyzna.
Matko ludu,
który bronił cię
przez wieki.
Zawsze stał na straży
twojego dziedzictwa
i pragnął twej opieki.
Byłaś natchnieniem
dla chłopskich herosów,
co krew przelewali
w imię wolności
przyszłych pokoleń.
Walczyli, bo pokochali
twe cudne pejzaże
nad Wieprzem
rozciągnięte,
gdzie spektakularne
poranki,
snują barwami,
wiejskie siola,
gdzie dookoła,
majestatyczne lasy
Białki, Niemienic, Gorzkowa,
piętrzą się dumnie
nad zielonymi dolinami,
kwiecistymi sadami,
i w swych koronach,
szumią swój
dziewiczy chorał.
Gdzie wieczór
kładzie się zmierzchem
w rzek zakolach,
i tka mistyczny psalm,
o świętych łąkach, polach,
o przemijaniu
każdego słowa.
Ziemia Krasnostawska,
bądź pozdrowiona.

Przywódcą ludu*(Franciszek Żurek)*

Franciszku,
 Tyś swymi czynami
 rozświetlał mroki wiosiek.
 Za Twoim przykładem
 chłopci, poszli
 za wolności głosem.
 Do boju z Tobą ruszyli,
 na bolszewików tyły.
 Cudów męstwa dokonywałeś,
 bagnietem Rosjan przebijałeś.
 Na Ziemi Krasnostawskiej,
 ducha narodu zbudziłeś.
 Miłość do ojczyzny,
 wśród chłopów wzniciłeś.
 Walczyłeś tam, gdzie
 Polska była w potrzebie,
 nawet w powstańczym,
 śląskim powiewie.
 Napisałeś dzieło dla potomności,
 jak krasnostawianie,
 szli do wolności.
 Na nieludzką ziemię
 Cię zesłano,
 za polskość okrutnie
 nad Tobą się znęcano.
 Zmarłeś w dalekim Uzbekistanie,
 pamięć o Tobie w Krasnymstawie,
 na zawsze pozostanie.

Bohater Polski*(Stanisław Sokołowski)*

Stanisławie Sokołowski,
 Tyś bohaterem Polski.
 Żołnierzu doskonały,
 kawalerze
 Virtuti Militari,
 godny chwały,
 coś sforsował
 więzienne bramy.
 Krasnostawskie więzienie
 bez wystrzału zdobyłeś,
 z rąk Niemców
 towarzyszy broni odbiłeś.
 Byleś, jak heros
 nieustraszony,
 każdy Twój czyn bojowy,
 był brawurowy.

Wtargnąłeś do szpitala
 pod nosem Niemców,
 uwolniłeś rannych jeńców.
 Broniłeś ludzi przed bandami,
 i germańskimi hordami.
 Czerwoni mordercy Cię osaczyli,
 w nierównej walce
 życia pozbawili.
 Twój pseudonim to „Rolnik”,
 walczyłeś o Polskę,
 jak spartański wojownik.
 Dowódco Batalionów Chłopskich,
 byłeś i jesteś
 dumą Polski.
 Szedłeś ku ludziom,
 z ziarnem pomocy,
 człowieczeństwu
 nadając mocy.

Wiejski bard*(Stanisław Bojarczuk)*

Stanisławie,
 rodem z Rońska,
 chłopski bardzie,
 z wiejskiej chaty.
 Piewco stron
 rodzinnych,
 coś opisał
 baśniowy
 przedwieczarz.
 Jak Petrarca,
 tkaleś wersy,
 formowałeś
 z nich sonety.
 Chciałeś pojąć
 mądrość wieszczów,
 z Młodej Polski
 pieśń czerpałeś,
 wzorem Twoim
 był Tetmajer.
 Ty w impresjach,
 wiejskie dziewczki
 stroiłeś,
 w antyczne tuniki.
 Wieśniaczy esteto,
 to co gminne
 i skromne, wyniosłeś
 na miarę klejnotów.
 Swój kunszt objawiłeś
 w misternych wierszach.

Malowałeś słowem
pejzaż ukochany,
swą Arkadię,
pełną barw.
Twe sonety,
brzmiały szczerością
zwykłych,
ludzkich prawd.

Muzyczny refektarz

Barokowy plafon,
niczym mistyczny pejzaż,
rozpięty na sklepieniu
refektarza, spowity
w dźwięki sonaty,
malunkiem pilastrów,
kartuszków, gzymsów,
tętni frazą koncertu.
Refektarz dźwięczy
w różnych tonacjach,
wionoczeła brzmia
melancholią,
altówka rozbrzmiewa
nad widownią menuetem.
Melodia kreśli
w przestrzeni
arkadowe łuki, łączy się
w kolumny akordów.
I słyszę adagio skrzypiec
subtelne, cudowną wibrację
szpinetu i śpiew fletu,
w andante zakłętą.

Kapela klezmerska w rzeźbach

(Wernisaż rzeźb na rynku w Krasnymstawie)

Kapela klezmerska
stoi na rynku,
zastygła w rzeźby.
W posągach grajków,
tętni muzyka,
zakłętą w drewnie.
Patrzysz i słyszysz,
jak rytm szalony
z basetli się wydobywa,
jak cię porywa chasydzki
taniec.
Jak skrzypek drewniany,
piłuje siarczyście

smyczkiem, od ucha
do ucha, po strunach,
jak akordeonista
żarliwie wibruje akordami.
Freilehs! Freilehs!
Krzyczą do tańca
drewniane posągi.
Ty się obracasz
w tanecznym kole,
dłonie unosisz w górę
Nagle rytm ustał,
i słyszysz spokojne frazy
dostojnej hory,
jak sączą się
z klarnetu perliście.
Tuż obok ciebie
orszak weselny,
kroczy ulicą.
Drewniany muzyk,
dotknięty Bożą ręką,
rozwinął muzyczny motyw.
Wydobył dźwięki, jakby
znikąd, dźwięki mistyczne,
spowite ciszą.

Pieśniarz niepokorny

*(Krzysztof Cugowski w kościele
św. Franciszka Ksawerego)*

Wyłonił się, jak
z mgły kadzidlanej,
niczym Mesjasz,
z Pieśnią niepokorną
na ustach.
Zabrział jego głos,
niby grzmot, co
rozrywa ciszę.
Jakby unosił go
w sakralną przestrzeń,
tam, gdzie góry wysokie,
rzeźbią w obłokach
modlitwy.
I zaśpiewał, jak
mistrz w ekstazie,
jakby Boską nutę
schwytał.
Dźwięki nieliczne,
jak święte freski,
splecione w rockowe
frazy, spływają
po nawie świątyni.

Słuchasz, i widzisz
 głębokie jary, ciemne
 wąwozy, zielone doliny,
 mknące tabuny rącznych
 koni, legiony cieni,
 co idą w marszu
 nieustannym, od wieków.
 Nad nimi hymn się wznosi,
 niczym rozpostarty proporzec,
 co niesie pamięć epok,
 jak sztandar pokoleń.

Wołyńskie miasteczko

(Wernisaż fotograficzny w Krasnostawskim Domu Kultury)

Na wernisażu śpiewają fotografie,
 pięknem swych pejzaży.
 Patrzysz i czujesz, jakbyś wchodził
 w ich magiczną przestrzeń,
 olśniony feerią barw,
 emanującą grą światłocienia
 wschodów i zachodów słońca.
 I nagle przed tobą skadowana
 sceneria wołyńskiego miasteczka,
 postać staruszka, co sprzedaje
 cukrową watę, z twarzą pooraną
 zmarszczkami, na tle zrujnowanych
 kamieniczek, kobieta w chustce na głowie,
 z kogucikiem drewnianym, obok saturator
 z wodą sodową, tłumy polskich chłopów,
 na targowisku, z furmankami pełnymi
 zboża. Żydzi w jarmułkach z długimi
 brodami, pejsami, Rusini z osetłedcami,
 na głowach wygolonych, etniczna mozaika
 twarzy, steranych życiem. Fotografie prowadzą
 cię po mrocznych zaułkach, nieistniejących
 już uliczkach, pokrytych patyną lat.
 Opowiadają nieznanne epizody z życia
 mieszkańców, utrwalają o nich pamięć,
 zachowują dla pokoleń dawny świat.
 Każdą porę roku, każdą porę dnia, obiektyw
 uwiecznił i uwznioślił blahe, rodzajowe
 scenki, uchwycił słowiański profil ślicznej
 dziewczyny, huculski deseń jej sukni,
 niepozorny detal opaski, na bujnych włosach.
 Oglądasz ten świat, zatrzymany w kadrze czasu,
 pełen wielokulturowego piękna, buzujący
 życiem, tętniący niegdyś gwarem.
 Jak urzeczony, wpatrujesz się w fotograficzny
 spektakl, minionych zdarzeń, minionych lat,
 i słyszysz rżenie koni, nawoływania

na bazarach przekupniów, zachwalających swój
 towar, okrzyki, targującej się ciżby, ekstatyczny,
 płacziwy śpiew kantora, dobiegający
 z pobliskiej synagogi.
 I czujesz, jakby czas przeniósł cię w inny
 wymiar, w świat umarłych miasteczek.
 Jakby cię wchłonał, retrospektywny,
 wołyński pejzaż.

Grafik ojczyny

(Antoni Oleszczyński)

Chorował na Polskę,
 w obcym Paryżu,
 ojczyzna mu była
 natchnieniem,
 gniazdem rodzinnym
 Krasnostaw.
 Niczym Matejko,
 sławił Polskę
 w swych dziełach.
 Dzieje narodu,
 utrwalał
 rylcem.
 Jakby dotknięty
 ręką Bożą,
 perły graficzne
 tworzył.
 Uwznioślał dłońmi
 polską kulturę,
 sztuką swych grafik,
 ożywiał historyczne sceny,
 nadawał im sens moralny,
 nadawał im walor piękna.
 Niczym klejnoty,
 w patriotyzm je oprawił,
 czyny chwalebne,
 wpisywał w pamięć,
 kreślał je na rycinach.
 Artyzmem swych grafik,
 uduchowiał sylwetki
 wielkich Polaków.
 Patrzysz i widzisz,
 jak z rycin, jakby
 wychodzą mistyczne cienie;
 Piastów, Jagiellonów,
 Zamojskich.
 I nagle słyszysz,
 jak cicho szepczą:
 W nas, zrodziła się Polska.

Aneta Śliwińska

„Poeci nie zjawiają się przypadkiem”

I tak jak w piosence śpiewanej przez Edytę Geppert, ukazany został poeta w jego szczególnej roli samotnego sternika ludzkich dusz na tej ziemi, tak i my zadajemy sobie pytanie o rolę piękna i sztuki we współczesnym świecie; o rolę poetów, zwłaszcza tych żyjących blisko nas, którzy często samotnie, gdzieś w zaciszu, wydobywają prawdziwe perełki słowa. Biorąc do ręki książkę „Moja mała ojczyzna – Ziemia Krasnostawska – historia, kultura, pejzaż”, znanego już krasnostawianom poety Mirosława Iwańczyka odkrywamy wiele odcieni prawd i odcieni piękna, które w chaosie zagonionej rzeczywistości współczesnego świata, umykają naszej uwadze. Opisywanie zjawisk życia codziennego językiem poezji jest zadaniem niezwykle trudnym i wymagającym poświęcenia.

Osobliwe ujęcie tematu zdarza się niezmiernie rzadko, tym większa przeto zasługa poety, który potrafi w wyszukany sposób na nowo odkryć i odczytać wartość i piękno, a także historię naszego wspaniałego miasta i okolic. Jednak należy powiedzieć więcej – w tym oto zbiorze utworów poetyckich autor zaskakuje nas wyjątkową kompilacją wierszy poświęconych nie tylko pięknu miasta, jego architekturze, sztuce czy pejzażom, lecz także wybitnym postaciom ze świata kultury, które gościły na naszej krasnostawskiej ziemi. Czyni to z potrzeby podkreślenia, że należy być dumnym ze swej małej ojczyzny, składając zaś w całość szeroko zakrojoną tematykę swoich wierszy, tworzy własną, niepowtarzalną przestrzeń artystyczną. Dodajmy, że utrwalenie w słowie poetyckim, tego co zostało przedtem wyrażone w innym języku sztuki, jest niecodziennym wyzwaniem i staje się przez to bardzo cennym wkładem w literacką tradycję regionu.

Tak jak poprzednie publikacje, również obecny zbiór poezji Mirosława Iwańczyka wpisuje się w nurt poezji intelektualnej, głęboko kulturowej. Poeta odbiera świat poprzez wszechstronny i zaangażowany w wiedzę umysł.

Pokazany punkt widzenia osoby mówiącej ma charakter uogólnienia, dążenia ku wartościom uniwersalnym, jak dobro i piękno. Zainteresowanie autora otaczającym światem polega na delektowaniu się zarówno pejzażem, jak i architekturą, to pochylenie się nad wybranym dziełem sztuki, muzyczną frazą, by wydobyć na światło dzienne najdrobniejszy przejaw ich unikalnego języka.

Głównym środkiem poetyckiego wyrazu są tu opisy i porównania, jak w wierszu „Pejzaże nieba”:

*Emanują cząsteczki, punkciki,
rozlewają się w barwne desenie,
pulsują, niczym żywe tkanki,
lśnią, migoczą, jak mozaiki...*

Znajdujemy też apostrofy, przykładem może być wiersz „Aleja topolowa” czy „Białecki rumak”:

*Koniu kary,
koniu rączy, hardy,
angloarabie
z białeckiej stadniny.
Pęciny stalowe
w galopie naprężasz,
jak mityczny pegaz
ponad przeszkodami
fruniesz...*

Nie brakuje również unikalnych metafor, jak w utworze „Diament pejzażu”:

*Unieść źrenice
w kielichach dłoni,
napoić spragnione kobierce.
Nasyć turkusowym
plafonem chmur...*

Ponadto autor stosuje liczne odwołania do postaci i wydarzeń ze świata kultury. Potrafi także odnaleźć właściwe proporcje, by teksty były harmonijnie zbudowane i precyzyjne.

Podróż poprzez jego najnowszą książkę rozpoczynamy od wierszy o tematyce historycznej – o powstawaniu, bohaterskiej obronie, a także budowaniu fundamentów bytowo-kulturowych miasta Krasnostaw i jego okolic. Należy w tym miejscu

przywołać utwory, takie jak „Ziemia Krasnostawska”, „Patriotyczna manifestacja” czy „Niepodległość”:

*Niepodległość, niepodległość,
głos się niósł wśród pól,
wśród łąk i drzew
i rozbrzmiewał po horyzont,
pośród krasnostawskich wsi...*

Autor nie zapomina również o niezwyklej bohaterach dnia codziennego, którzy położyli swoje zasługi w celu upowszechniania kultury naszego regionu, tym samym przyczyniając się do wzbogacenia jego tradycji swoim talentem i osobowością. Trzeba tu wymienić wiersze, takie jak: „Wiejski bard”, „Orędowniczka prostoty słów”, „Uzdrowiciel ubogich”.

Krasnostaw to również miasto pełne swobodnego oroku i pięknej architektury, dlatego poeta zaprasza nas na powolny spacer jego uliczkami. Mamy tu wspaniałe wiersze: „Starówka o zmierzchu”, „Świątynia”, „Krasnostaw nocą”:

*Gdy idę
przez Krasnostaw
nocą,
latarnie na rynku
wokół się złocą.
Samotny poeta
siedzi na ławce
i obserwuje
ciemnych chmur
łatawce...*

W innym miejscu otrzymujemy szansę zanurzenia się w osobliwe piękno miejskiego pejzażu: „Zaulek Nadrzeczny”, „Magiczne skarpy”, „Na błoniach”:

*Krasnostawskie błonia,
to przepiękne ustronia.
Klejnoty błękitu i zieleni,
każdy skrawek ziemi,
niczym szmaragd
w brzasku świtu
się mieni...*

Bywa, że autor pogrąży się w niezwykle refleksyjne, zabierając nas do świata ulotnych wrażeń i snów. Zatapiamy się więc w urokliwym klimacie wierszy: „Kontemplacja ziemi”, „Między snem a jawą”, „Diament pejzażu”. Ten ostatni kreśli subtelny wizję pragnień poety:

*Wtopić się w diament
pejzażu,
wtulić się w barwną
impresję.
Zaufać szeptom strumieni,
ramionom skrzydlatej ciszy...*

Uwagom autora nie uykają nawet stare, wierne miastu drzewa, które otrzymują swoje miejsce w wierszach: „Kasztany na rynku”, „Osobliwe drzewo”, „Lipa stara”.

Tym, co szczególnie porusza i pozostaje w pamięci na zawsze są wspomnienia z dzieciństwa. I tu również poeta obdarowuje nas doskonale wpisującymi się w tę tematykę wierszami, którymi są: „Wspomnienie dzieciństwa”, „Arkadia dzieciństwa”, „Legenda dziecięca”. Szczególne znaczenie mają utwory poświęcone pamięci ukochanej matki: „Pożegnanie”, „Mamie”, „Matko”:

*Matko moja ukochana,
Tyś mi życie dała,
otworzyłaś światy nieznanne,
pięknym słowem malowane.
Poprowadziłaś na wyspy szczęśliwe,
ogrodami poezji nad podziw urodziwe...*

Gdy czytamy te słowa, przewijają się przed oczami jak obrazy wspomnienia wyświetlane na ekranie życia. Jest w nich coś czystego w intencji, w szczerości przetykanej poprzez wersy jak dźwięki, które nie potrafią milczeć.

Na koniec pozostaje nam prawdziwa gratka. Mirosław Iwańczyk zaskakuje bowiem odbiorców w sposób szczególny, a czyni to mianowicie poprzez upamiętnienie w poetyckim słowie ważnych wydarzeń kulturalnych odbywających się w naszym mieście. Tak więc otrzymujemy zaproszenie na wernisaż fotograficzny w wierszu „Wołyńskie miasteczko”. Przemierzamy w nim barwne

i tętniące życiem sceny z lat minionych – zakamarki pamięci, świata, którego już nie ma:

*Na wernisażu śpiewają fotografie,
pięknem swych pejzaży.
Patrzysz i czujesz, jakbyś wchodził
w ich magiczną przestrzeń...*

Pośród licznych koncertów, jakie odbyły się w naszym mieście, w pamięci poety pozostają te najbardziej poruszające, w których stajemy twarzą w twarz z tajemnicą ludzkiego losu, w niezwykły sposób wyśpiewaną przez wybitne postaci polskiej sceny muzycznej. Dla przykładu przytoczmy fragment wiersza: „Mistrz literackiej pieśni” (Michał Bajor):

*I zjawiał się,
jak Anioł ciszy,
co przybył
z samotnej wyspy,
by piękno, swą
duszą opiewać
I zaśpiewał
o namiętej miłości,
o tajemnicy jutra,
które ukochał,
w którym się zatracił,
i pieśnią nadał mu
duchowy wymiar...*

W świetle przedstawionej analizy lepiej rozumiemy przesłanie zawarte w pieśni o cichej, lecz niezastąpionej roli poety w świecie pełnym chaosu i zwykłych zdarzeń. Przyznajemy również, że autor niniejszego zbioru utworów poetyckich, dokonał szczególnie trudnej i mozolnej pracy nad sztuką słowa. Rezultat tego przedsięwzięcia okazał się zaiste wspaniały. Zebrane tutaj wiersze stanowią bogate źródło nie tylko poetyckie, lecz także historyczne i kulturowe.

Stwierdzić zatem wypada, że w postaci tej oto książki przybyła nam wyjątkowo cenna i pełna niepowtarzalnych walorów pozycja literacka.

Oto jest na ziemi coś, co stanowi przedsmak niebiańskiej symfonii – piękno ukryte w majestacie słowa.

Aneta Śliwińska

Irena Kulik

Uroczystości upamiętniające
80. rocznicę męczeńskiej śmierci
bł. ks. Zygmunta Pisarskiego



30 stycznia Stowarzyszenie „Ku Dobru”, na czele z ks. dziekanem Romanem Skowronem oraz Bożeną Pachlą, organizowało pielgrzymkę z parafii pw. Trójcy Przenajświętszej z Krasnegostawu do Gdeszyna, by uczcić pamięć oraz modlić się za błogosławionego krasnostawianina ks. Zygmunta Pisarskiego, który przed osiemdziesięciu laty poniósł męczeńską śmierć w tej parafii.



Na wzgórzu, wśród drzew powitało pielgrzymów sanktuarium bł. ks. Zygmunta Pisarskiego, a wewnątrz, obok ołtarza – kwintet z proboszczem ks. Mariuszem Stanisławem Rybińskim, który przepięknie wykonał kolędy. Świątynia wypełniła się gośćmi, również z Ukrainy, parafianami, pielgrzymami, członkami Grupy Rekonstrukcyjnej Regiment Nieczaja z Krasnegostawu, jak również przedstawicielami władz, nauczycielami i uczniami lokalnej szkoły, która nosi imię Błogosławionego oraz osobami duchownymi z biskupem diecezji zamojsko-lubaczowskiej ks. Mariuszem Leszczyńskim, który wraz z proboszczem serdecznie powitał zgromadzonych. Przed mszą św. uczniowie hymnem, wierszem i piosenką przybliżyli życiorys Patrona. Mszy św. przewodniczył ks. biskup Mariusz Leszczyński, który wygłosił kazanie, nawiązując do faktów historycznych z okresu II wojny światowej oraz podsumował, że bł. ks. Pisarski



jest orędownikiem miłości, pojednania i pokoju. W czasie nabożeństwa zostały złożone kwiaty przed ołtarzem, gdzie spoczywają relikwie Błogosławionego.

Po mszy św. głos zabrał przybyły wraz z pielgrzymami z Krasnegostawu dr Leszek Janeczek, który w szczegółach przytoczył fakty z życia i męczeńskiej śmierci Błogosławionego.

Kolejno wszyscy udali się śladami ostatniej drogi ks. Zygmunta Pisarskiego w kierunku lasu, wzdłuż której obecnie są ustawione stacje różańcowe. Na miejscu męczeńskiej śmierci zostały złożone wiązanki i zapalono znicze, odmówiono modlitwę oraz Grupa Rekonstrukcyjna Regiment Nieczaja oddała salwę honorową. W drodze powrotnej pielgrzymi odwiedzili cmentarz parafialny oraz miejsce pierwotnego spoczynku Błogosławionego, gdzie również dr Janeczek przybliżył fakty w oparciu o osoby, które przyczyniły się, by o męczeńskiej śmierci Błogosławionego pamiętać. Został odnaleziony grób następnego proboszcza ks. Bazylego Stysło oraz potomka organisty Libensztejna. Również przywołano słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego, który w swoim czasie przewodniczył obrzędowi pogrzebowemu ks. Zygmunta Pisarskiego i w egzorcie miał powiedzieć, iż „taką śmiercią życzyłby sobie umrzeć”.

dr Irena Kulik

Fot. autorka.

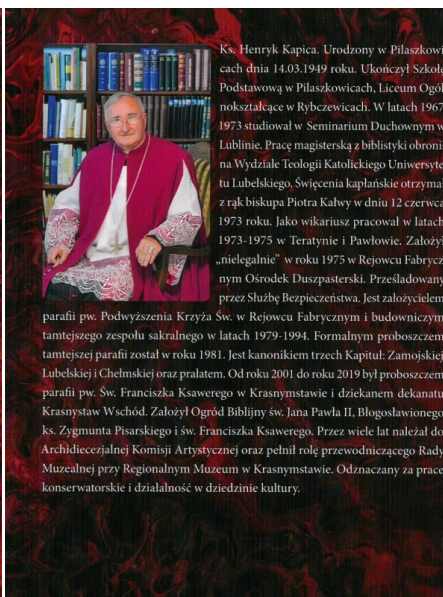
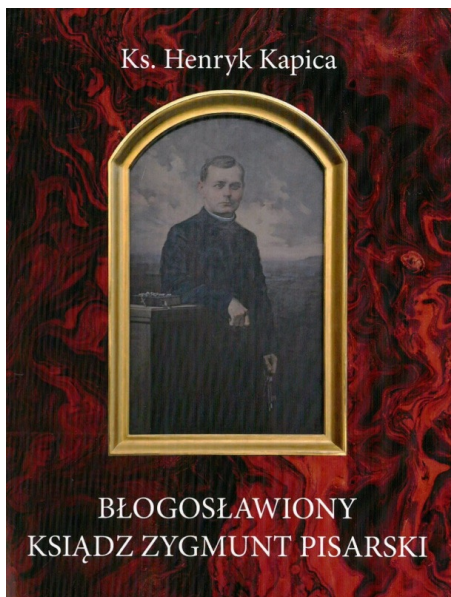
Elżbieta Patyk

Książka o patronie miasta Krasnystaw „Błogosławiony ksiądz Zygmunt Pisarski”



16 stycznia 2023 r. ksiądz prałat Henryk Kapica zaprezentował w Bibliotece Powiatowej książkę o błogosławionym księdzu Zygmuncie Pisarskim, który od dwóch lat jest patronem miasta Krasnystaw. Na początku autor podziękował wszystkim zebranych za przybycie, szczególne słowa skierował do profesora Eugeniusza Wilkowskiego, który napisał wstęp, wspierał go w pracy nad książką. Profesor opracował również obszernie i pogłębione wstępy do dwóch poprzednich publikacji ks. Henryka, pomógł w ich wydaniu, a także publikował eseje o wcześniejszych książkach. Słowa podziękowania za korektę skierował do Bożeny Czupryńskiej. Stwierdził, że ona także daje świadectwo potrzeby pisania takich książek.

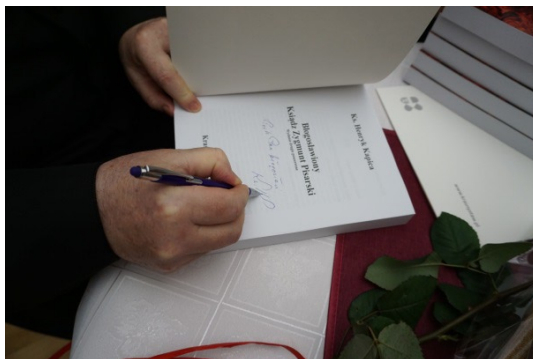
W postłowie ks. Henryk Kapica napisał: *Wiedziony szacunkiem i miłością do naszego wielkiego krajana, który urodził się w naszej parafii i w naszym pięknym mieście, księdza Zygmunta Pisarskiego, zbliżając się ku wieczorowi swojego życia, postanowiłem podziękować Bogu przez Jego pośrednictwo za kapłaństwo i wszelkie łaski, których doznałem w swoim życiu, szczególnie kapłańskim.* Książka rozpoczyna się od przybliżenia ciekawej genealogii rodziny błogosławionego księdza Pisarskiego, którego ród przybył do Krasnegostawu z diecezji tarnowskiej, co zostało odnotowane w naszych księgach parafialnych. Z kolei ród Banaszkiwiczów jest związany z Krasnymstawem od niepamiętnych czasów. W książce przeczytamy rozbudowany życiorys księdza Zygmunta Pisarskiego, w szerokim kontekście historycznym i geograficznym, wzbogacony nowymi faktami. Autor prześledził źródła archiwalne i dotarł do dokumentów gimnazjum w Krasnymstawie, w których znajduje się informacja o przyznanej później klasie stypendium. Natomiast w archiwum diecezji lubelskiej znajduje się notatka zawierająca informację, że błogosławiony uczył się rok w Liceum św. Piusa X we Włocławku. Autor opisuje drogę



kapłańską „bożego buntownika” oraz trudne parafie i miejsca, gdzie pracował: Modliborzyce, Sól, Zamch, Trzęsiny, Perespa i Gdeszyn, aż do jego męczeńskiej śmierci 30 stycznia 1943 r.

W książce znajduje się rozdział na temat etapów beatyfikacji oraz opis kultu błogosławionego w diecezji zamojsko-lubaczowskiej i w Krasnymstawie. Na spotkaniu autor stwierdził, że bardzo zależało mu na umieszczeniu w książce świadectw rodziny i różnych osób związanych z kultem błogosławionego. Jest też bardzo ważna dla autora książki „część modlitewna”, zawierająca modlitwy do błogosławionego ułożone przez ks. Henryka Kapicę: nabożeństwo ku czci błogosławionego, litania, droga krzyżowa, różaniec, teksty mszy św. Autor do napisanych przez siebie modlitw dołączył nabożeństwa odprawiane w sanktuarium w Gdeszynie. W osobnym rozdziale znajduje się poezja o błogosławionym oraz fotografie związane z ks. Zygmuntem Pisarskim i jego kultem. Profesor Eugeniusz Wilkowski, mówiąc na temat księdza Henryka Kapicy i księdza Zygmunta Pisarskiego, odniósł się do sfery wartości. Ważne są dobra materialne, one świadczą o postępie cywilizacyjnym, ale o istocie człowieczeństwa przesądza jego duch, otwartość na idee. Stwierdził, że wszystkie nasze działania wpisują się w całość, która przesądza o tym kim jesteśmy i za jakimi wartościami się opowiadamy. W krótkim wykładzie przedstawił

hierarchię wartości niemieckiego filozofa Maxa Schelera: religijne, duchowe (poznawcze, etyczne, estetyczne), witalne, hedonistyczne.



Starosta krasnostawski Andrzej Leńczuk podziękował księdzu Henrykowi za tak cenną książkę, za propagowanie kultu błogosławionego i życzył autorowi kolejnych ciekawych publikacji. Podziękowania w imieniu burmistrza Krasnegostawu przekazał dr Radosław Dąbrowski. Pozdrowienia i podziękowania za trud pracy włożonej w napisanie książki w imieniu rodziny błogosławionego z Kraśnika przekazała Bożena Pachla. Zainteresowani mogli otrzymać dedykację od autora.

*Elżbieta Patyk
Fot. BBP w Krasnymstawie.*

Jan Henryk Cichosz

Spowiedź ze snów



Bardzo długo odczytywałem wiersze Iwony Chudoby zamieszczone w jej najnowszym tomiku „Senna kolekcja”. Przy ich lekturze nieodłącznie towarzyszyła mi myśl, że uczestniczę w szczerej spowiedzi.

*Pustka wokół
ja mały punkt
nagi
rozebrany ze złudzeń
bezwstydnie
wystawiam na pokaz
bezimienną rzeczywistość*
(punkt s. 21)

*słowa w nagość ubrane
trzymam w gardle*
(*** s. 22)

W tym tomiku, chyba najlepszym z dotychczasowych, a wydała ich na przestrzeni piętnastu lat aż dwanaście, poetka Iwona Chudoba z wielką determinacją i odwagą opowiada o swojej rzeczywistości za pomocą metaforycznej kolekcji snów, a czyni to z lekką ironią, tak jakby chciała powiedzieć, że nie tylko ona jest osamotniona w pokonywaniu bolesnej rzeczywistości.

Osobliście w poezji cenię odwagę i szczerość, a tej poetce rodem z Krasnegostawu nie brakuje, albowiem Iwona Chudoba ma odwagę rozebrać się do przystawionej białej kości, i jak już wcześniej powiedziałem, za to ją bardzo cenię.



Iwona Chudoba, „Senna kolekcja”, Wyd. TAWA, Chełm 2022. ss. 38.

Jan Henryk Cichosz

Elżbieta Patyk

Najdawniejsze instrumenty astronomiczne



26 stycznia, po dłuższej przerwie spowodowanej pandemią, miłośnicy astronomii uczestniczyli w Bibliotece Powiatowej w spotkaniu z cyklu „Z Nestorem do gwiazd”. Prezes Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii Wiesław Krajewski i sekretarz redakcji czasopisma „Nestor” opowiedział o instrumentach używanych przez tysiąclecia do obserwacji astronomicznych. Zebrani mieli niepowtarzalną okazję zobaczyć na żywo repliki omawianych instrumentów i przekonać się w praktyce, jak ich używano.

Najstarszym i najprostszym instrumentem astronomicznym wykorzystywanym przez człowieka już wiele tysięcy lat temu jest gnomon. To dowolnych rozmiarów słup osadzony pionowo w ziemi. Zasada działania jest prosta – oświetlany przez Słońce gnomon rzuca cień, którego przesuwanie można rejestrować i przeprowadzać obserwacje astronomiczne np. wyznaczając pierwszy dzień wiosny. Mieszkańcy Borneo nadal używają gnomonu do wyznaczania pory dnia.

Laska Jakuba to przyrząd nawigacyjny w postaci prostej listwy z ruchomą poprzeczką, stosowany m.in. w żeglarstwie, służący do mierzenia wysokości ciał niebieskich nad horyzontem, a także kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na Ziemi. Obserwacje astronomiczne przez tysiąclecia dotyczyły wyznaczania współrzędnych obiektów na niebie czy odległości kątowej między obiektami.

Prelegent zaprezentował i pokazał działanie przyrządu nazywanego pierścieniem równikowym, który służył do określania dnia równonocy. Kolejny przyrząd, nokturnal to instrument służący do wyznaczania czasu w nocy. Na podstawie wyglądu nieba i znajomości daty można ustalić, która jest godzina. Zasadę jego budowy wykorzystano dziś w konstrukcji obrotowej mapy nieba, która pozwala na ustawienie i pokazanie, jak będzie wyglądać niebo w danym dniu.

Bardziej skomplikowanym przyrządem jest sfera armilarna zwana astrolabium sferycznym.



Jest to szereg kół, które mają odzwierciedlać cały wszechświat. Mikołaj Kopernik wykorzystywał astrolabium i na wielu pomnikach właśnie też przyrząd trzyma w ręku. Wersja astrolabium płaskiego wykorzystywana była też przez żeglarzy, a słynny zegar na budynku ratusza w Pradze jest wzorowany na astrolabium.

W Collegium Maius UJ prezentowany jest też przyrząd astronomiczny zwany torquetum. Pozwalała na obserwację położenia gwiazd, pomiary współrzędnych ciał niebieskich w trzech układach: horyzontalnym, równikowym i ekliptycznym oraz konwersję pomiędzy tymi układami bez wykonywania dodatkowych obliczeń.

Mikołaj Kopernik wykorzystywał też trójkąt paralaktyczny, którym dokonywał pomiarów odległości Księżyca od Ziemi. Już w starożytnej Grecji znany był kwadrant, przyrząd służący m.in. do oznaczania wysokości Słońca, położenia gwiazd i stosowany był kiedyś w nawigacji morskiej. Miał kształt ćwiartki okręgu z naniesioną podziałką kątową, po której przesuwiał się cień rzucany przez

Słońce, lub przeziernik, który kierowano na gwiazdę, rejestrując jej wysokość.

Z kolei sekstant to jakby kątomierz, który służył do mierzenia wysokości ciał niebieskich nad horyzontem, a także odległości kątowej między obiektami. Nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *sexta*, to znaczy szósta część, ponieważ podstawowa część przyrządu stanowi wycinek jednej szóstej koła.

W olsztyńskim zamku znajduje się niezwykła pamiątka po Mikołaju Koperniku. Jest to tablica astronomiczna wykonana przez astronoma na ścianie i służąca do przedstawienia pozornego ruchu Słońca w dniach bliskich równonocy połączona ze swoistą formą zegara słonecznego. Służyła ona do wyznaczenia długości roku, niezbędnego warunku reformy kalendarza.

Niestety, z powodu zachmurzenia nie mogła się odbyć zapowiadana obserwacja nieba przez teleskop, ale zebrani mogli zobaczyć aktualną południowo-wschodnią część nieba i obiekty do samodzielnego oglądania wieczorem: Księżyc, Wenus, Saturn, Jowisz, Mars, Orion, Syriusz. Prelegent zachęcał do obserwacji komety C/2022 E3 (ZTF), która w lutym 2023 osiągnie punkt najbliższy Ziemi, znajdując się od niej w odległości ok. 44 mln km.

*Elżbieta Patyk
Fot. BBP.*

XVI Konkurs Twórczości Miłosnej

Rozstrzygnięto XVI Konkurs Twórczości Miłosnej „Ja Cię kocham, a Ty pisz!” im. Mariusza Kargula organizowany przez Krasnostawski Dom Kultury. Jury, które w tym roku obradowało w składzie: Jan Henryk Cichosz (przewodniczący), Urszula Gierszon i Rafał Kasprzyk dokonało oceny 224 zestawów poezji w dwóch kategoriach wiekowych. W kat. I (osoby do lat 18) wpłynęło 37 zestawów zawierających 86 utworów, natomiast w kat. II (dorośli) 187 zestawów zawierających 494 wiersze. Łącznie komisja oceniła 580 utworów poetyckich, stosując następujące kryteria: treść, przesłanie; język, zasób słownika; styl, forma; walory wypowiedzi poetyckiej (środki wyrazu).

Komisja przyznała następujące nagrody:
Kat. I

I nagroda – **Karolina Majorowska** (Warszawa)

II nagroda – **Anna Wojno** (Kobyłka)

III nagroda – **Nadia Pacocha** (Szczecin)

Kat. II

I nagroda – **Luiza Wilczyńska** (Łódź)

II nagroda – **Anna Piliszewska** (Wieliczka)

III nagroda – **Michał Głaszczka** (Warszawa)

Wyróżnienie – **Bogdan Nowicki** (Świętochłowice)

Z protokołu jury:

Komisja stwierdza, że ogólnopolski Konkurs Twórczości Miłosnej „Ja Cię kocham, a ty pisz” im. Mariusza Kargula od 16 lat cieszy się niezwykłym powodzeniem, świadczy o tym liczba nadesłanych wierszy i zasięg terytorialny – miejsce zamieszkania uczestników, którzy nadesłali swoje utwory z całej Polski.

Obecny Konkurs nie wyłonił utworu znacząco wyróżniającego się talentem, a jednak nagrodzone teksty należą do wybitnych.

Zachęcając adeptów pióra do stawiania w literackie szranki, jednocześnie zwracamy się do przyszłych uczestników konkursu z apelem o zaznaczanie kategorii na wszystkich tekstach, o podpisywanie każdego z utworów czytelnym godłem.

Przestrzegamy przed kradzieżą własności intelektualnej, w niektórych tekstach były całe wersy zaczerpnięte z literatury lub znanych piosenek, które nieoznaczone cudzysłowem lub odwołaniem do źródła nie są zapożyczeniem, ale kradzieżą.

Apelujemy do najmłodszych o uczestniczenie w warsztatach poetyckich, jeśli takie organizowane są w Państwa miejscach zamieszkania.

Krasnystaw, 12 lutego 2023 roku

Kategoria – dorośli

I nagroda

Luiza Wilczyńska

pocałunek

Na opuszkach palców linie papilarne jak stoje drzew,
zaokrąglone istnieniem małe wgłębienia czasu, subtelne
łuki piękna muśnięte cieniem warg, dotknięte ciepłem
oddechu pulsujące tętnice duszy. Drzeć można nie tylko
z zimna, upał bliskości ścina jak mróz, wzruszenie porasta
nagość naskórka makiem ziarnistym, niepokojem
dialektycznych zmysłów, tajemnicą zamkniętą w kształt
marzenia. Za oknem kwitnie czułość, dwa płatki ust spadły
na dłoń otwartą, na nieufną fakturę unerwień.
Między niedopowiedzenie a niewyznanie, między słowo
a zmilczane uczucie, wkraśl się nieśmiały pocałunek.

krótka biografia chwili

Cień o skrzydłach pierzastych siadł na ramieniu nocy.
Cyklopie oko księżycza zagląda przez wizjer judaszy
w głąb żalu i w głąb samotności. Brak wybił jak wulkan
smolisty, jak nagle uderzenie ciszą. Złamana
obietnica pękła z trzaskiem, zgruchotane słowo upadło
na dno podłogi, stłuczonej miłości nie skleci nikt.

Pod skamieliną tkanek, ciemna aorta smutku, na łóżku
pusta poduszka bliźniacza, opróżnione szuflady i pamięć,
na ścianach rozwieszona pustka.

Zadałeś mi nieobecność, twardą i ciężką, kamienną,
powtarzalną niczym praca Syzyfa, płaski ugor tęsknoty
i przestrzeń rozciągniętą od nigdy do zawsze
– bolesny przypis do życia.

II nagroda

Anna Piliszewska

Z LISTÓW DO ORFEUSZA

LIST 1. DRZEWO

to ja, Marfa, Orfeo. jeszcze wciąż tutaj
jestem. odmieniona i siwa, lecz w uczuciach
niezmienna – choć zmieniło się wszystko:
czas, powietrze i ziemia. miejsca, te nasze
święte, dziś kąsają
widokiem lejów, rdzy i zgorzelin –

tam, gdzie pas zagajnika, wschodzą zmarzłą
łodygą ślady stóp, nagłych wyznań,
przyśpieszonych oddechów. na rozdrożu
waruje spalone, strzaskane drzewo – dom
gzów, wróbli i pszczoł, świadek stu

pocałunków, z których każdy był pierwszym; tam
cię szukać najłatwiej, choć kapryśna jest pamięć.
śnisz mi się coraz rzadziej – coraz ciszej powtarzasz,
że wciąż pilnie pamiętasz, jak biegliśmy tu wiosną,
żeby rwać cierpką zieleń. powalone konary,

pień, nadal nieoddzielony od wyprutych korzeni,
muszą nas wciąż wspominać, bo wieczna jest
pamięć drzewa. kiedy korę przemywa mu kolejna
ulewa, nie wierzę w nicość i śmierć. więc czekam
kolejnej wiosny – by się mogło odrodzić;

jeżeli wypuści liście, obróci się koło czasu. Bóg
zdmuchnie wojenną grozę i uzdrowi przestrzenie, nas
cudownie odmłodzi, ubierze w miłość...

LIST II. RUBIN

to była kolczasta linia
metalowego drutu, błyszczącego nad siatką,
strzegącą starego sadu – trudno było się wdrzeć,
żeby w kaskadach cieni skwapliwie zanurzyć zęby
w miąższu kwaskowych jabłek o rubinowej
skórce – poczuć cierpki smak soku.

było w nas sporo miejsca na szaleństwo
eskapad. i sporo niecierpliwości – młodzieńczego
dygotu podobnego do drzenia

rachitycznych gałęzi w sidłach nocnej
wichury. niespodziewana

fala nieprzejdanych zmian
wyplukała cię z sadu jak korbacze nawałnic – noc
ma kolor ognisty, myśl to mulisty potok, mak
w makówkach dojrzewa, zbliża się wielka
senność – czuję to, mój Orfeo. lecz wbrew temu
czasowi idę bosy ku tobie. ja Beatrix, ja Dafne,

ja z obrazu Cranacha – naga, biblijna Hawwa
z jabłuszkami z dzikiego sadu jak z okruciem
rubinu; z owocem

o barwie rdzy.

III nagroda

Michał Głazczka

Ballada na odpuszczenie

ocierasz się o moje myśli
miękkim milczeniem swego ciała
nie wiem jak będzie ale przyszłość
w moich intymnych wrze muralach

mimo pożaru w bladej głowie
wiem co założysz w przyszłym roku
nie chcesz mi wierzyć więc ci powiem
sukienkę w grochy i niepokój

choć nie ominą nas krętości
jak zdjęcie twój wywołam uśmiech
mam teraz tę pijaną pewność
że ciebie jednej nie odpuszczę

dzisiaj stawiamy pierwsze kroki
zaraz po zejściu z karuzeli
łaknąc straceńczo tego szoku
co wyjmie ręce nam z kieszeni

nie ma już czasu na momenty
żeby podjadać bujne chwile
włóż proszę płaszcz i weź do ręki
kamyk zielony oraz bilet

choć nie ominą nas krętości
jak zdjęcie twój wywołam uśmiech
mam teraz tę pijaną pewność
że ciebie jednej nie odpuszczę

a jeśli zaraz stracę rezon
lub mimowolnie zwolnię uścisk
to rozkwaś usta mi – na serio
I powiedz, że mnie nie odpuścisz

Ballada popołudniowa

w kruchej popołudnia pustce
skóra iskrzy się od potu
dwoje ludzi na polówce
sennie naśladuje spokój

cicho skrzypią ich sumienia
gdzieś w oddali szczeka koniec
choćby chcieli pojednania
mają zbyt spocone dłonie

ścinki słów fastryga znaczeń
sucho w ustach pełno w głowach
nawet jeśli błysną płaczem
to zużyli wszystkie słowa

przytulają się plecami
popołudnie ma już dosyć
a tych dwoje odkochanych
będzie milczeć na dwa głosy

nic wielkiego nie wybuchło
duży pan i mała pani
przeoczyli pewną kruchość
że zbyt blisko się mijali

ścinki słów fastryga znaczeń
sucho w ustach pełno w głowach
nawet jeśli błysną płaczem
to zużyli wszystkie słowa

nie tłumacząc się ze złudzeń
ból w piersiach mnóstwem pracy
zrobią to co robią ludzie
lecz to przecież nic nie znaczy

Kategoria – młodzież

I nagroda

Karolina Majorowska

Randka

Powiem krótko, proszę pana,
jestem dama niesłychana.
Moje wdzięki i powaby,
nie są jednak do zabawy.

Lubię ploty i płoteczki,
czasem fajne pioseneczki.
No i tańczyć lubię z rana
taka jestem, proszę pana.

Pyta pan co jeszcze lubię,
ach, to powiem już po ślubie.
Kiedy pewna będę swego,
a pan, nie będzie już kolegą.

Żeby randka się udała,
chyba będę bardziej śmiała.
No i powiem panu krótko,
że ja jestem już rozwódką.

Pan to przyjął tak normalnie,
to w porządku, niech ja zgadnę.
Pan też chyba po rozwodzie,
przecież to jest teraz w modzie.

Tak, swój swego zawsze czuje,
więc dlatego nie żałuję.
Że spotkałam właśnie pana,
bo już jestem zakochana.

Zaręczyny pana Świerszcza

Siedzi Świerszcz na żdźble trzciny,
bo ma dzisiaj zaręczyny.
Żdziebko jest już podstarzały
i ma podkrążone gąły.

Jego panna – Ważka miła,
dziś troszeczkę się spóźniła.
Przyleciała roztrzępana,
czym zdziwiła swego pana.

– **Panie Świerszczu** – powiedziała,
zanim będę z panem spała,
muszę poznać wszak zamiary,
dotyczące naszej pary.

Świerszcz wyraźnie zaskoczony,
tak powiada do przyszłej żony:

– **Ważko, razem będziemy bywali,
ale jednak osobno spali.**

**Z tego związku nic nie będzie,
żadnych dzieci nie przybędzie.**

**Są różnice między nami,
jak to bywa z gatunkami”.**

Ważka troszkę podumała
i po chwili powiedziała:

– **Najlepsze związki w demokracji,
to te służące dobrej prokreacji.
Zaś inne związki, te partnerskie,
gwarantują nam prawa obywatelskie”.**

II nagroda

Anna Wojno

Nie Kocham Cię

Nie Kocham Cię

Ale gdy widzę Cię rano cień uśmiechu niczym błądy duch
Przecina moją twarz. Masz dłonie jak gałęzie jabłoni
Biodra jak eden i usta jak zakazany owoc i twój głos
Wije się między twymi białymi zębami zupełnie niczym wąż.
Polykam twoje słowa jak grzechy jak powlekane tabletki

jakbym

Nie jadła od miesięcy i jakbyś mógł zaspokoić mój głód.

Nie Kocham Cię

Ale wczoraj w śnie widziałam anioła i nosił twoją twarz.
Jego włosy opadały na blade plecy niczym pióra i wyginały się

W kształt siedmiu skrzydeł a poświata miejskiej latarni
Niczym aureola otaczała jego twarz. Pytałam go jak
smakuje wieczność

A on opowiadał mi sonety o kawie i papierosowym dymie
I owocach które dawno pochłonął już czas. Jego usta
Smakowały jak tanie wino. Jego dłonie były zimne jak
chrzest.

Nie Kocham Cię

Ale czasem zdaje mi się że mogłabym Cię pokochać że
Twoje usta mogłyby wypalić ze mnie resztki zdrowego
rozsądku że
Mogłabym niczym Ewa skruszyć między zębami nowy
dojrzały grzech.

Nie Kocham Cię

Ale gdybym kochała
W piekle nadal słyszeliby bicie naszych niepokornych serc.

III nagroda

Nadia Pacocha

„Do miłości”

twoje oczy wyglądają
jakby były stworzone
ze złota pustyni

twój uśmiech jest czystszy
niż kryształowe jeziora
ukryte w nietkniętych
przez ludzkość jaskiniach

jesteś jak symfonia
wyrażona słodyczą bzu

kolory uczuć łączą się
jak nuty na północnym niebie
poetyckie enigmatyczne
nieuchwytnie

moja miłość do Ciebie
rośnie z każdą chwilą
zatrzymując czas
w chwili zbyt krótkiej
by zliczyć każdą myśl

żywszą niż wiele pigmentów

jesteś jak kalejdoskop
hipnotyzujących kolorów
na północnym niebie

i tylko raz szepnę
czekając na odpowiedź
Kocham Cię

Elżbieta Kmieć

Anekdota z wojskiem w tle



Z roku 1920

Trudno dziś powiedzieć z pewnością, czy tamten Kozak, pędzący na koniu od strony Zamościa na południe, w czasie walk polsko-bolszewickich, należał do Konarmii Siemiona Budionnego, czy może był z brygady kozackiej, która przeszła na stronę polską. Dla tej historii jest to drugorzędne. Jadąc przez Budy, zobaczył na wzgórzu budynki fabryczne z wysokim kominem. Gdy był już blisko, raptownie wstrzymał konia i przywołał do siebie pierwszego z brzegu robotnika.

– Kakij to zawód? – krzyknął, wskazując na klinkiernię.

– Kirpicznyj – padła krótka odpowiedź.

– Ja dumał, szto spirtnyj – zawiedzionym głosem skomentował Kozak. Spiał konia i pojechał dalej.

Z roku 1944

Po wyparciu wojsk niemieckich z Lubelszczyzny i po zakończeniu z końcem sierpnia operacji wojskowej, żołnierze Armii Czerwonej przygotowywali się do kolejnej ofensywy z początkiem 1945 roku. Żołnierze wolny czas spędzali w różny sposób, popisując się przed miejscowymi mniej lub bardziej dorzecznymi pomysłami. We wsi, gdzie się to działo, był mały stawik. W wodzie pływało trochę ryb, a jedna z nich, karp, a może szczupak, była szczególnie dużym okazem. Na tę właśnie rybę nabrali ochoty znudzeni żołnierze i nie chcieli jej odpuścić. Nie tracili czasu na robienie przynęty. Postanowili podejść do sprawy po wojskowemu. Zmontowali pocisk artyleryjski z zapalnikiem i lontem i zaatakowali. Po chwili potężna eksplozja ogłuszyła wszystkich w pobliżu. Ze stawiku pozostała kupa błota i wielka dziura. Po dłuższym czasie jeden z żołnierzy, patrząc w miejsce, gdzie niedawno pływała jego kolacja, zapytał:

– Kuda on uszoł?

Z roku 1974

W latach 1973-1979 polscy żołnierze, w dwunastu tysięcyosobowych zmianach, pełnili służbę na półwyspie Synaj i Wzgórzach Golan w ramach sił pokojowych ONZ. Błękitne hełmy, o których tu mowa, stacjonowały w Ismaili w Egipcie. Wojskowi wykonywali zadania z logistyki: inżynieryjne, transportowe i saperskie. W czasie wolnym młodzi chłopcy poznawali miasto, kulturę i zwyczaje. Miejscem, gdzie działo się najczęściej były tamtejsze targowiska. Handlarze, widząc Polaków, zachwalali swój towar w znany wszystkim, wschodni sposób. Tym razem zachęcali żołnierzy do zakupu skórzanych kurtek. Znali nawet trochę język polski, więc wołali:

– Skóra gazela! Skóra gazela! Skóra gazela!

Na to usłyszeli od Polaków:

– Skóra gazela ch*** warta!

Po jakimś czasie, spacerując, grupa żołnierzy znów znalazła się na tym samym bazarze, przy tym samym straganie. Handlarz nadal zachwalał kurtki, tym razem wołając:

– Skóra gazela ch*** warta! Skóra gazela ch***warta!

zebrała Elżbieta Kmieć

MS TAG PRINT

· HAFT KOMPUTEROWY ·
· ZNAKOWANIE TEKSTYLÓW ·

Zapytaj o ofertę

☎ 726 843 268

@tagprint.boh@gmail.com Instagram tagprint_pl

Zbigniew Cimek

Gdy wyobraźnia strzela focha



Projektem było pisanie na konkurs opowiadanie, w którym czarna postać męskiego bohatera jest umiejętnie manipulowana przez inteligentną, atrakcyjną kobietę. Problem polegał na tym, że w bohaterce o imieniu Nettie (akcja dzieje się za granicą) nie potrafiłem pokazać tych wyjątkowych cech. Nie chodziło o opis, ale o zobrazowanie jej walorów poprzez dialog. Potrzebny był Quentin Tarantino albo... Zacząłem od rozmów z koleżankami i na czacie, wypytując kobiety o ich interpretację inteligencji, ale „nasza” Nettie wciąż była panią Basią z biura nieruchomości, czasem po studiach, zdolną i zaradną, jednak nic ponadto. Osoby bardzo inteligentne, w zawołowany sposób manifestują czasem swoją frustrację tym, że muszą dostosowywać się do poziomu innych, bo działając spontanicznie przestają być rozumiane. Kobiety często narzekają na mężczyzn, ale zakładałem, że kobieta bardzo inteligentna na pierwszym miejscu odnosić się będzie nie do braku wierności, bicepsów czy stanu posiadania, ale właśnie do inteligencji facetów. I to nie był chyba najgorszy drogowskaz. Nettie miała być też bardzo atrakcyjna. Nie jest proste dotarcie do takich osób. Niektóre mogą się z tym kamuflować, ale jeśli nie mają defektów natury psychologicznej, będą w większości świetnie wykształcone, na eksponowanych stanowiskach, otoczone wianuszkiem zauroczonych ambitniaków.

Temat stał w miejscu, dopóki nie trafiłem w necie na ciekawą relację blogerki opowiadającej jak podrywają faceci zwani *pickup artists*, czyli wyrafinowani podrywacze, którzy się w tym szkolą. *Pickup artists* można zarzucić wszystko – w pierwszej kolejności niemoralność – ale nie można im odmówić jednego: nie boją się podejść do najatrakcyjniejszej kobiety, by nawiązać relację, czyli zrobić coś, co paraliżuje wielu mężczyzn. Tu przypomina mi się film „Piękny umysł”, w którym Russell Crowe gra Johna Nasha. W scenie w pubie, gdzie stoi grupa kobiet z najpiękniejszą wśród nich blondynką, Nash wyjaśnia kumpłom, że jeśli chcą dziś uprawiać seks, każdy z nich musi podejść do kobiety brzydszej niż

blondynka, bo rywalizacja o blondynkę doprowadzi wszystkich do fiaska. Nash stosuje teorię gier w praktyce. Jednak, gdy zależy nam tylko i wyłącznie na pięknej blondynce, a to była moja sytuacja, należało starać się tylko i wyłącznie o jej względy. Sama idea traktowania relacji ludzkich jako gry jest bardzo praktyczna. Zagadanie do kobiety, *pickup artists* nazywają *opener*. Nie ma jakiejś uniwersalnej formułki, polega to na intuicji i spontaniczności. Dobrze jest zacząć od komplementu. Nieśmiały może pomóc fakt, że najpiękniejsze dziewczyny można traktować dokładnie tak samo jak te najbrzydsze, co pozwala się wyluzować, być autentycznym i pewnym siebie. Czas mija, aż któregoś dnia czujesz, że dzieje się ta sytuacja, na którą czekałeś. Mijasz ją na ulicy, spotykasz na bankiecie, czy tak jak w mojej sytuacji: obserwuję delikatną, ale sugestywną manifestację swojej osobowości przez bardzo atrakcyjną kobietę; wygląd zresztą najszybciej można ocenić. Już wiem, że to może być właśnie moja „Nettie”. Sytuacja jest dynamiczna, dookoła ludzie, wiem, że mam tylko jakieś kilkadziesiąt sekund. „Podbijam” – jak to mówi teraz młodzież – i walę prosto z głowy bez zastanowienia:

- Cześć, długo czekałaś na siebie czekać...
- Doprawdy? – słyszę w odpowiedzi.

Robię test, nie dosłownie oczywiście, nie dam jej przecież formularza IQ do wypełnienia. Zakładam, że pośród pospolitych zdań zaraz padną takie, które rozwieją wszelkie wątpliwości. I tak właśnie się dzieje. Kobieta ostrzega mnie też, czy wiem w co gram, bo takie „zabawy” bywają niebezpieczne. Odpowiadam, że zakładam, że wszystko jest pod kontrolą, na co słyszę, że zawsze tak zakładamy. Przedstawiam jej pomysł napisania opowiadania i udaje mi się rozmawiać z nią przez około pół godziny, co uważam za swój sukces.

Zdradzić mogę, że pierwowzorem Nettie Bergeś, specjalistki od cyberbezpieczeństwa z mojego opowiadania, jest pewna bardzo bystra prawniczka z Poznania. Jak widać, czasem proces twórczy potrafi dostarczyć nam prócz wypalenia, ogromnych emocji. Ta historia zmieniła też moje spojrzenie na kilka kwestii. Zadałem sobie pytanie: czy to, co mamy, jest skutkiem naszego wyboru czy lęku?

Zbigniew Cimek

Wiesław Krajewski

Sztuczna inteligencja, czyli „Czym jest czas?” raz jeszcze



Mówi się o niej coraz więcej i coraz częściej. Zaczyna być wykorzystywana w różnych dziedzinach. Jest ciągle doskonalsza i rozwijana. Ma coraz więcej możliwości i coraz więcej zwolenników. Wkracza w nasze życie niezauważona. Jest dla niej oficjalna nazwa – sztuczna inteligencja – SI, (ang. *artificial intelligence* – AI).

Znalazłem w Internecie taką oto jej definicję: „zdolność systemu do prawidłowego interpretowania danych pochodzących z zewnętrznych źródeł, nauki na ich podstawie oraz wykorzystywania tej wiedzy, aby wykonywać określone zadania i osiągać cele poprzez elastyczne dostosowanie”¹. Sztuczna inteligencja potrafi wykorzystywać przebogata bazę danych zgromadzonych w ogólnosięciowej sieci i wybierać z niej potrzebne treści. I tak: gramy w szachy z komputerem – sztuczna inteligencja, dokonujemy tłumaczenia tekstów, wybierając odpowiedni słownik w komputerze – sztuczna inteligencja, prowadzimy analizę danych komputerowych, łącznie z wyciąganiem wniosków – sztuczna inteligencja, posługując się specjalistycznymi programami, generujemy różnorakie animacje, tworzymy obrazy, muzykę, nawet poezję – sztuczna inteligencja, mamy programy zarządzające i monitorujące procesy produkcyjne potrafiące reagować w sytuacjach kryzysowych – sztuczna inteligencja, uzyskujemy możliwość wykrywania oszustw, działań o charakterze terrorystycznym na podstawie treści prowadzonych rozmów, wysyłanych SMS-ów – sztuczna inteligencja, analizując na bieżąco monitoring, mamy funkcję poszukiwania konkretnych osób, zarządzania ruchem na skrzyżowaniach – sztuczna inteligencja, samochody autonomiczne, roboty, systemy rozpoznawania mowy, twarzy (np. w telefonach), prowadzenie wielu innych działań – wszystko to sztuczna inteligencja.

Dziś jest tak, że na przykład dzwoniemy do banku, a tu niespodzianka – okazuje się, że prowadzimy rozmowę telefoniczną nie z prawdziwym

człowiekiem a z wirtualnym asystentem, czytając z komputerem, który odpowiada na nasze pytania, doradza nam i często nie zauważamy różnicy, może tylko wyczuwamy nieco bardziej monotony, pozbawiony emocji głos. Ale sens wypowiedzi jest jak najbardziej logiczny, a inteligencji tej konwersacji nie można nic zarzucić.

Już kilka lat temu usłyszałem, że mam w samochodzie „inteligentne” wycieraczki, bo nie wymagają mojej decyzji uruchomienia, a włączają się same, kiedy „widzą”, że zaczyna padać deszcz i nawet dostosowują częstotliwość wahnięć do intensywności opadów. Z tą inteligencją wycieraczek to bzdura. One nawet nie myślą. Ale może jednak coś w tym jest? Przecież nie każdy myślący człowiek podejmuje racjonalne działania. Nie każdy jest inteligentny, mimo że należy do gatunku *Homo sapiens*. Wysznuwam stąd nieśmiało dość zaskakujący wniosek, że jakaś maszyna, nawet jeśli nie myśli, może być inteligentna. Obawiam się jednak, że mogłem w tym miejscu trochę przesadzić, może nieco nadużyłem swoich możliwości myślenia, ale jeśli tak, nie jestem pierwszy – bywało, że zbytne dociekania nawet świątłych umysłów prowadziły ich na manowce. Zresztą nic w tym bardzo dziwnego, że sztuczna inteligencja potrafi być mądrzejsza niż niejeden z nas. Już teraz chińscy naukowcy podali, że stworzony przez nich program komputerowy osiągał lepszy wynik niż przeciętni ludzie podczas testu IQ. A przywołana już gra w szachy? Spróbujmy wygrać z takim komputerem! To daje do myślenia. A co będzie za 5, 10, 20 lat?... A o tym, co już teraz myślę o nas – ludziach myślących i jaką wiarę w naszą inteligencję mają inni ludzie myślący pisałem już swego czasu w „Nestorze”².

Są inteligentne suszarki do włosów, które w trakcie pracy wielokrotnie sprawdzają wilgotność i temperaturę, aby poprzez zmianę parametrów zapobiec przesuszeniu i przegrzaniu włosów. Są inteligentne lodówki, do których nie tylko można zdalnie zajrzeć i sprawdzić, czego brakuje, ale samo urządzenie potrafi elastycznie dostosować temperaturę w zależności od rodzaju przechowywanych produktów, powiadomić właściciela, że dany produkt już się kończy lub mija jego termin ważności. Tak samo są inteligentne pralki, zegarki, zmywarki czy odkurzacze.

¹ https://pl.wikipedia.org/wiki/Sztuczna_inteligencja.

² „O stanie edukacji”, *Nestor* 4(54)2020, 98-99.

Słuchamy – często bezkrytycznie – samochodowej nawigacji i nieraz mamy ochotę nawet się do niej odezwać. Taka jest przekonująca. Inteligencja nawigacji pozwala wybrać różne trasy (krótka, szybka, eko), obliczyć czas podróży, a jak nie tak skęcimy – wybierze trasę alternatywną. Pełen komfort, niektórzy kierowcy nawet sądzą, że używanie nawigacji zwalnia ich od myślenia. No, proszę – „myślenie” zostawiamy jej. Choć nieraz potrafi wyprowadzić nas na pole lub do rzeki, to jednak nie możemy winić tu jej inteligencji, raczej szwankują „podwykonawcy” – przede wszystkim słabe, nieaktualne mapy.

Sztuczna inteligencja potrafi już napisać rozprawę doktorską (nie wiem tylko, czy ją obroni), nie mówiąc już o banalnie prostych wypracowaniach do szkoły. Uczniowie już o tym wiedzą! Podejrzewam, że niejeden, nawet doświadczony nauczyciel miałby problemy z odróżnieniem. Nie wierzycie? Sprawdziłem to. Zaczęłem ambitnie, choć dla zabawy – od wiersza. Wpisałem w komputerze na chybił trafił dwa „słowa kluczowe”, dla przykładu: stomatologia i piwo. Rezultat był mniej więcej po 5 sekundach (podaję dosłownie, nic nie zmieniam, niczego nie modyfikuję):

*Stomatologia i piwo
To dwa różne światy,
lecz oba mogą być słodkie i gorzkie.*

*Stomatolog zadba o nasze zęby
i uśmiech promienny,
a piwo o chwilę relaksu
i dobre samopoczucie.*

*Lecz oba te dobra
mają swoje cienie:
nadużywanie piwa
może prowadzić do kłopotów,
a zaniedbanie higieny jamy ustnej
do chorób zębów i dziąseł.*

*Stomatologia i piwo
to rzeczy, które
mogą być przyjemne,
lecz trzeba z nich korzystać z umiarem.*

Albo druga, bardziej romantyczna wersja tego samego tematu. Romantyczność polega na dodaniu wątku „blasku księżyca” i „radosnych serc”. Widać jednak, że pisała ją ta sama „osoba”, bo cała reszta jest na to samo kopyto.

*Stomatologia i piwo,
dwa różne światy,
lecz razem tworzą coś pięknego.*

*Stomatolog zadba o nasze uśmiechy,
piwo o chwile radości,
a razem o romantyczne wieczory
przy blasku księżyca.*

*Lecz nie zapominajmy o umiarze,
bo zbyt dużo piwa
może skrzywdzić nasze zęby,
a brak dbania o nie
może zepsuć nasze chwile.*

*Stomatologia i piwo,
dwa skrajne światy,
lecz razem tworzą coś niezwykłego,
co sprawia, że nasze serca radośnie biją.*

Przedstawię teraz coś, co nadawałoby się zarówno na „Chmielakowy Antałek”, jak i „Ja Cię Kocham, a Ty pisz!”:

*Miłość do piwa to uczucie szczerze,
Głębokie, niezmiennie, aż do końca.*

*To piwo sprawia, że serce bije mocniej,
Daje radość, nie ma nic lepszego.*

*Gdy piję piwo, czuję się spełniony,
To dla mnie ucieczka od codzienności.*

*Miłość do piwa to uczucie wyjątkowe,
Niezapomniane, prawdziwe i szlachetne.*

*Nie ma nic piękniejszego od chwili z piwem,
To uczucie, które zawsze trwa.*

Może ta poezja nie jest zbyt wysokich lotów, choć wydaje mi się, że czytałem gorsze „wypociny” wyprodukowane przez domorosłych, samozwańczych poetów. Przejdźmy zatem do prozy. W ostatnim „Nestorze” zamieściłem artykuł na temat czasu³. Bardzo byłem ciekaw, jak poradziłaby sobie z tym zagadnieniem sztuczna inteligencja. Trochę ryzykuję, bo może się okazać, że ta sztuczna przewyższa moją, a niech tam, ryzyk-fizyk – porównajmy. A więc:

³ „Czym jest czas?”, *Nestor* 4(62)2022, 82-84.

Czym jest czas? (wersja SI)

Czas to pojęcie, które towarzyszy nam każdego dnia i jest jednym z fundamentalnych elementów naszego życia. Jednocześnie jest to abstrakcyjne pojęcie, które ciężko jest zdefiniować w sposób jednoznaczny. Czas to nie tylko ilościowa miara jednostek czasowych, takich jak sekundy, minuty czy godziny, ale też jakościowa definicja naszej egzystencji i doświadczenia.

Z jednej strony czas jest postrzegany jako jedna z nielicznych stałych rzeczy w życiu – minuty, godziny i dni upływają w regularnym rytmie, bez względu na to, co dzieje się wokół nas. Z drugiej strony, czas jest elastyczny i może wydłużać się w przypadku nudy, a zwiększać swoją szybkość w sytuacjach stresowych lub podczas intensywnych przeżyć.

Warto również zauważyć, że czas ma różne znaczenia dla różnych ludzi i kultur. W niektórych kulturach czas jest postrzegany jako zasób, który można wykorzystać w sposób efektywny, podczas gdy w innych jest on bardziej postrzegany jako nieodwracalna strata czasu, która powoduje, że wartościowe chwile uciekają nam z dala.

W dzisiejszym świecie czas jest jednym z najcenniejszych zasobów, którego nigdy nie jesteśmy w stanie mieć dostatecznie dużo. Z jednej strony życie stało się bardziej skomplikowane i wymagające, co powoduje, że czas wydaje się coraz cenniejszy, z drugiej strony, z uwagi na rozwój technologii i postępującą automatyzację pracy, czas ten stał się bardziej produktywny i łatwiej go wykorzystać w sposób efektywny.

Czas to abstrakcyjne pojęcie, które trudno jest zdefiniować w sposób jednoznaczny. Jednocześnie jest to niezwykle ważny aspekt naszego życia, który wpływa na wiele aspektów naszej egzystencji, zarówno w kontekście fizycznym, jak i emocjonalnym. Dlatego też warto doceniać każdą chwilę i starać się wykorzystywać czas w sposób efektywny, aby nasze życie było jak najpełniejsze i zadowalające.

Święty Augustyn, jeden z najważniejszych myślicieli chrześcijańskich, poświęcił wiele uwagi tematowi czasu. Dla niego czas był bardzo ważnym aspektem egzystencji człowieka i jego rozwoju duchowego.

Augustyn uważał, że czas jest nieodłączną częścią stworzenia i stanowi element porządku wszechświata. W swoich pismach podkreślał, że czas jest darem od Boga i powinien być wykorzystywany w sposób odpowiedni, zgodnie z jego przeznaczeniem. Augustyn uważał, że Bóg jest wszechmocny i panuje nad czasem, dlatego też czas powinien być postrzegany jako coś świętego, ponieważ stanowi narzędzie do realizacji boskich celów.

Dla Augustyna czas nie jest tylko zwykłym narzędziem, ale również przestrzenią, w której Bóg objawia się człowiekowi i daje mu możliwość zbawienia. Augustyn wierzył, że Bóg działa w czasie i poprzez czas, a zatem czas jest miejscem spotkania człowieka z Bogiem. Jednocześnie, Augustyn podkreślał, że człowiek musi skorzystać z czasu, który mu jest dany, aby osiągnąć wieczne życie i zbawienie.

W swoim dziele „Wyznania”, Augustyn opisywał czas jako trudny do pojęcia i nieuchwytny, ponieważ jednocześnie jest on przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Augustyn uważał, że człowiek nie jest w stanie zrozumieć czasu w sposób całkowity, ponieważ jest on związany z ograniczeniami ludzkiej percepcji.

Dla św. Augustyna czas jest nie tylko narzędziem, ale również przestrzenią, w której Bóg objawia się człowiekowi i daje mu możliwość zbawienia. Czas jest darem od Boga i powinien być wykorzystywany w sposób odpowiedni, zgodnie z jego przeznaczeniem. Czas jest również nieuchwytny i trudny do pojęcia, ponieważ stanowi on połączenie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Powszechnie używane powiedzenie „czas to pieniądź” sugeruje, że czas jest równoważny z pieniędzmi, czyli że jego wartość jest mierzona w podobny sposób jak wartość pieniądza. W rzeczywistości jednak, czas i pieniądze to dwa zupełnie różne zasoby, które nie zawsze mogą być zamienione jeden na drugi.

Pieniądź to jednostka wymiany, która ma swoją wartość rynkową i jest wymiennalna na inne dobra i usługi. Dzięki niemu możemy wymieniać jedno dobro na inne, zyskać, oszczędzać, a także inwestować w przyszłość. Z drugiej strony, czas to nieodnawialny zasób, który nie może być wymieniony na coś innego. Co więcej, czas jest niezwykle cenny i niepowtarzalny – raz zużyty nie da się go odzyskać.

Mimo to, powiedzenie to ma swoją rację bytu w kontekście biznesowym i ekonomicznym. W biznesie, czas może być mierzony w sposób pieniężny jako koszt pracy lub straconej szansy na zarobek. Wówczas czas, który pracownik poświęca na wykonywanie swojej pracy, jest równoważny z pieniędzmi, które pracodawca musi zapłacić za jego pracę.

Jednakże, nie da się zaprzeczyć, że dla większości ludzi czas ma znacznie większą wartość niż pieniądze. Czas jest niezbędny do realizacji naszych celów i marzeń, do przebywania z rodziną i przyjaciółmi, do odpoczynku i rekreacji, do rozwijania swoich pasji i zainteresowań. Bez czasu, nie byłoby możliwe doświadczanie pełni życia.

Podsumowując, powiedzenie „czas to pieniądź” ma swoje uzasadnienie w kontekście biznesowym i ekonomicznym, jednakże nie oddaje ono pełnej wartości czasu jako nieodnawialnego i niezwykle cennego zasobu. Czas jest czymś, co nie da się kupić za pieniądze i dlatego należy cenić każdą chwilę, starając się wykorzystać ją w sposób jak najbardziej wartościowy i satysfakcjonujący dla siebie i swojego życia.

Prysłowie mówi, że „czas leczy rany”. To stwierdzenie wydaje się być trywialne, ale kryje w sobie wiele prawdy. Czas jest lekarstwem nie tylko dla naszych ciał, ale także dla naszych umysłów i serc. W tym eseju omówię, jak czas pomaga w procesie leczenia i jakie korzyści wynikają z cierpliwości i wytrwałości.

Każdy z nas doświadczył bólu, traumy lub utraty w swoim życiu. W takich momentach, trudno jest uwierzyć, że kiedykolwiek będzie lepiej. Często czujemy się przygnębieni, zranieni i porzuceni. Jednakże, w miarę upływu czasu, ból zaczyna ustępować, a my zaczynamy czuć się lepiej.

To właśnie czas pozwala na uzdrowienie zarówno ciała, jak i umysłu. Po złamaniu kości, ciało potrzebuje czasu, aby się zagoić. Podobnie, kiedy doświadczamy traumatycznych przeżyć, nasz umysł potrzebuje czasu, aby się zregenerować. Bez przerwy, odpoczynku i oczekiwania na lepsze dni, nasze ciało i umysł nie będą w stanie się wyleczyć.

Oprócz tego, czas pozwala nam zrozumieć i przetrwać doświadczenia, które nas skrzywdziły. Daje nam przestrzeń do refleksji, pozwala na zrozu-

mienie, że to co się stało, jest już przeszłością i że teraz należy skupić się na przyszłości. Czas pozwala nam na przebaczenie i pojednanie, co pomaga w procesie leczenia emocjonalnego.

Czas jest także istotny dla naszych relacji z innymi ludźmi. Kiedy ktoś nas skrzywdzi, czas jest potrzebny, aby pozwolić nam otrząsnąć się z bólu i zacząć budować zaufanie ponownie. Kiedy sami zrobimy komuś krzywdę, czas pozwala nam na refleksję i zrozumienie naszych błędów. Pozwala nam na zmiany i na to, aby pokazać, że jesteśmy gotowi do naprawy relacji.

W końcu, czas jest niezbędny, aby zyskać perspektywę na życie. Kiedy doświadczamy trudnych sytuacji, jesteśmy skłonni do widzenia ich jako nieodwracalne katastrofy. Jednakże, kiedy minie trochę czasu, zazwyczaj zaczynamy widzieć te sytuacje w innej perspektywie. Możemy zobaczyć, że pewne problemy były mniejsze, niż nam się wydawało, a inne były ważniejsze, niż myśleliśmy. Czas pozwala nam zyskać perspektywę, która pomaga nam zrozumieć, co jest naprawdę ważne w życiu i jakie cele warto sobie stawiać.

Oczywiście, czas nie leczy wszystkiego. Są sytuacje, w których konieczna jest interwencja medyczna lub terapeutyczna. Jednakże, czas odgrywa kluczową rolę w procesie leczenia. Pozwala na regenerację ciała i umysłu, daje przestrzeń do refleksji i zrozumienia, pozwala na przebaczenie i pojednanie, pomaga w budowaniu zaufania i perspektywy na życie.

Prysłowie „czas leczy rany” jest nie tylko pustym sloganem, ale odzwierciedla prawdziwe doświadczenia ludzi na całym świecie. Czas jest niezbędny w procesie leczenia emocjonalnego i fizycznego, a także pozwala na zyskanie perspektywy na życie. Warto pamiętać, że czas jest naszym sojusznikiem, a cierpliwość i wytrwałość są kluczowe w procesie uzdrawiania.

Księga Koheleta, znana również jako Kaznodzieja, to jedna z ksiąg Starego Testamentu, która zawiera filozoficzne przemyślenia na temat życia, śmierci i natury ludzkiej egzystencji. Czym jest czas według Koheleta?

W Księdze Koheleta, autor stwierdza, że wszystko na tym świecie ma swój czas i porę. Czas ma swoją określoną strukturę, a każda czynność, którą podejmujemy, jest związana z okre-

ślonym momentem. Kohelet zwraca uwagę na to, że życie człowieka jest krótkie i przemijające, a zatem powinniśmy cieszyć się każdą chwilą.

Jednakże Kohelet nie tylko opisuje czas jako nieodwracalny i nieuchronny. W swoich rozważaniach, podkreśla on również, że istnieją pewne rzeczy, które pozostają niezmiennie i trwają przez całą wieczność. Wskazuje na to, że Bóg jest jedynym, co nie ulega zmianie, a więc wartość życia człowieka zależy od jego stosunku do Boga i realizacji Bożych nakazów.

Wreszcie, Kohelet zauważa, że czas jest nieodłącznie związany z porządkiem wszechświata. Wszystko dzieje się w określonych ramach czasowych i nie da się go zatrzymać. Ludzie nie są w stanie poznać przyszłości ani powtórzyć przeszłości, a jedynie żyć w teraźniejszości, która jest jedynym miejscem, w którym mogą dokonywać zmian i wpływać na swoje życie.

Koniec. Porównanie i ocenę wartości obu tekstów pozostawiam Czytelnikom. A następnym razem proszę być czujnym czy kolejny artykuł napisze WK, czy SI?

Wiesław Krajewski

Tadeusz Andrzej Kiciński



Następuje jakiś fatalny czas, wszystko szaleje, atakuje, przekrzykuje, łży. I jeszcze do tego odchodzą moi przyjaciele do wiecznego spokoju. Rozumiem, mają dosyć chamstwa, ale czemu teraz?

19 września ubiegłego roku zmarła Maria Matysiak, córka doktora Jana Matysiaka. Była wspaniałą, cenioną polonistką. Przyjaźniła się z moją rodziną. Ciepła, życzliwa, zawsze chętna do pomocy, wspierająca swoje koleżanki z pracy. Subtelna, delikatna, dbająca o szacunek dla drugiego człowieka. Erudytką. Będziemy pamiętać i ciepło wspominać.

26 grudnia 2022 roku zmarł Edward Siekierzyński, poeta, malarz, wspaniały człowiek ze Stargardu Szczecińskiego. Poznaliśmy się w 1973 roku na plenerze malarskim w Chełmie. Mieszkaliśmy w jednym pomieszczeniu, do późnych godzin nocnych rozmawialiśmy o sztuce, o życiu i o bzdurach. Piliśmy tanie wino i bawiliśmy się malowaniem obrazów. Później odwiedzaliśmy się, uczestniczyliśmy w plenerach, wystawach, korespondowaliśmy do ostatnich Jego dni. Zachorował i odszedł do ostatniej Jego drogi. Pozostały obrazy, opowiadania, wiersze. Malował świetnie, pisał znakomicie. Zawsze rozpoznawalny... Ech, Edwardzie, będzie mi Ciebie brakować.

I następny cios. Po ciężkiej chorobie 10 stycznia 2023 roku zmarł Władzio Fedorowicz. Wydaje mi się, że znałem Go od zawsze. Obrabialiśmy się gdzieś przy domu kultury, pracownikach i miłośnikach kultury. Na dobre zaczęliśmy współpracę od 1973 roku, kiedy zostałem instruktorem teatralnym w Powiatowym Domu Kultury. Korzystałem z Jego podpowiedzi, szczególnie dotyczącej poezji rodzimej. Później współpracowaliśmy jako trzej dyrektorzy kultury z Krasnegostawu: Władzio Fedorowicz – dyrektor muzeum, Kazimierz Szewczak – dyrektor biblioteki i ja, Tadeusz Kiciński – dyrektor domu kultury. Przyjaźniliśmy się, wspierali i budowali kulturę naszego grajdołka. Po wielu latach różnych zawieruch historycznych i życiowych spotykałem się z Władziem na grzybobraniach. Wspaniały grzybiarz, znał je i umiał je przyrządzić. Niestety, ja takich umiejętności nie miałem, więc żałuję, że nie poznałem Jego miejsc tajemnych. O historii Krasnegostawu, a szczególnie muzeum rozmawialiśmy często. Jego wiedza z tego zakresu była olbrzymia i podawana bardzo rzeczowo. Popijaliśmy pyszną herbatę, bowiem był jej smakoszem i rozmawialiśmy o sztuce, historii... Piękny człowiek, szkoda, odszedł...

Odeszli bliscy, którzy popierali i cieszyli się z Czasopisma artystycznego „Nestor”, Nestor im za to serdecznie dziękuje. Niech spoczywają w pokoju

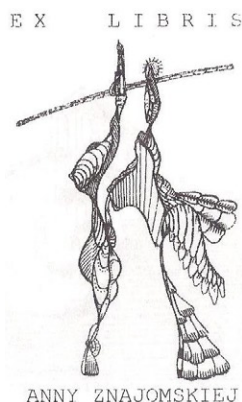
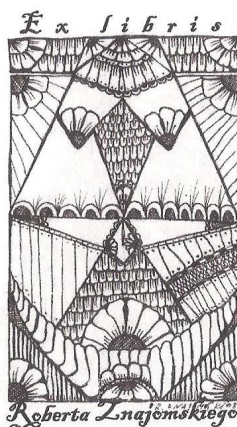
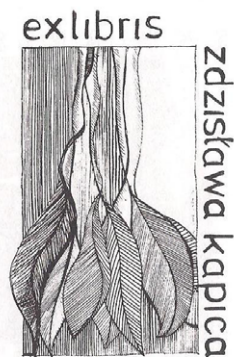
Tadeusz A. Kiciński

Książki nadesłane

Robert in memoriam

Robert Znajomski (1968-2021) nie daje o sobie zapomnieć, chociaż do wieczności odprowadziliśmy go przed dwoma laty. Od 2008 roku współpracował z redakcją „Nestora”, publikując charakterystyczne dla swojej twórczości grafiki. Zajmował się również rysunkiem, malarstwem artystycznym, fotografią... W swoim dorobku artystycznym ma tysiące prac i dziesiątki wystaw. W 2021 roku *in memoriam* ukazał się staraniem wdowy Anny Znajomskiej oraz rodziny album najciekawszych prac Roberta. Niespełna rok później do moich rąk trafił album „Exlibrisy”. We wstępie lubelski artysta Artur Popek porównuje tak zwaną kreskę w rysunkach Roberta do linii papilarnych, charakteryzujących się niepowtarzalnością, o jaką chodzi we wszystkich rodzajach sztuki. Wskazuje również analogię do słoju ciętego drewna, żyłkowania liści itp. Na zakończenie próbuje również odnaleźć inspirację twórczością innych artystów. Wymienia wspólnego kuzyna Jana Popka oraz nauczyciela licealnego Romana Muchę, którzy chcąc nie chcąc musieli mieć wpływ na kształtowanie młodszej osobowości. Album prezentuje ponad 160 exlibrisów.

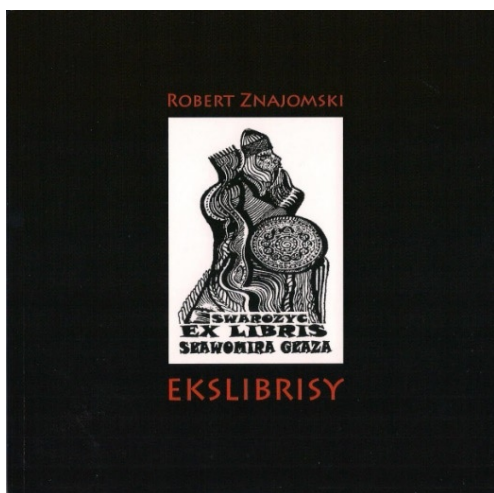
(adm)



Robert Znajomski, „Exlibrisy”. Wyd. Werset, Lublin 2022, ss. 48.

Książki miasta poetów

Odkąd pamiętam, Lublin szczylił się mianiem miasta poetów. Powtarzano to z oczywistą dumą, odwołując się do dorobku wyjątkowych autorów, przeważnie z przeszłości. Nie brakowało też twórczej determinacji wstępującej awangardzie. Część jej przetrwała próbę czasu. Dziś możemy podziwiać warsztat literacki takich autorów, chociażby w serii wydawniczej „Książki. Duma Lublina” wydanej przez Instytut Literatury w Krakowie. Przedsięwzięcie to zainicjował w 2020 roku znany w środowisku prozaik, niestrudzony Zbigniew Włodzimierz Fronczek, prezes Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Literatów Polskich. Seria zaowocowała dziesięcioma książkami prezentującymi prozę, wiersze i jeden monodram:



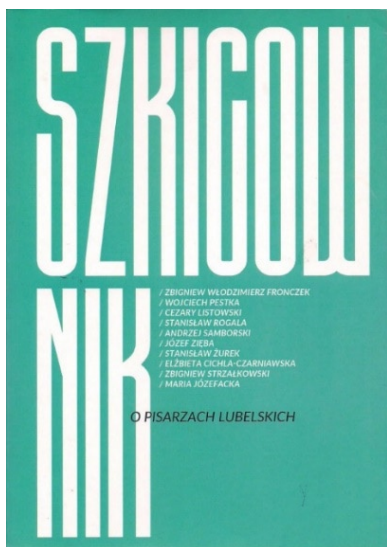
Józef Zięba „Kończy się czy się zaczyna”
 Zbigniew Strzałkowski „Zaułki pamięci”
 Elżbieta Cichła-Czarniawska „Mimochodem”
 Maria Józefacka „Drogo/cenne”
 Cezary Listowski „Drogowskazy na wietrze”
 Wojciech Pestka „Mono #dram”
 Zbigniew Włodzimierz Fronczek „Trzydzieści trzy po trzy”
 Andrzej Samborski „Zwierzę się wam...”
 Stanisław Żurek „Wiatr znad połonin”
 Stanisław Rogala „Zbójnickim szlakiem”
 Wojciech Pestka „Syrop z kocimiętki”.

Jedenasty tom „Szkicownik o pisarzach lubelskich” pod redakcją Zbigniewa W. Fronczka zamyka serię. Jest zbiorem wartościowych esejów poświęconych autorom, które powstawały podczas trwania projektu. Z kolei autorami szkiców są: Zuzanna Guty, Edyta Antoniak-Kiedos, Stanisław Jan Królik, Jan Stefan Ossowski, Agnieszka Prymak-Sawic, Zbigniew Waldemar Okoń, Jarosław Sawic, Stefan Jurkowski, Józef Franciszek Fert, Aleksandra Pawlik-Kopek i Wojciech Kopek.

(adm)

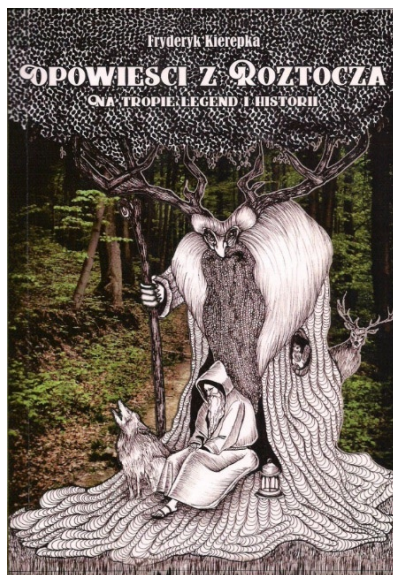
PS

Druga edycja serii „Książki. Duma Lublina” ukazała się w 2021 roku.



„Szkicownik o pisarzach lubelskich”, redakcja Zbigniew Włodzimierz Fronczek, wydawca Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Lublin 2021, ss. 358.

Opowieści brata Alberta



Fryderyk Kierepka, „Opowieści z Roztocza. Na tropie legend i historii”, Wydawnictwo Krzysztof Bielecki, Zamość 2022, ss. 219.

Książki, które opowiadają o wydarzeniach i stronach bliskich naszemu sercu zawsze będą cieszyły się zainteresowaniem. Czytelnik uwielbia odnajdować znajome miejsca, motywy, przypominać sobie zasłyszane niegdyś historie i poznawać powiązane z nimi te na nowo wymyślone. Wie o tym Fryderyk Kierepka, autor „Opowieści z Roztocza”, który zadbał o interesującą formułę książki, będącej zbiorem opowiadań, podań i prawdziwych historii. Poszczególne wątki spina główny bohater oprowadzający czytelnika, a jest nim sam brat Albert Chmielowski, zakonnik, powstaniec styczniowy, artysta malarz i wreszcie opiekun bezdomnych. Chociaż tytuł sugeruje wędrowkę Roztoczem, to jednak trasa jej prowadzi również przez Kraszczady, bezdrożami Krasnegostawu i okolic. W tej podróży nie brakuje dziwacznych stworów, przerażających ostępów, potwornych wydarzeń i legend. Przy takim dreszczyku emocji czytelnik świetnie zapamiętuje, to co najwartościowsze, a więc najprawdziwsze dzieje. Oprócz wrażeń czytelniczych, książkę przyjemnie jest otworzyć również dla ilustracji autorstwa Klaudii Krupy.

(adm)



Jerzy Andrzej Rodzik, rocznik 1950. Emeryt. Obecnie mieszka w Równiankach koło Rudnika. Urodził się w Wałyczku koło Torunia. Pochodzi z rodziny wojskowych, jego ojciec jako oficer był często przenoszony do różnych jednostek wojskowych, więc z konieczności i on zmuszony był do częstych zmian zamieszkania: Suwałki, Rzeszów, Kraków, Katowice, później Puławy, Markuszów, Kazimierz i wiele innych miejscowości. Po odbyciu służby wojskowej podjął pracę w transporcie górnictwa i tam zaczął też przygodę z malarstwem. Malarz nieprofesjonalny. Dostał Nagrodę Ministra Górnictwa za pracę plastyczną „Rynek w Kazimierzu” w rocznym Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Artystycznej Pracowników Górnictwa w Katowicach. W latach 90., po zamknięciu kilku kopalń, został bezrobotnym. Wtedy malowanie było jego źródłem utrzymania. Maluje techniką tradycyjną, farbami olejnymi pejzaże i architekturę w bogatej gamie kolorystycznej. Dotychczas namalował około tysiąca obrazów, z czego większość znajduje się w prywatnych zbiorach. Jego motto: *maluj i nie myśl, że źle malujesz* – wg Maneta. Wystawy: Mysłowice, Brzeczkwice. Sympatyk myślistwa, łowiectwa i wędkarstwa. Pomimo, że mieszka na Lubelszczyźnie już kilkanaście lat, nadal czuje się Ślążakiem.





mal. Jerzy Andrzej Rodzik